

# EUROPA

pismo Instytutu  
Europy  
Wschodniej

1 (5) · 1989

---

# EUROPA

pismo Instytutu  
Europy  
Wschodniej

redaguje zespół

---

Katowice, Warszawa, Wrocław

Od Redakcji .....	5
Karl August Wittfogel Rewelacje z dziejów dyplomacji XVIII wieku .....	20
Aleksander Hercen Moskwa - Petersburg .....	29
Jewgienij Zamiatin Moskwa - Leningrad .....	45
Aleksander Berkman Powstanie Kronsztackie .....	62
Aleksander Rozaniecki ... nie został Europejczykiem, czyli o centralizmie Lenina.....	69
Olga Frejdenberg - Borys Pasternak Fragmenty korespondencji .....	84
Tadeusz Nowak Wiersze .....	87
A.N. Klonow Uczone bydło .....	102
Przekroczyć granicę strachu Rozmowa z Igorem A. Mielczukiem .....	120
Andrzej Bogusławski Uczeni uczyłym zgetowali ten los .....	129
Zawsze ktoś będzie pamiętał Rozmowa z Horstem Bienkiem .....	135
Marcel Proust rozmawia z Horstem Bienkiem .....	137
John Galvin Bilans sił - NATO a Układ Warszawski.....	146
Wincenty Heinrich Nowa koncepcja obrony a budżet wojskowy.....	

-----  
 Czasopismo "Europa" od pierwszego numeru ukazuje się przy finansowym  
 wsparciu Społecznego Komitetu Nauki

Numer oddano do druku 15 września 1989 r.

-----  
 Dziękujemy: Aragonowi za 1000 USD  
 Panu Hartknopowi za 200 + 250 DM  
 Pan Jerzy Holzer przekazał na fundusz redakcji  
 honorarium za tekst zamieszczony w numerze 3

-----  
 Korespondencję prosimy przysyłać na adres: Cztery Jernie  
 al. Tysiąclecia 151/126  
 03-740 Warszawa

## Od Redakcji

Jaka jesteś Rosjo? Co nam gotujesz? Pytania te dwa wieki z okładem zaprzatają umysły świadomych Polaków, bulwersują Europę, a dziś, w epoce nowej "smuty", zdają się być aktualne jak nigdy. Powódi katastroficznych wiadomości z ZSRR stwarza chaos informacyjny, daje okazję do pochopnych syntez, podsyca nadzieje. Prorocy światowej sowietologii wieszczą: ZSRR się kończy, imperium upada. Daiby to wreszcie dobry Bóg, ale... padałdion, uwidim! Bo czy nie jest i tak, że pod wrażeniem "głasności", która niewątpliwie zdominowała "pieriestrojkę", bierzemy stare za nowe, znane za nieznaną? I że wszelka synteza, a tym samym wszelkie prognozy w odniesieniu do ZSRR muszą uwzględniać doświadczenia Europy z Rosją, i to w okresie co najmniej ostatnich 250 lat? A te doświadczenia usykają kartezjańskim instrumentom europejskiego rozumu, ponieważ Rosja to fenomen nieuchwytny i nie do końca europejski.

W tym przekonaniu prezentujemy Państwu rosyjski numer "Euro-ry". Wkomponowaliśmy weni, na początek, teksty dawne, acz nigdy dotąd w Polsce nie publikowane. Rozprawa Wittfogla, którego myśl konsekwentnie udostępniamy naszym czytelnikom, dotyczy samych początków obecności Rosji na europejskiej scenie politycznej. Wytknięte podówczas zasady strategii zmieniły jedynie kostium ideologiczny i być może teraz dopiero przechodzą pierwszą od dwóch i pół wieku próbę ognia i wody.

Teksty Hercena i Zamiatina to sonda zapuszczona okiem rosyjskim w głąb rosyjskiej kultury, rozdartej między tradycją i nowoczesnością. Rzecz ciekawa - za Hercena biegun tradycji leżał w Moskwie, nowoczesność wykluwała się w Petersburgu. 90 lat potem, kiedy paryski emigrant, Jewgienij Zamiatin, pisał swoje sprawozdanie z Leningradu, bieguny te odwróciły się względem siebie. Antynomia pozostała jak dawniej.

Nie zmieniły swego położenia dwa inne bieguny: dzikości i ucywilizowania. Moskwa czasów Hercena aycąc się tradycją Rusi chłoneła z nią również dzikość azjatyckich stepów. Moskwa czasów Zamiatina modernizując się na modłę amerykańską nasiąkała nuworyszowskim barbarzyństwem. Petersburg, nawet kiedy stał się Leningradem, wykazywał nadzwyczajną wierność zasadom cywilizacji europejskiej. Widać to wyraźnie w tekście A. Berkmana opisującym etos powstania w Kronsztadcie oraz w korespondencji zmoskwiczalego, niestety, Borysa Pasternaka z jego siostrą przyrodną, Olgą Frejden-

berg, którą los uwięził w obłożonym Leningradzie. Widać też w rozprawce polskiego autora, A. Roznieckiego, który upatruje w Leninie przedsej Wielkiego Chana Bolszewików, aniżeli Europejczyka.

Wiersze Tsdeusza Nowaka z cyklu "Pacierz" dedykujemy naszym Przyjaciółom Rosjanom - tak jak my udęczeni przez tę smłą azjatycko-bolszewicką dzikość - i tak jak my próbującym ją z siebie zrzucić.

Drugi wątek 5. numeru "Europy" stanowi kondycja uczonego w totalitaryzmie komunistycznym. Radziecki autor A.N. Klonow w małym traktacie etologicznym pt. "Uczone bydło" przedstawia starą i perspektywę dzisiejszej nauki radzieckiej. Odnajdujemy, że jest to pierwszy bodaj tekst "made in USSR" ukazujący się w polskim podziemnym periodyku, specjalnie na tę okoliczność przysłany.

Rozmowa z prof. I.A. Mielczukiem, światowej sławy językowniczką, emigrantką ze Związku Radzieckiego, przynosi zupełnie nam nieznaną obraz życia naukowego w Moskwie trzech epok: Stalina, Chruszczowa i Breżniewa. Wiedzę o czasach, kiedy za poglądy na język czuwało się pod ścianą, rozszerza wspomnienie prof. A. Bogusławskiego o wielkim językownawcy rosyjskim, Eugeniuszu Foliwanowie, rozstrzelanym przez GPU w roku 1938.

Niemiecki pisarz Horst Bienek na własnej skórze zaznał dobrodziejstwa bolszewickiej "ziemi obiecanej". Wywieziony do Workuty z Niemiec Wschodnich w 1951 r. przeżył tam powstanie więźniów i opowiedział o nim w wywiadzie dla "Europy". Wywiad ten uzupełniamy żartobliwym autoportretem słownym pisarza.

I wreszcie - jako memento dla tych wszystkich, którzy obwieścili już "rozkład imperium" niechaj zabrzmi rzeczowy raport dowódcy połączonych sił NATO Johna Galvina na temat bilansu wojskowego NATO i Paktu Warszawskiego.

X X X

Habent sua fata libelli! Numer ten, który powinien był trafić do rąk czytelników w początku roku, trafia w drugiej jego połowie w skutek przypadku gotowej już makiety. Pomimo, że nasz świsł oglądany w sierpniu 1989 zmienił nieco swą powierchowność, postanowiliśmy zachować treść numeru, dopełniając ją tylko artykułem W. Heinricha. Ten kompetentny w dziedzinie wojskowej autor rysuje nową koncepcję armii polskiej - "naszej, obronnej i tańszej" - dostosowanej do zmienionych warunków zewnętrznych i wewnętrznych.

Karl August Wittfogel

## REWELACJE Z DZIEJÓW DYPLOMACJI XVIII WIEKU

### DOKĄD ROSJO? DOKĄD LUDZKOŚCI?

"Rewelacje z dziejów dyplomacji XVIII wieku" to seria artykułów o historycznej specyfice Rosji i możliwościach jej rozwoju, napisanych przez Marksa w środkowym okresie twórczości. Zajmując się tymi problemami Marks dokonał "kilku historycznych odkryć", w których następnie znacznie większą rolę w historii powszechnej niż dotychczas zaczął przypisywać Rosji, a mniejszą Zachodowi, /wówczas pod przewodnictwem Anglii/. Stwierdził, że ekonomia polityczna, którą zajmował się krytycznie od 1844 roku, nie wystarcza do wyjaśnienia rozwoju współczesnego świata. Doszedł do przekonania, że rozwój ten, przy niewystarczającej analizie teoretycznej i niewystarczającym politycznym potraktowaniu go doprowadzić może nie do wyzwolenia ludzkości, lecz do nowej formy totalnego niewolnictwa.

Były to wnioski niezwykle. Przyniosły one problemy, których Marks nie rozwiązał. Wykazały jednak wielką siłę poznawczą marksofskich "konstrukcji ewolucyjnych", które Max Weber określił jako niezwykle produktywne. Przypominają one nam, że "narastające akcentowanie przez Marksa ewolucji "azjatyckiej" /"semi-azjatyckiej"/ wskazywało na fenomen uważany przez Weбера za "centralny problem naszych czasów". Marks uwikłał się w wielkie sprzeczności szukając wyjaśnienia swych rosyjskich odkryć w uważanych przez niego za fundamentalne "azjatyckich" /"semi-azjatyckich"/ źródłach historii powszechnej. Czy te sprzeczności przyniosły owoce? Czy potwierdziły pogląd Marksa, że krytyczna analiza nowoczesnej ekonomii politycznej daje klucz do zrozumienia losu ludzkości? Czy analiza ta nie była wystarczająca? Dokąd ludzkości? Dokąd - ludzka nauko? /.../

ZWROT KU NOWEJ OCENIE PIOTRA WIELKIEGO I KU NOWEJ PERSPEKTYWIE HISTORII Powszechnej: "REWELACJE" /1856/57/

#### 1. "Kilka historycznych odkryć": "dramat" rosyjskich stosunków z Zachodem

Marksa napisał 12 lutego 1856 do Engelsa, że podczas swej pracy w British Museum zrobił "kilka historycznych odkryć", które zamierza ogłosić. Na myśl miał oczywiście te dokumenty i komentarze, które parę miesięcy później ogłosił drukiem pod tytułem

"Rewelacje z dziejów dyplomacji XVIII wieku" w dwóch wersjach - w niepełnym cyklu w "Sheffield Free Press" /od 28 czerwca do 2 sierpnia 1856/ i w pełnym cyklu opublikowanym w londyńskiej "Free Press" /od 16 sierpnia 1856 do 1 kwietnia 1857/.

Lenin, który w roku 1914 wymienił "Rewelacje" w bibliograficznym załączniku do swego "Karola Marksa", znał korespondencje między Marksem a Engelsem łącznie z listem z 12 lutego 1856. Zrobił on o pracy Marksa o Rosji następującą uwagę: "Niektóre artykuły Marksa z /NYD/ Tribune zostały wydane w Londynie w formie broszury, jak np. o Palmerstonie, opublikowane w 1856 czy "Rewelacje o historii dyplomacji XVIII wieku", odnoszące się do ciągłej, będącej wynikiem przekupstwa, zależności liberalnych angielskich ministrów od Rosji i inne". Czy to, co Marks odkrył w historii dyplomacji XVIII wieku było faktem? Lenin, przypisujący "olbrzymią" naukową i polityczną wartość korespondencji między Marksem a Engelsem, powinien był wiedzieć to lepiej. W liście wysłanym do Engelsa w lutym 1856 Marks wspominał o przekupności dyplomatów i mężów stanu, sbywając ją jednak lekceważąco: "Zagraniczna polityka torysów i wigów różniła się wtedy po prostu tym, że jedni sprzedawali się Francji, a drudzy Rosji. Sprzedawanie się było samo przez się zrozumiałe i ówczalni pisarze piszą o tym i wypowiadają się jako o czymś naturalnym".

Z punktu widzenia Lenina, któremu nie powiodło się w wielkiej debacie 1906 roku o "azjatyckiej" przeszłości Rosji i o możliwości "azjatyckiej restauracji", próba pomniejszenia i zaciemnienia azjatyckiego dziedzictwa Rosji była logiczna i konsekwentna. Ale to właśnie ten problem nabral dla Marksa decydującej wagi, kiedy na początku 1856 dokonał swych historycznych odkryć.

Odkrycia te dotyczyły chronologicznie "pierwszych dziesiątek lat XVIII wieku i końca XVII wieku", epoki Piotra Wielkiego, która sięgnęła zenitu w pierwszej połowie XVIII wieku, a torowała sobie drogę pod koniec XVII wieku. Historycznie dotyczyły one "walki między Piotrem I a Karolem XII". Marks nazwał tę walkę "dramatem". Słowo dramat, jak wskazuje tok myślenia Marksa, miało o niego takie znaczenie, w jakim było używane w Anglii od 1741 roku: "ciąg wydarzeń o dramatycznej jedności prowadzący w końcu do katastrofy".

Marksa nie traktował oczywiście "Rewelacji" jako politycznej opery teatralnej, w której skorumpowani odbiorcy w półroku sceny zrećnie operują łapówkami, lecz jako analizę dramatycznej walki między dwoma gigantami historii powszechnej.

## 2. "Haniebna" i zdecydowanie "głupia" polityka Anglii wobec Rosji w post-piotrowskim okresie XVIII wieku /rozdział pierwszy i początek rozdziału drugiego/

Kiedy Marks postanowił ujawnić formę i wagę tej walki, stwierdził, że Anglia odgrywała w tym dramacie wielką i niechlubną rolę. Opinia ta odbiegała daleko od niewielkiego znaczenia, jakie przypisywał jeszcze przed rokiem prorosyjskiej polityce Anglii. Czy polityka ta polegała na "szludzeniach" czy na "ignorancji", nie miało większych konsekwencji w sytuacji, w której Rosja nie mogła poważnie zagrozić równowadze świata. Pytanie "szludzenia czy ignorancja" stało się jednak żywotne, gdy głębsze wnikięcie w siły sprawcze dziejów powszechnych skłoniło Marksa do zupełnie

nowej oceny Rosji. Stało się tak po dokonaniu przez Marksa tych historycznych odkryć, o których donosił Engelsowi w liście z 12 lutego 1856. Wskazując na walkę między Rosją a Szwecją zwracał jednocześnie od początku uwagę na "decydującą rolę, jaką odegrała w tym dramacie Anglia". Krótkowzroczni politycy mogli to przeczyć, jemu jednak wydawało się "ciekawe", że "Anglia głównie przyczyniła się do tego, że Rosja stała się baltic power" /potęgą bałtycką/ i że "już w początkach XVIII wieku politykę tę demaskowano i z niesłychaną ścisłością przepowiadano przyszły wzrost *Moscovite empire*".

Jako uchodźca w Londynie Marks musiał pilnie i cierpliwie przyswajać sobie to, co wykształceni Anglicy normalnie wiedzieli o historii swojego kraju i o stosunkach z Rosją od początku XVIII wieku oraz to, co w połowie XIX wieku mogli z łatwością stwierdzić, jeśli poważnie zajmowali się problematyką angielsko-rosyjską. W związku z tym angielscy zwolennicy polityki prorosyjskiej w czasach Piotra Wielkiego, a także w czasach jemu /Markswi/ współczesnych, nie mieli według Marksa prawa zasłaniać się "złudzeniami lub ignorancją", a czołowi angielscy mężowie stanu XVIII i XIX wieku powinni byli z udokumentowanych doświadczeń nowszej historii nauczyć się o piotrowskiej i post-piotrowskiej Rosji tego, czego przez nierozsądek /a częściowo z głupoty/ się z nich nie nauczyli. A mianowicie, nie nauczyli się tego, czego Marks dowiedział się ze swoich świeżo odkrytych dokumentów, że odpowiedzialni angielscy mężowie stanu powinni byli w warunkach krytycznych zwalczać rosyjską politykę ekspansji, zamiast z "bezprzykładną ustępliwością i wręcz pomocą" udzielać jej poparcia.

W pierwszym rozdziale "Rewelacji", który Marks wysłał swojemu wydawcy 21 czerwca 1856, okazało się, jak ostro potępiał on politykę rosyjską Anglii. W zbiorze depeesz, zredagowanych przez angielskich posłów w post-piotrowsym St. Petersburgu, znalazł pewną ilość oryginalnych dokumentów, które z punktu widzenia angielskiej polityki sgranicznej były "bardzo kompromitujące". Marks przedrukował na końcu swojego pierwszego rozdziału fragment raportu Kpelana angielskiej misji w St. Petersburgu, według którego dogmatem angielskiej dyplomacji stało się, że "więzy łączące Wielką Brytanię z cesarstwem rosyjskim są naturalne i nienaruszalne". Marks uważał te depesze za charakterystyczne dla polityki rosyjskiej Anglii w okresie post-piotrowsym. Wyjątki z nich, zaprezentowane przezeń w rozdziale wstępnym, mogą być szczególnie interesujące dla historyka tych czasów i politycznej psychologii Katarzyny II. Marks uznał je za charakterystyczne dla postawy ówczesnych dyplomistów angielskich, którą na początku drugiego rozdziału nazwał "głupią" /"silly"/ w formie i "haniebną" /"infamous"/ w sposobie wyślenia. "Gdyby depesze angielskie, któreśmy tutaj opublikowali, były adresowane do osobistych przyjaciół, okryłyby one hańbą tylko ambasadorów, którzy je pisali. Adresowane jednak jako tajne do samego rządu brytyjskiego, stawiają go po wsze czasy pod pręgierzem historii".

### 3. Przez historię angielskiej i rosyjskiej dyplomacji do politycznej historii Rosji

Kiedy pod koniec czerwca 1856 Marks doszedł do tego wniosku, traktował swoje nowe odkrycia jako charakterystyczne przede wszystkim dla angielskiej dyplomacji. Wynika to z tytułu tego cyklu



artykułów: "Rewelacje z dziejów dyplomacji XVIII wieku" /podkreślenie moje/, pod którym 28 czerwca 1856 ukazał się pierwszy odcinek w "Sheffield Free Press". Zachował ten tytuł również w drugim, opublikowanym 5 lipca artykule, w którym nakreślił wytyczne swego dalszego postępowania: "Nasuwają się tu oczywiście pytania, z jakiej to epoki wywodzi się ów rosyjski charakter dyplomacji angielskiej, który w XVIII wieku stał się tradycyjny. Aby sprawę tę wyświecić, musimy się cofnąć do czasów Piotra Wielkiego, które będą przeto głównym przedmiotem naszych badań".

W rozdziale pierwszym Marks wykazał "na podstawie depesz angielskich /.../, że Anglia zdradzała swych sprzymierzeńców na rzecz Rosji już za czasów carycy Anny". W rozdziałach następnych chciał przedrukować kilka angielskich druków ulotnych, aby wykazać, że "nawet jeszcze przed panowaniem Anny, w epoce, kiedy Rosja za czasów Piotra zaczęła wkraczać na arenę europejską, plany rosyjskie rozumiano, a pisarze angielscy piętnowali uległość brytyjskich mężów stanu wobec tych planów". Również te ulotki zajmowały się dyplomacją angielską, choć już poza nią wykroczyły. Marks wskazał na to już przy pierwszym pamflecie, który przedłożył czytelnikom - "Kryzysie Północnym", pamflicie o ekspansji Rosji w Europie i roli, jaką odegrał w niej wielki car.

To, że Marks był świadom niezwykłego znaczenia tego pamfletu, wynika z jego listu z 12 lutego 1856, w którym wskazał na znacznie swoich historycznych odkryć i przytoczył osiem "głównych źródeł", by je skonkretyzować. Ze źródeł tych najistotniejszy był dla niego "Kryzys Północny". Nazwał go "jednym z najbardziej niepospolitych pamfletów, jakie kiedykolwiek napisano. Mógłby, z nieistotnymi zmianami, ukasać się w 1853 r." - tzn. na początku wojny między Rosją a Turcją, która doprowadziła następnie do wojny krymskiej. Marks potwierdził swój sąd z początku 1856 latem tego samego roku. W drugim rozdziale "Rewelacji" przedrukował on ten "tak tegi pamflet" w całości.

a. "Kryzys Północny" /główna część drugiego i początek trzeciego rozdziału/

Marks opisywał pamflet "Kryzys Północny" jako dokument "wydrukowany w Londynie w 1716 roku" i dotyczący "planowanej przez Danię, Anglię i Rosję inwazji na Skanię /Schonen/". Kryzys spowodowany niedojściem do skutku planowanego przedsięwzięcia militarne-go był kryzysem północnym, logicznie włączającym się w szereg innych wydarzeń na północy kontynentu. Wielka wojna północna /rozpoczęta w 1700/ doprowadziła do "przymierza północnego", które, jak zauważył Marks, "zawarte zostało między Rosją, Danią, Polską, Prusami i Hanowerem" /a przez Hanower również Anglią/. Miało ono na celu "rozbiór nie właściwej Szwecji, lecz tego, co można by nazwać szwedzkim imperium". Dwaj członkowie partnerzy tego przymierza, Dania i Rosja /a przejściowo również bardzo silnie wtedy zaangażowana Anglia/ planowali w roku 1716 inwazję na najbardziej wysuniętą na południe część Szwecji, Skanię, ale podjęte przez Piotra militarne i dyplomatyczne przygotowania do tego przedsięwzięcia stanowiły zagrożenie dla niektórych jego europejskich sojuszników, przede wszystkim dla Danii. W związku z tym rząd duński zrezygnował 26 września z planu Skanii i przez oficjalnego rzecznika opublikował "prawdziwą relację" dla "wszystkich

bezsronnych osób" mającą wyjaśnić jak doszło do kryzysu przemierza.

W swojej "przedmowie" /pierwszym z różnej długości odcinków/ anonimowy autor "Kryzysu Północnego" zwrócił się do wszystkich poważnych /wolnych od fanatyzmu/ Anglików z obu partii, gotowych wyciągać korzyści ze studiów "praw narodów" i "nauk politycznych". W odcinku drugim odtworzył on "nutę" duńskiego wyjaśnienia afery skańskiej.

W tytule pamfletu autor stwierdzał, że wyjaśnienie to stanowi punkt wyjścia dla "bezsronnych rozważań o polityce cara", które pojawiając się w tekście jako odcinek trzeci, tworzą jądro dokumentu. W krótkim "postscriptum" /4/ autor pamfletu streścił eliptycznie sens swojej "niewielkiej opowieści". Zapowiedział go już w tytule<sup>x</sup> wierszem Vergiliusza: "Parvo motu primo mox se attollit in auras"<sup>xx</sup>. Wiersz ten mówi o sile, która z niczego staje się potworem, potworem, który, jak tłumaczy poeta, wstępuje w przestworza i wprawia ludzkość w przerażenie.

Anonimowy autor, konkretyzując tę myśl w odcinku trzecim swojego pamfletu, w postaci Piotra Wielkiego, uważał że odcinek ten jest zarazem "przestroga" przed ogromnym niebezpieczeństwem, stanowi "utwór ostrzegawczy" /warning piece/, który zarówno świat współczesny, jak również potomni muszą sobie wziąć do serca. Z dumnym przekonaniem stwierdził, że - podobnie jak inni przed nim - postawił sobie wiekopomny monument. "Exegi Monumentum". Ten "utwór ostrzegawczy" znalazł szeroki oddźwięk. Marks określili go jako dokument nadzwyczajny. Rieszonowowi wydał się godny uwagi. Lenin nie chciał zająć wobec niego stanowiska. Makrohistoriografia! Makrostrategia!

#### b. Rola Piotra Wielkiego w historii politycznej oczami autora "Kryzysu Północnego"

W "Kryzysie Północnym", zgodnie z jego tytułem i treścią, chodziło o rolę wielkiego cara w politycznej historii Rosji. By objaśnić tę rolę, dokument zajął się "naturą" i "celami" Piotra. Argument dotyczący "natury" Piotra postulował: ponieważ car był "prawdziwym politycznym geniuszem", był on w stanie uporać się z trudnościami prawie nie do przewyżnienia. Argument dotyczący jego "celów" postulował: "nastawiony na ziemię i bogactwo" i kierowany "nienasyconym pożądaniem bogactw i nie zaspokojonym pragnieniem panowania" car dążył do tych celów "wszystkimi przydatnymi środkami". Na czym polegały te "przydatne środki"? Piotr był "samowładnym panem mienia i honoru swoich poddanych" /który wszyscy byli "w całkowitej u niego niewoli"/. W następstwie tego "przydatnymi środkami", którymi się posługiwał, były oczywiście te brutalne metody, które odpowiadały jego nieograniczonemu despotyzmowi. Warunki, w których próbował zaspokoić te "dwa naturalne spetyty", były niepewne. Brakowało mu zarówno "bogactwa potrzebnego do utrzymania wojska" jak i "biegłych w sztuce wojennej żołnierzy" - w sztuce polegającej na nowoczesnej "nauce wojennej", która nie była wprawdzie nieszbędna w konfrontacji militarnej z

<sup>x</sup> brak w wydaniu polskim (przyp. tłum.)

<sup>xx</sup> Zrzętu niewielka, bo załączniona, niebawem się wznoś w niebo, Vergiliusz, Eneida IV, 238-240, tł. Zygmunt Kubiak, Warszawa 1987 (przyp. tłum.).

Turkami i Tatarami, ale w stosunkach z "cywilizowanymi częściami chrześcijańskiego świata".

Autor "Kryzysu Północnego" był zdania, że Piotr znajdował się w "niepewnym położeniu" /"indifferent position"/. Nie wyjaśnił tego pojęcia, lecz wykazał, że car, który w młodości był "konsekwentnym geniuszem", czynił nie tylko to, czego to położenie wymagało, ale również to, co dawało się z nim pogodzić. Piotr zdobył na Zachodzie zdolności i umiejętności, których świat rosyjski nie posiadał i na ich podstawie ukształtował i zreorganizował z powodzenia swoje siły zbrojne. Z równym powodzeniem działał przy werbunku wykwalifikowanych robotników i marynarzy, których potrzebował do różnych swoich zamysłów. Miał wreszcie nadzieję, że w ten sposób zostanie "panem na Bałtyku". Zmierzał do przejęcia władzy nad handlem północnym i południowym. Swoje porty bałtyckie, Petersburg i Rewal sacpastrzył w tak dobre umocnienia, że zwracały one uwagę "nie tylko na Bałtyku, ale nawet w Europie".

W toku swych rozważań anonimowy autor uwzględnił wiele różnorodnych punktów widzenia, nie zawsze w sposób systematyczny, ale często stymulujące. Zwrócenie przez niego uwagi na stosunki ekonomiczne, bynajmniej nie imponujące z angielskiego punktu widzenia, odsłoniło problem, którego wymiaru dziejowego autor nie dostrzegł. Nie wyciągnął on również odpowiednich wniosków co do rewolucyjnego charakteru postępowania Piotra, na który wskazywał. Geniusz Piotra, który jemu samemu wydawał się nie dość doceniany, nie zajmował go tak, jak fenomen leżący u jego podstaw zajmował Hegla /i jak zajmował w latach 1856/57 Marksa/. Ale martwił on go bardzo. Zwracając uwagę na ten fenomen nawiązał do wersu Wergiliusza cytując go z wyrazną przyjemnością. "Powiedzą niektórzy", tłumaczył na końcu swojego przeglądu operacji militarnych i politycznych Piotra, które stosunkowo niewielkimi nakładami osiągały zdumiewające sukcesy, "że ze skromnych początków wysnuwam wielkie i nieoczekiwane wnioski". Zbijał ten zarzut kontrargumentem łączącym północne przedsięwzięcia Piotra z osadą mocarstwa zachodnioeuropejskiego, Holandii: "Oponentowi takiemu odpowiadam, że powinien on spojrzeć wstecz i zastanowić się, co mię skłoniło, aby ukazał, jak car z ziarenka piasku, jakim był pierwotnie, poprzez najbardziej nieprawdopodobne i nieomal nieprzeskoczywalne trudności do takiej obecnie urosł potęgi, iż, jak to nawet jego adwokaci, Holendrzy, sami przyznają, stał się groźny nie tylko dla spokoju swoich sąsiadów, ale i całej Europy".

Ewolucja ta dowiodła różnicy między geniuszem a krótkowzrocznym mądem stanem. Pierwszy dostrzeża i wykorzystuje ruchy przypływów i odpływów morza, drugi tego nie czyni. Przedsięwzięcia pierwszego udają się, gdyż podąża on za okazjami, a nawet z nimi biegnie. Jeśli okazji nie dostrzeżesz i "pozwolisz im umknąć, wszystkie twoje zamierzenia skończą się niepowodzeniem".

c. Dostrzeżcie i zwalocicie wzrost potęgi Piotra /rozdział III i druga część rozdziału V/

Były to nauki, które autor "Kryzysu Północnego" chciał przekazać swoim współczesnym i potomnym. Oto, czego chciał się z tego nauczyć Marks, gdy w swoim liście z 12 lutego 1856 donosił Engelsovi o tych ze swich historycznych odkryć, które wydały mu się szczególnie godne uwagi. Cytował w tym liście dosłownie wers Wer-

gillusza o przerażającym wroście demonicznego potwora i przestrożę, której udzielał w ten sposób "Kryzys Północny". Również dosłownie cytował tam najważniejsze miejsca pamfletu "Prawda jest Prawdą tylko w swoim czasie", którego tytułu nie podał całkiem integralnie, a którego agresywne wnioski końcowe, obok innych fragmentów tekstu, demonstracyjnie przedrukował.

Nauki, które Marks wyciągnął z danych "Kryzysu Północnego", zaprezentował początkowo w rozdziale trzecim "Traktatu Obronnego", który głównie politycznymi argumentami wyraził to, co w anonimowym pamflecie było przeplatane z ogólnymi rozważaniami o Piotrze Wielkim i Rosji. Traktat obronny, o który tu chodzi, został zawarty w roku 1700 między królem Anglii Wilhelmem i królem Szwecji Karolem XII w celu zabezpieczenia interesów krajów protestanckich przed zakusami zdobywczej polityki Piotra na Bałtyku. Złamany został wkrótce po śmierci króla Anglii /1702/. Anglicy poszliwie do parlamentu, którzy surowo osadzili ten zwrot, naciskali po kryzysie skańskim na opublikowanie tekstu układu, do czego doszło w roku 1717 - z uzupełniającymi "wątpliwościami" do poszczególnych "artykułów" dokumentu. Te "wątpliwości" nadały pamfletowi styl sądowo-dramatyczny. Marks, który przedrukował obie części, zwiększył dramaturgię pamfletu wstępem, w którym zajął krytyczne stanowisko wobec argumentu handlowo-politycznego rozpowszechnianego przez angielskich zwolenników polityki prorosyjskiej. Posługując się danymi statystycznymi stwierdził, że "niczego chyba tak nie wyolbrzymiano jak perspektyw, jakie za czasów Piotra Wielkiego i jego bezpośrednich następców otworzyły się dla handlu Wielkiej Brytanii na olbrzymim rynku rosyjskim".

Pamflet "Prawda jest Prawdą..." /1719/ nadał argumentowi handlowemu sens kojarzący realia gospodarcze polityki rosyjskiej Anglii z politycznymi realiami stosunków angielsko-rosyjskich. Zamiast przedrukowywać "Prawdę..." w całości, jak to pierwotnie planował, dał tylko krótki "szarys" treści pamfletu. Zdaniem autora nakazem politycznej mądrości było zmuszenie Moskali do "odstąpienia wszystkich prowincji nadbałtyckich, które wtenczas posiadały i pozostania w tej części Europy tylko potęgą lądową". Jednak w rozszerzającym się konflikcie z Rosją "wojna okazałaby się /.../ nieunikniona". Ogólnie mówiąc "wyrugowanie Moskali z Bałtyku jest w tej chwili głównym zadaniem naszego rządu".

d. Nauki z krytycznych pamfletów angielskich, które dla Marksa znaczyły więcej niż dla ich autorów

Te fragmenty pamfletu "Prawda..." wieńczą piąty i ostatni rozdział "Rewelacji". Podobnie jak oba pierwsze pamflety i ten był oparty na przekonaniu, że Rosja Piotra Wielkiego jest niebezpieczeństwem dla Anglii /i całego Zachodu/. Dla autorów tych krytycznych pamfletów znaczyło to wiele. Dla Marksa znaczyło to więcej. Od 1853 roku Marks rozważał możliwość takiego zagrożenia motywowanego przyczynami zakorzenionymi w historii powszechnej, z tych samych przyczyn wątpiąc jednak pierwotnie w jego skuteczność. Gdy w 1854 angielski dyplomata Urquhart mówił o awansie Rosji do rangi władcy świata, Marks uznał go za "monomana". A gdy w tymże roku Engels zaprzeczał, jakoby post-piotrowa Rosja stanowiła poważne niebezpieczeństwo dla świata, podzielał w zasadzie jego poglądy. Zimą 1855/56 zmieniło się to. Tym, co zaważyło na tej zmianie poglądów był najwyraźniej pamflet "Kryzys Północny".

autor "Kryzysu Północnego" łączył nadzwyczajne rozumienie tematu z ciętym humorem noszącym czasami klasyczne znamiona. Parlamentarni autorzy "wątpliwości" do traktatu obronnego traktowali zdradę, której dopuścili się angielscy mężowie stanu o orientacji prorosyjskiej z rzadko spotykaną ostrością. A fakt, że autor "Prawdy...", George Mackenzie, był od 1710 do 1715 /czyli w szczytowym punkcie piotrowych operacji/ angielskim ambasadorem w St. Petersburgu i został odwołany ze stanowiska na żądanie Piotra, nadawał jego pamfletowi szczególnego autentyzmu. Bardziej jednak niż te znane Marksowi fakty poruszyła go próba odnalezienia przez autora "Kryzysu Północnego" w mnogości autentycznych wydarzeń nie tylko ważnych, ale i "ogólnych" perspektyw. Zdaniem Marksa autor tego "utworu ostrzegawczego" dojrzał w tych wydarzeniach "ogólny system polityczny Rosji" /"the general system of Russia"/ i usiłował określić "naturę" i "cele" twórczego historię Piotra. Były to niezwykle ramy pojęciowe, w których fakty podane przez trzy krytyczne pamflety nabrały dla Marksa znaczenia - i przekonały go, że potęga piotrowej Rosji i jej zagrożenie dla Zachodu były rzeczywiste. Były to jednak również te ramy pojęciowe, które według Marksa nie wystarczały do rozwiązania problemów postawionych przez autorów trzech pamfletów, a zwłaszcza przez anonimowego autora pierwszego pamfletu.

Autor "Kryzysu Północnego" był wykształconym Europejczykiem XVIII wieku, któremu nie nastręczało trudności przytaczanie łacińskich cytatów i który radził swoim czytelnikom w swej mniającej się powyższymi przedmowie, by radzili się nie tylko "praw narodów", ale również "nauk politycznych" /"science of the state"/. Ale jego pamflet dowodzi, że postuluwał on więcej niż realizował. Choć charakterystyka systemu piotrowego przypominała obraz władzy absolutnej, którym Bodin opisywał "senioralną" /"despotyczną"/ formę takiej władzy /w przeciwieństwie do jej "rojalistycznej" formy/, nie rozwinął on w swojej argumentacji tych pojęć. I w odróżnieniu od tego, co autor "Republique" opisywał w tym kontekście w 1576, nie powiedział on, że system senioralny, będący regułą w Azji i w Afryce, panował tylko w dwóch krajach należących geograficznie do Europy - w Turcji i w Rosji.

Marksa przeceniał autor "Kryzysu Północnego", który dostrzegał wprawdzie więcej zależności niż autorzy dwóch pozostałych pamfletów /dostrzegał zależności mezo-historyczne, by posłużyć się moją terminologią/, ale na nich poprzestał. Marks, opierający się na przewyższeniach klasycznej nauki o polityce i rozwijający jej elementy makrohistoryczne szerzej niż Bodin, nie mógł zadowolić się opisem specyficznego systemu absolutyzmu i politycznej niewoli, który panował w Rosji.

Trzy krytyczne pamflety przypisywały rosyjskiemu protagoniście dramatu współczesnej historii powszechnej przerastającą realność, której sam Marks przed 1856 rokiem nie dostrzegał. Naukowo mógł ją jednak uznać tylko wtedy, gdy "ogólny system polityczny Rosji" został stosownie objaśniony. Marks, który przed swoimi historycznymi odkryciami nie był w stanie tego uczynić, czuł teraz, że jest do tego zdolny. Po zakończeniu trzeciego rozdziału "Rewolucji" przerwał swój dokumentalny opis i w nowy sposób sformułował swoją ocenę Rosji. Nie porzucił wprawdzie pamfletu "Prawda" /jak już wspomnieliśmy, wrócił doń w ostatnim rozdziale/, ale

rozdział czwarty otworzył następującym stwierdzeniem: "Zanim przejdziemy do analizy pamfletu zatytułowanego "Prawda jest Prawdą tylko w swoim czasie", którą zamkniewy to wprowadzenie do rewelacji dyplomatycznych, wydaje się wskazane poprzedzić ją kilkoma uwagami o ogólnej historii polityki rosyjskiej".

#### ZARYS RÓWNIEM PORĘŻNEJ JAK NIEPOKOJĄCEJ NOWEJ HISTORII POLITYKI ROSYJSKIEJ

Skoro Marks określił planowany przez siebie szkic jako "pro-wizoryczny", chciał w ten sposób wyraźnie zaznaczyć, że temat wymaga bardziej wyczerpującego potraktowania niż to, które mógł dać wtedy. Gdy jednocześnie napisał, że chce tu przedstawić krótką "ogólną" historię rosyjskiej polityki, dał do zrozumienia, że w tej części rewelacji dyplomatycznych myślał nie tylko o polityce zagranicznej kraju, ale również o jego polityce wewnętrznej. Ponieważ od 1845 Marks postrzegał stosunki polityczne danego kraju w ich kontekście społecznym, ponieważ od 1853 był przekonany, że pod względem społecznym Rosja była związana ze światem wschodnim i ponieważ od 1856 był przekonany, że ten związek z Azją oddziaływała "dramatycznie" /tragicznie/ na nowe piętrowe stosunki z Zachodem, przyjął że jego najświetniejsze odkrycie może mieć "decydujące znaczenie historyczne". Semi-azjatyckie rewelacje! Quasi-zachodnie /piętrowe/ rewelacje! Czy te /dynamiczne/ interpretacje były sensowne? Czy inne /statyczne/ interpretacje były sensowne?

#### 1. Mongolski dzieł wodny

Marks, który latem 1853 nawiązując do wpływów bizantyjskich traktował dynastię Rurykowiczów jako pierwowzór współczesnej Rosji, porzucił pośrednio tę hipotezę, gdy uznał znaczenie Tatarów dla carskiej Rosji. Bezpośrednio odrzucił on tę hipotezę w latach 1856/57, gdy jego najnowsze odkrycia skłoniły go do rozpatrzenia na nowo azjatyckiego /semi-azjatyckiego/ podłoża Rosji. Marks antycypował wyniki późniejszych i bardziej zróżnicowanych badań o wczesnej historii Rosji i o roli podboju Rosji przez Mongołów, gdy w swoich "Rewelacjach" podkreślał radykalne znaczenie tego podboju dla ewolucji Rosji. W rozdziale czwartym stwierdził, że "polityka pierwszych Rurykowiczów różni się zasadniczo od polityki dzisiejszej Rosji".

#### 2. "Feudalne" początki, które w najlepszym razie były protofeudalne

W "Rewelacjach" Marks szukał w Rosji Rurykowiczów jej ogólnych cech charakterystycznych. Nie uważał teraz tych cech za azjatyckie /w sensie bizantyjskim/, lecz za być może wczesnofeudalne. W swoich uwagach o podboju Rosji przez Normanów dostrzegł "magiczny urok" wywierany na Waregów przez Ostrow /Konstantynopol/. Uważał jednak, że "sposób prowadzenia wojny przez pierwszych Rurykowiczów i ich organizacja podbojów w niczym nie różni się od tej, jaką stosowali Normanowie na innych obszarach Europy" - tzn. Europy przed Karolem Wielkim. W opanowanej przez Normanów Rosji istniało "wasalstwo bez lenna, względnie lenno sprowadzające się tylko do płacenia danin", niejednolite imperium, które w końcu "zostało rozdrobnione na dzielnice podzielone między potomków pierwszych zdobywców, którzy dzielili je dalej, rozdarte przez interwencje obcych ludów".

Jeśli nawet świat kijowski nosił w sobie załączki ewolucji feudalnej, to zostały one zniszczone przez rozkład tego świata. Umocnił on Mongołom /Tatarom/ nałożenie ich jarzma znajdującej się wówczas w bliżej nieokreślonym stanie Rosji. "Pojawienie się groźnego Czyngis-Chana" Marks nazwał wydarzeniem stanowiącym wstęp do tego przełomu i sygnałem zapowiadającym nadejście jakościowo nowego zwrotu w historycznej ewolucji: "Nie w surowym blasku epoki Normanów, lecz w krwawym grzęzawisku mongolskiej niewoli poczęła się Moskwa".

### 3. "Mongolska niewola, "moskiewska potęga" "narody azjatyckie"

Mongolska niewola. Co Marks miał na myśli, gdy rozpoczął tym terminem swoje wywody o Moskwie? Zrozumiałe, że w "Rewelacjach" nie udzielił odpowiedzi na to pytanie. Mówił jednak o mongolskiej niewoli jako o polityce, która stanowiła kolebkę Moskwy i istniała nadal jeszcze po "emancypacji" Moskwy z tatarskiego jarzma, a nawet jeszcze pod rządami Piotra Wielkiego. Dlatego musimy zwrócić się teraz ku informacji, której Marks udzielił w swym tekście /bądź której udzielić zaniedbał/; i musimy tu, tak jak i w innych przypadkach, poszukiwać wyjaśnień w jego późniejszych wywodach.

Marks wiedział, że Mongołowie byli hodowcami bydła. Czy traktowali ujarzmione przez siebie narody jak bydło - tj. w sposób bestialski, gdy tylko wydawało im się to korzystne? Według Marksza Iwan III po uwolnieniu się spod jarzma tatarskiego utrzymał wprowadzoną przez Iwana I politykę "niewolnika, który stał się panem". "Charakter narodu, zamiast się umacniać, zdawał się pod ręką Iwana słabnąć". Czy system mongolskiej niewoli stał się przez to jeszcze gorszy?

Tego pytania Marks nie omówił ani w odniesieniu do polityki Iwana III, ani Iwana IV /"Groźnego"/, ani Piotra Wielkiego. O polityce Iwana Groźnego nie powiedział zupełnie nic, poza paroma uwagami o dziewiętnastowiecznych podbojach Moskwy na wschodzie i zachodzie, które nazwał "wątpliwymi". Przepuszczalnie traktował on tę politykę jako kontynuację systemu wprowadzonego przez Iwana III i w jego rozumieniu była ona nią chyba istotnie. Wyraźnie obarczył on Piotra I odpowiedzialnością za kontynuowanie niewolniczej polityki Moskwy pozostawiając jednak otwartą kwestię, czy jego polityka wewnętrzna nosiła znamiona bestialstwa, jak to uważali współcześni obserwatorzy rosyjscy i zagraniczni. Najnowszy rozwój sytuacji w Rosji nadaje temu problemowi nowe i smutne znaczenie. Zwiększa to nasze zainteresowanie tym, co Marks powiedział o problemie takiej niewoli.

Moskiewska potęga. Na ten fenomen Marks wskazał w rozdziale czwartym. A w rozdziale piątym i ostatnim twierdził, że potęga taka przejawiała się w specyficznym "oddziaływaniu" /"agency"/, mocno ograniczoną przez "stagnację narodów azjatyckich i ich ograniczone stosunki".

Narody azjatyckie. Polityczna praktyka narodów azjatyckich /orientalnych/, którą pod wpływem Engelsa próbował w 1853 definiować Marks, wyrażała się w polityce wewnętrznej w opartym przez państwa /scentralizowanym/ systemie "finansowym", w państwie fiskalnym, jak również w kontrolowanych przez państwo, wielkich scentralizowanych "robotach publicznych", przede wszystkim

dla rolnictwa /prace nawadniające/, wykonywanych w kontrolowanych podatkowo rozproszonych wioskach Orientu. W pierwszej ze swoich "Obserwacji o Indiach"<sup>x</sup> /i o Azji w ogóle/ Marks reprezentował pogląd, że pochodzenie azjatyckiego systemu władzy należy tłumaczyć czynnikiem ekonomicznym /hydraulicznym/<sup>xx</sup>. Jego dalsze istnienie gwarantował specyficzny azjatycki ustroj rolny, o którego organizacyjnie wybitnym aspekcie fiskalnym Marks wielokrotnie mówił - przed "Rewelacjami" zwłaszcza w 1853 roku, a po "Rewelacjach" przede wszystkim w tomie I "Kapitału". Z obu najważniejszych dla polityki wewnętrznej rządowych agend Azji Rosja posiadała w okresie mongolskim i post-mongolskim tylko jedną -- fiskalną.

Marks nie rozważał w tym kontekście scentralizowanej armii stanowiącej według jego zdania /na które wpłynął Engels/ najważniejszą agendę polityki zagranicznej państw azjatyckich. Zaniechał tego przypuszczalnie dlatego, że ewolucja fiskalna /pierwotnie na bazie gospodarki hydraulicznej, następnie bez niej/ wydawała mu się decydująca. W swoich uwagach o Rosji przedmongolskiej nazwał on ówczesną wojskowość "feudalną". Nie używał tego określenia wobec mongolskiego i przedmongolskiego okresu historii tego kraju. Ale jego brak zainteresowania armią okresu przedpiotrowego i piotrowego, której specyfikę naskicował 50 lat później Max Weber w swoim opracowaniu o "starym" /przedpiotrowym/ i piotrowym systemie "miestniczestwa" /hierarchii/, jest jednym z niedociągnięć jego eliptycznej analizy, niedociągnięciem godnym ubolewania, tym bardziej że rzeczywista ewolucja tego systemu pasuje idealnie do marksowskiego opisu rozwoju mongolskiego i post-mongolskiego ustroju Rosji.

Moskiewscy władcy stataryzowanej Rosji, których pionierem był Iwan I, zmienił swe ziemie w państwo scentralizowane fiskalnie; Iwan I przekonał Mongoła Chana, by ten mianował go "swym poborcą podatków na obszarze całej Rusi". I chociaż wiedział on zapewne doskonale, jak obchodzić się z mieczem, gdy wydawało mu się to użyteczne, to właśnie umiejętne wykorzystywanie sakiewki /dochodów publicznych/ sprawiło, że stał on się "twórcą moskiewskiej potęgi". Charakterystyczne jest, że "jego lud nazwał go Kalitą, czyli sakiewką, gdyż nie mieczem, lecz sakiewką torował sobie drogę".

Polityka zniewolenia, w której Iwan I "naśladował" Mongołów, będąca mongolskim wariantem azjatyckiego despotyzmu, została zachowana i rozwinęta przez Iwana III. Przetrwiała ona w niezmienionej formie do czasów Piotra Wielkiego i nowoczesnej Rosji. Marks dwukrotnie sformułował swoją tezę o identyczności, zanim zaczął mówić o przekształceniu państwa moskiewskiego w Rosję dokonany przez Piotra w formie "śmiałej syntezy" wpływów wschodnich i zachodnich. Chciał najwyraźniej jednoznacznie udowodnić, że w tej przemianie /metamorfozie/ i syntezie źródła azjatyckie były czynnikiem permanentnym, podstawowym: "Wystarczy jedne imiona zastąpić innymi, aby jasno wykazać, że między polityką Iwana

<sup>x</sup> tytuł oryg. "Beobachtungen über Indien" (przyp. red.)

<sup>xx</sup> patrzy Egon Findelkand: Analiza despotyzmu orientalnego "według Wittfogela", "Europa" nr 1/1989 str. 128 (przyp. red.).



III a polityką współczesnej Rosji istnieje nie podobieństwo, lecz identyczność". Z uwagi na decydujące znaczenie, jakie Marks przypisywał czynnikowi azjatyckiemu /mongolskiemu/ również w Rosji Piotra Wielkiego i następującej po nim epoce oraz dlatego, że podstawowy argument zawiera niezwykle problemy, których nie wolno nam zapomnieć, chcę zacytować tu również treść drugiej marksowskiej tezy o identyczności, która następuje bezpośrednio po pierwszej: "Iwan III udoskonalił jedynie tradycyjną politykę Moskwy pozostawioną mu w spadku przez Iwana I Kalitę". A "Iwan Kalita, ów mongolski niewolnik", rozwinął "cały system najędźniejszych niewolniczych podstępów /.../ Także użycie siły mogło stać się tylko jedną z intryg w całym tym systemie intryg, korupcji i potajemnego zagarniania władzy. Żanim nie otrul, nie mógł uderzyć. Jedność celu wyrażała się u niego dwoistością działania /.../ Politykę tę podszeptał Iwanowi Kalicie szczególny charakter tej rasy, zarazem panów i niewolników. Polityka ta była kontynuowana przez Iwana III. Była ona także polityką Piotra Wielkiego oraz polityką współczesnej Rosji, bez względu na zmiany nazwy, miejsca i charakteru wykorzystywanej przez nich wrogiej potęgi".

#### 4. Piotr Wielki - "twórca nowoczesnej polityki rosyjskiej"

Marks mówił tu o rosyjskiej polityce uszupacji, czyli o polityce zagranicznej kraju. Kładł jednak równocześnie nacisk na politykę wewnętrzną Rosji /Moskwy/, politykę mongolskiej niewoli. Gdy zaczął mówić o metamorfozie, która jego zdaniem została narzucona Moskwie przez Piotra Wielkiego, wymienił na początku po prostu moskiewską "metodę uszupacji". Ale i tu uzupełnił swoje uwagi o polityce zagranicznej ważnymi stwierdzeniami o polityce wewnętrznej Piotra. A kiedy potem, w ostatnim odcinku rozdziału czwartego przechodził od jednego aspektu politycznego do drugiego podkreślił raz jeszcze, że istotą polityki rosyjskiej od początku panowania mongolskiego do Piotra Wielkiego była polityka wewnętrzna kraju łącząca niewolnika Mongołów z mongolskim władcą. "Reasumując, Moskwa wyrosła i wychowała się w straszliwej i ohydnej szkole mongolskiej niewoli. Nabrała sił jedynie przez to, że stała się wirtuozem w sztuce niewolnictwa. Nawet wyzwolwszy się Moskwa nadal odgrywała swą tradycyjną rolę niewolnika, który stał się panem. Piotr Wielki połączył wreszcie polityczny spryt mongolskiego niewolnika z ambitnymi dążeniami mongolskich władców, którym Czyngis-Chan przekazał w testamencie podbój całego świata".

##### a. Nowa metoda uszupacji

Przebiecie się Piotra do obszaru bałtyckiego miało dwa zasadnicze aspekty. Na zewnątrz nadal on swej potęgze wymiar europejski, którego mimo jego sukcesów na innych wybrzeżach morskich dotąd nie posiadała. Zapewniał Rosji "od razu supremację wśród sąsiednich państw północnych" i "bezpośrednie stałe kontakty z wszystkimi punktami Europy".

Marks nawiązał tu do politycznego i społecznego znaczenia sytuacji. W argumentacie tym rozwinął tezę geohistoryczną, którą sformułował wspólnie z Engelsem w latach 1845/46 i która miała u podstaw przekonania, do których doszedł już wcześniej. Powoływał się zatem na jedną ze swoich realistycznych /materialistycznych/

zasad, której jednak w swym eliptycznym opisie nie podał, a która zasługiwałaby na obszerniejsze opracowanie.

b. Nowe narzędzia, od których zależało powodzenie nowej polityki zagranicznej Piotra

Piotr Wielki stworzył politykę nowej Rosji. Stworzył ją przez oparcie nowej metody polityki zagranicznej /uzurpacji/ na nowych metodach polityki wewnętrznej. Stał się owym "twórcą", według opinii Marksa, "jedynie przez to, że starą moskiewską metodę uzurpacji pozbawił jej czysto lokalnego charakteru i przypadkowych domieszek, sprowadził ją do abstrakcyjnej formuły, uogólnił jej smierzenia i postawił przed nią wyższy cel dając już nie do przełamania określonych granic potęgi, lecz do osiągnięcia potęgi bez granic".

W zdaniach tych Marks zaznaczył, że w innowacjach Piotra chodziło o więcej niż o zmiany terytorialne. Zakończył on wyżej cytowany akapit stwierdzeniem, że zmiany te dotyczyły "systemu" Rosji: Piotr "przekształcił Moskwę we współczesną Rosję nie poprzez wzbogacenie jej o nowe prowincje, lecz poprzez uogólnienie jej systemu". A w ostatnim akapicie przedostatniego rozdziału zebrał on wypracowane do tego momentu poglądy w cytowanej wyżej prowizorycznej sumie, w której tylko raz, w ostatnim zdaniu, mówił o polityce zagranicznej Rosji, natomiast kilkakrotnie o polityce wewnętrznej kraju, o "niewolnictwie". Również tu, w rozdziale czwartym, Marks zaniechał wyjaśnienia specyficznego znaczenia jego formuły niewolnictwa. W rozdziale piątym i ostatnim stwierdził jednak jednoznacznie, że poddani /"niewolnicy"/ Piotra zaczęli odgrywać nową rolę, gdy stali się narzędziem w nowej polityce zagranicznej i wewnętrznej Rosji.

Autor "Krytyki Północnego" tłumaczył sukces Piotra zasadniczo "naturą" cara. By osiągnąć swoje "cele" Piotr ze swoją genialną osobowością potrafił wyciągnąć z danych mu "nieokreślonych" warunków to, co najlepsze. Marks nie obciął się jednak zadowolilił wzmianką o znaczeniu osobowości. Bez bliższego definiowania jakości i wagi tego czynnika /który milcząco uznawał/ kładł on nacisk na ogólny polityczny /instytucjonalny/ sposób analizy.

By wykorzystać Zachód dla swoich celów, Piotr Wielki był zdaniem Marksa "zmuszony Rosję ucywilizować" /podkreślenie Marksa/. By to osiągnąć, musiał użyć zachodnich narzędzi przeciwko Zachodowi. "Zagarnąwszy prowincje bałtyckie zdobył on od razu środki potrzebne mu dla przeprowadzenia tego procesu". Zdobył tym samym z jednej strony "dyplomatów i generałów, a więc mózgi, przy pomocy których mógł wprowadzić w życie swój system politycznego i militarnego oddziaływania na Zachód", a tereny te zaopatrzyły go ponadto w "całą armię urzędników, nauczycieli i podoficerów, którzy nie zawzięci są Roszjanom idei zachodnich wieli ich wymuszować i pociągnąć pokostem cywilizacji, tak aby mogli korzystać z osiągnięć technicznych narodów zachodnich".

Różnica między tą argumentacją a argumentacją przedstawioną przez Engelse i Marksa w latach 1854/55 jest oczywista. Według argumentacji wcześniejszej próba narzucenia Rosji cywilizacji zachodniej była niewygodna i sztuczna. Ponieważ próba ta została przeprowadzona za pomocą "barbarzyńskiego" i "półbarbarzyńskiego" materiału i w bezpośrednim zdarzeniu z Zachodem musiała skończyć

się fiaskiem, a Zachód wyszedł z tego zdarzenia nietknięty i być może silniejszy niż kiedykolwiek.

Dane zawarte w osiemnastowiecznych angielskich pamfletach krytycznych przywiódł Marksa do przekonania, że przemiana, której dokonał Piotr, nie była złudą, lecz rzeczywistością. Nie nastąpiła ona za pomocą materiału barbarzyńskiego ani półbarbarzyńskiego, lecz za pomocą nowej siły - "natury" Piotra, ukształtowanej przez Zachód i jego ludzi oraz przez zdobyte na Zachodzie zdolności. Jej wpływ na Zachód był doprawdy niezwykły. Stanowiła ona rzeczywiście osłabienie, a także niebezpieczeństwo dla Zachodu. Marks dostrzegł teraz, w jak skuteczny sposób Rosja robiła użytek z zachodniej cywilizacji. Przypisywał to faktowi, że rosyjski "twórca" nie próbował przejmować cywilizacji zachodniej bez ograniczeń i bez wyboru. Selektywnie wykorzystywał wykształcone elementy podbitych prowincji bałtyckich, zdolne mózgi, "przy pomocy których mógł wprowadzić w życie swój system polityczny i militarne oddziaływanie na Zachód" - system zachodniego oddziaływania, znany bałtyckim dyplomatom i generałom, który Piotr przyswoił sobie sposobem opisanym, w znacznej mierze ku wyraźnemu zadowoleniu Marksa, przez autora "Kryzysu Północnego".

Po "tłumach" niższych urzędników bałtyckich, drugiej grupie "narzędzi" spodziewano się, że nie są oni tak obeznani z ideami zachodniej cywilizacji jak "mózgi". Od członków tej grupy oczekiwano tylko, by dysponowali umiejętnością wystarczającą do wpojenia pozostającym pod wpływem Wschodu Rosjanom "osiągnięć" technicznych narodów zachodnich - "pokostu" zachodniej cywilizacji. Plebejscy "instruktorzy musztry", we współpracy z "mózgami" /każda grupa na swój sposób i na swoim poziomie/ mieli narzucić każdej z nowo wcielonych w obszar panowania rosyjskiego /nowym systemem uzurpacji/ części świata zachodniego wpływ wybranych elementów Zachodu. Ten system, wynik wynaleziony przez Piotra "śmiałej syntezy" obu głównych wpływów, dał panom afery wschodniej możliwość "uogólnienia" ich systemu i wykorzystywania elementów zachodnich wpływów i zachodniej cywilizacji celem zawiązania Zachodem. Umożliwił on Rosji wcielenie "nieograniczonego i uniwersalnego" potencjału Zachodu w służbę sprawie podboju Zachodu.

Marksa miały ten system wyraźnie przed oczami, gdy pod koniec czwartego rozdziału "Rewelacji" nazwał Piotra Wielkiego "twórcą nowoczesnej polityki rosyjskiej" i gdy w swym apokaliptycznym podsumowaniu traktował go jako rosyjskiego spadkobiercę Czyngis-Chana, któremu straszliwy mongolski władca zostawił w spadku ambicję "podboju świata".

Ten system był na początku XVIII w. wystarczająco realny /i skuteczny/, by uczynić nową górką i "cywilizowaną" Rosję "zagrożeniem dla Północy". W połowie XIX w. był on wystarczająco realny /i skuteczny/, by uczynić tę nową Rosję "zagrożeniem dla Zachodu" - Zachodu, którego narody słowiańskie miały zostać podbite przez następców Piotra Wielkiego, a Rosja zmienić się w ten sposób w "Panslawię".

Marksaowska analiza ewolucji historii powszechnej osiągnęła swój punkt kulminacyjny w wizji, która niekoniecznie musiała się sprawdzić, ale łatwo mogła stać się rzeczywistością. Przy jej

formułowaniu miał on poczucie, że powinna ona być dalej rozwijana teoretycznie i sprawdzana w praktyce. Czy Marks to uczynił? Czy rosyjscy marksiści zrozumieli tę wizję? Czy spadkobiercy Czyngis-Chana zmniejszyli ciężar azjatyckiej restauracji czy też go jeszcze zwiększyli? Czy ze względu na przypadek i wolność w dziejach powszechnych przesłanie Marksa może nam być pomocne w zwalczaniu tej restauracji?

tłumaczył M.B.

- Literatura - cytaty: Marks, Engels - Dzieła, K1W, Warszawa 1967 i 1972  
tom 12 - "Rewelacje z dziejów dyplomacji XVIII wieku", str. 23-121, tł. Zofia Jarenko-Pytkowska  
tom 29 - "Marks do Engelsa w Manchesterze /12 lutego 1856/, str. 11-16, tł. Eugenia Wolicka.

# Aleksander Hercen

## MOSKWA - PETERSBURG

Drukując po raz pierwszy niewielki artykułek o Moskwie i Petersburgu, napisany podczas drugiego mego zesłania przed laty piętnastu, spełniam życzenie przyjaciół, a między innymi tego z nich, który nadesłał mi go z Rosji. Artykuł ten podobał się wielu i obszedł całą Rosję w rękopiśmiennych kopiach. Później, w 1846 roku, umieściłem urywki zeń w krótkim opowiadaniu "Stacja Jedrono", lecz - rozumiem się - daremnie było marzyć, by cenzura przepuściła ostre miejsca. One zaś stanowiły całą wartość tej zabawki pióra. Z niejednym nie zgadzam się już, lecz pozostawiam artykuł, jakim był, poczuwając się niejako do rzetelności wobec minionego.

### X X X

Gniewacie się na mnie, drohowie, że nad brzegami Wołchowa siadłszy, wciąż mówię o przeszłości<sup>2</sup> - jakby teraźniejszości nie było u nas zgoła, jakby naznaczone nam w historii tajemną granicę: nie dociekać niczego, co późniejsze od narodzin Rusi. Jakby najważniejszym zjawiskiem i sprawą w dziejach naszych było samo świadectwo metrykalne narodzin, po których nastąpił żywot tak skromny, że nic o nim rzec niepodobna... Tu was powstrzymam. Właśnie dlatego począłem mówić o przeszłości, że, jak mniemam, nie żyliście w niej, lecz zaledwie istnieli. Ale zgoda, porzućmy przeszłość!

Mówić o współczesnej Rosji - znaczy to mówić o Petersburgu, tym mieście bez historii zarówno "do", jak i "od" - o mieście teraźniejszości, mieście, które jako jedyne na owej ogromnej polaci planety, jaka zwie się Rosją, żyje, wychodząc naprzeciw potrzebom rodzimej nowoczesności. Moskwa, przeciwnie, ma pretensje do czasów minionych i rzekomego z nimi związku; przechowuje ona wspomnienia zamierzchłej jakiegóż sławy, a porwana petersburskim rozpedem spogląda zawsze wstecz - kroczy tyłem naprzód i nie widzi zaczątków europejskości, tracając ją karkiem. Życiem Petersburga jest teraźniejszość: nie sięga on wspomnieniem poza Piotra I, przeszłość uciulał sobie przez jeden wiek, nie ma ani historii, ani przyszłości: każdej jesieni oczekiwać może szkwału, który go zatopi<sup>3</sup>. Petersburg - to obiegowa moneta, bez której obejść się nie sposób. Moskwa zaś - niezwykły, by tak rzec, numizmat, bez ceny dla zbieracza, lecz nie posiadający kursu. Najprzód więc o miasto teraźniejszości, Petersburgu.

Petersburg to coś zadziwiającego. Wpatrywałem się weń i przyglądałem akademikom, kancelarjom, kozzarom i salonom - a pojąłem

niewiele. Żyjąc bez obowiązków, nie wciągnięty w wir spraw służbowych, ni w odprawy i fronty "zadań na stopie pokojowej" mogłem, że tak powiem, studiować Petersburg z dystansu wakacji. Widziałem rozmaite sfery ludzkie: ludzi, którzy olimpijskim ruchem pióra mogą dać Stanisława<sup>4</sup> lub sądząc ze stanowiska; ludzi piszących nieprzerwanie, czyli czynowników; ludzi nie piszących niemal nigdy, czyli literatów rosyjskich; ludzi nie tylko nigdy nie piszących, lecz i nigdy nie czytających, czyli ober- i sztabsoficerów lejbgwardii. Widziałem lwy i lwice, tygrysy i tygrysice, a i takich ludzi, co do śadnego zwierza, o człowieku nie mówiąc, niepodobni; są w Petersburgu w swoim żywiole jak ryba w wodzie. Widziałem wreszcie poetów z III Oddziału Kancelarii Osobistej - oraz III Oddział Kancelarii Osobistej, zajmujący się poetami. Lecz Petersburg pozostał, jak wprzód, zagadką. I teraz, gdy począł on dla mnie ginać w mgłę, którą zastania go Bóg przez rok cały, by nikt nie dostrzegł z dala, co się tam gotuje - nie znajduję sposobów przeniknięcia zagadki bytu miasta opartego na wszelkich możliwych przeciwieństwach i sprzecznościach fizycznych i moralnych ... Zagadkowe to bytowanie jest zresztą kolejnym przejawem jego nowoczesności... ów różnoprzyczynowy chaos wszechpożerający się się, przeciwstawnych kierunków, gdzie niekiedy wypłyne coś europejskiego, przebiję coś ludzkiego i otwartego, by wkrótce utonął w bagnie ospało-cierpiętniczego słowiańskiego charakteru przysjującego z apatią wszystko: książkę i knut, prawa i wysucie z nich, Piotra i tatarszczyznę - i dlatego w rzeczy samej nie mogącego przyswoić niczego, by się to nie stało wodą na slyn najdłuższych wyobrażeń o narodzie wybranym. Pojęć, jakie wypełży niedawno z mogiły - a nie smądzały bynajmniej w jej wilgotnym łonie.

Od dnia, w którym Piotr dostrzegł, że jedynym dla Rosji zbawieniem jest, by przestała być ruska; od dnia, w którym postanowił pchnąć nas w historię światową, nieodzowność Petersburga i sbyteczność Moskwy zostały określone. Pierwszym, nieuniknionym dla Piotra krokiem było przeniesienie stolicy z Moskwy. Z chwilą założenia Petersburga Moskwa stała się drugorzędna, straciła dla Rosji uprzedni sens swój i wegetowała w nicości do 1812 roku. Mówi się w przyszłości... Wiele może się zdarzyć i zapewne wiele dobrego przyniesie przyszła epoka - mówimy jednak o przeszłości i chwili obecnej. Moskwa była dla ludzkości niczym, a dla Rosji znaczyła tyle, co odmet wciągający wszystkie najlepsze siły i nie umiejący ich spożytkować. Po Piotrze Moskwę zapominano i otoczono takim szacunkiem, tudzież oznakami czci, jakimi otacza się sędziwą prababkę odbierając jej wszelki udział w zarządzaniu majątkiem. Szlachcie emerytowanej służyła Moskwa, jako przedsmak grobowej oisy, za pośrednią stację między Petersburgiem a tantym światem. Wobec Petersburga nie żywiła ona oburzenia, przeciwnie: włókła się za nią zawsze, przejmowała i degenerowała jego wody i obyczaje. Całe młode pokolenie służyło wówczas w gwardii: wszystkie talenty, jakie pojawiły się w Moskwie, wędrowały do Petersburga pisać, służyć, działać. I nagle ta Moskwa, o istnieniu której zapominano, zaplatała się ze swym Kremlen w historię Europy, spłonęła w porę i w porę się odbudowała; inię jej trafiło do biuletynów Wielkiej Armii; jej ulicami jeździł Napoleon. Europa przypomniała sobie o niej. Fantastyczne baśnie o jej odbudowie obiegły świat. Komu nie wiodły uszy od pochwał urody, z jaką

ów feniks powstał z popiołów? A warto stwierdzić, że źle odbudowano Moskwę: architektura jej budowli zda się cudaczną, z żaloznymi pretensjami; domy jej - raczej futury - karłowate, poobleplane kolumnami, przyszycone tympanonami, poodgradzane parkanami... Jakaż ona musiała być przedtem, skoro była nierównie niedźszsza? Znałtli się ludzie poczciwi, myślący, iż cios tak silny rozbudni życie Moskwy, że dojdzie w niej do głosu swojskość kształcona, lecz samotna. Ona zaś, luba gołąbka, rozpostarła się na kopę wiorst od Trojcy w Goleniszczewie do Butyrek - i spoczęła jak wprzód<sup>7</sup>. A Napoleona nie przewiduje się już!

W Petersburgu każdy człek z osobna i wszyscy razem - arcyohydni. Petersburga nie sposób kochać, a jednak czuje, że nie mógłby mieszkać w żadnym innym mieście Rosji. W Moskwie, przeciwnie, przemili ludziska, lecz nudy z nimi śmiertelne. Panuje w Moskwie swego rodzaju półdziki-półcywilizowany styl szlachecki, w petersburskiej ciasnocie ulegający wyterciu; cieszy on oko, jak wszelka osobliwość, lecz wrychle brzydnie. Szlachta rosyjska nie zna komfortu, bogata jest, ale brudna, spyszniata i prowincjonalna - dlatego też siedzi w Moskwie niczym na szpilkach i wciąż podciąga się, dogania petersburskie uroki. A wszak i Petersburg nie ma uroków własnego chowu. Oryginalnego, samistnego nie ma w Petersburgu nic - nie tak, jak w Moskwie, gdzie oryginalne jest wszystko, od absurdalnej architektury Wasilija Błatennego po smak kolaczy. Petersburg - to wcielenie powszechnego, abstrakcyjnego wyobrażenia stolicy. Odróżnia się on tym właśnie od wszystkich miast europejskich, że przypomina każde z nich<sup>8</sup>; Moskwa - tym zaś że jest do żadnego niepodobna będąc gigantycznym rozwinięciem bogatej wsi rosyjskiej. Petersburg - to parwana, brak mu uświęconych wiekami wspomnień, więzi serdecznej z krainą, do reprezentowania której wydwignięto go z błot<sup>9</sup>. Ma on policję, urzędowe gmachy, kupiectwo, rzekę, dwór, sześciopiętrowe kamienice, gwardię, nadające się do chodzenia trotuary, latarnie gazowe<sup>10</sup> naprawdę oświetlające ulice - i jest zadowolony ze swego wygodnego życia, pozbawionego korzeni i jak on sam stojącego na palach, przy których wbijaniu zginęły setki tysięcy robotników<sup>9</sup>.

W Moskwie martwa cisza: ludzie systematycznie próznąją odpoczywając przed pracą i zadowolając się egzystencją; w Moskwie po dziesiątej nie znajdziesz dorożkarza, nie dostrzeżesz przechodnia: słowiańsko-wschodnie życie w izolacji daje się poznać na każdym kroku. W Petersburgu nie ustaje ani na chwilę klekot "marności nad marnościami" i wszyscy są do tego stopnia zajęci, że prawie nie żyją. Aktywność Petersburga jest bezwysłna, lecz nawyk aktywności - to rzecz niemała. Letargiczny sen Moskwy nadaje jej mieszkańcom owo piętno pekińsko-chunchuzowskiego stolicyzmu, jaki wtrąciłby w melancholię samego ojca Joskina<sup>10</sup>. Petersburgianin stawia sobie cele ograniczone lub nikczemne, lecz je osiąga, nie zadawala go to, co jest - więc pracuje. Moskwozianin, arcyzłachetna dusza, nie ma żadnego celu i jest przeważnie kontent z siebie - a jeśli niekontent, to nie umie pośród wyśli uniwersalnych, nieokreślonych i niejasnych odnaleźć punktu bolesnego. Wszyscy literaci petersburscy - to przekupnie: nie ma tam ni jednego literackiego kółka, którego spójnią byłoby nie zysk i prywatność, lecz idea. Pisarze petersburscy, wykształceni ledwie w połowie tak, jak moskiewscy, nie mogą się nadziwić, przyjechawszy do Moskwy, uczo-

nya sympozjonom i biesiadom. A mimo to wszelka działalność księgarska ma miejsce wyłącznie w Petersburgu. Tam wychodzą pisma tam jest mniej barbarzyńska cenzura, tam mieszkali i pisali Puszkina, Karamzin - nawet Gogol przynależał bardziej do Petersburga, niżli do Moskwy. Są w Moskwie ludzie głębokiego umysłu, lecz siedzą z założonymi rękoma; są i literackie kółka, lecz spędzają jawowo czas na nieprzerwanym dowodzeniu we własnym gronie jakiejś pożytecznej wyśli - na przykład, że Zachód ginie, a Ruś rozkwita. W Moskwie wychodzi jedno pismo, a i to - "Moskwitianin".

Mieszkaniec Moskwy kocha krzyże i caremonie, mieszkaniec Petersburga - pieniądze i rangi. Moskwiczanie wielbi arystokratyczne koligacje, petersburżanin - znajomości z osobami na stanowisku. Dadzą Moskwiczanie Staniława na szyję - nosi go na brzuchu; petersburżanin opięty jest Włodzimierzem<sup>11</sup> niczym pies obroźą ze sprzączką czy odcięty wisielec stryczkiem. Można w Petersburgu przeżyć ze dwa lata nie domyślając się, jaka panuje w nim religia: nawet cerkwie trącą tam katolicyzmem. W Moskwie drugiego dnia po przyjeździe poznacie prawosławie i usłyszycie spżowy jego głos. W Moskwie mnóstwo ludzi chadza każdego dnia niedzielnego i świątecznego na nabożeństwa - są i tacy, co chodzą na jutranię; w męskiej połowie Petersburga na jutranię nie chadza nikt, zaś na usze tylko Niemcy do kirchy, tudzież przyjezdni chłopci. Z relikwii jest w Petersburgu jedna tylko: domek Piotra; w Moskwie spoczywają relikwie wszystkich świętych rosyjskich, jakie nie zmiesciły się w Kijowie - nawet takich, których śmierć jest dotąd sporna, jak na przykład Dymitr Carewicz<sup>12</sup>. Wszystkich owych świętości strzegą mury Kresła; mury Twierdzy Pietropawłowskiej chronią kazałaty i mennice.

Odległa od politycznych wstrząsów, żyjąca wczorajszymi nowinami, pozbawiona zarówno wpływu na poczynania rządu, jak instynktu odgadywania ich, Moskwa rezonuje, z niejednego niezadowolona, w niejednym wolnowyślna... Nagle zjawia się większego kalibru Iwan Aleksandrowicz Chlestakow: Moskwa kłania się w pas, rada odwiedzinom wydaje obiady i bale, przekazuje z ust do ust bon-moty. Petersburg, w którego jądrze dzieje się wszystko, nie cieszy się z niczego, niczemu nie dziwi; gdyby wysadzono prochem całą Wyspę Wasiljewską, wywarłoby to mniejsze wrażenie, niż na Moskwie wizyta Chozrewa-Mirzy<sup>13</sup>. Iwan Aleksandrowicz nic nie znaczy w Petersburgu, nikogo nie omanisz tam ni siłą, ni władzą - wiedzą tam gdzie siła i w kim. W Moskwie do tej pory każdego cudzoziemca pozycyują za znakomitość; w Petersburgu - każdą znakomitość za cudzoziemca. Przez całe swe życie Petersburg rez tylko ucieszył się: gdy bardzo bał się Francuza, a uratował go Wittgenstein, któremu wybiegalięto naprzeciw<sup>14</sup>. W przecznej Moskwie objawić można w gazetach, że w taki to dzień wruszyła się ona, a w inny ucieszyła, generał-gubernator zaś uważa za stosowne rozkazać wystawienie orkiestry pułkowej lub urządzenie procesji. Zatem, gdy moskwiczanie płaczą nad głodem w Riazaniu, petersburżanom ani to w głowie - nie podejrzewają bowiem istnienia Riazania; a jeśli nawet mają niejasne pojęcie o guberniach wewnętrznych, z pewnością nie wiedzą, że się tam chleb jada.

Młody moskwiczanie lekceważy formy, liberalizuje i w owych właśnie liberalnych wybrykach przejawia się zatwardziały Scyta. Liberalizm ów mijs moskwiczonom po wizycie w tajnej policji. Młody petersburżanin jest formalny jak papier urzędowy, w wieku lat



szesnastu stroi dyplomata, a trochę nawet szpiega - i twardo trzyma się tej roli przez resztę życia. W Petersburgu wszystko dokonuje się przeraźliwie szybko. Polewoj<sup>15</sup> piątego dnia po przyjeździe do Petersburga stał się wiernopoddany; w Moskwie wstydziłby się i jeszcze z pięć lat oddawał wolnościcielstwu. W ogóle słabowici liberałowie moskiewscy w Petersburgu z miejsca zaczynają szukać posad, przeklinać oświatę i błogosławić rozwoły. Petersburg, niczya piec egipski, rozkrusza tylko prędzej skorupę - a jaki ptak się wykuluje, nie jego wina<sup>16</sup>. Bieliński, głoszący w Moskwie chwałę ludowości i samodzierżawia, w miesiąc po przybyciu do Petersburga<sup>17</sup> zakasał samego Ansharsisa Cłotza<sup>18</sup>. Petersburg, jak wszyscy odpowiedzialni ludzie, nie słucha paplaniny, a pragnie działania, dlatego nierzadko szlachetni krasomówcy moskiewscy okazują się kiepskimi działaczami. W Petersburgu liberałów w ogóle brak, a jeśli się jaki pojawi, i tak do Moskwy nie trafi: stąd wyprawiają się oni prosto na katorgę lub Kaukaz.

Jest w losie Petersburga coś tragicznego, urocznego i majestatycznego. To ukochane dziecię północnego olbrzyma, giganta, w którym skoncentrowana była energia i okrucieństwo Konwentu 93 roku i jego rewolucyjna siła - ukochane dziecię cara wyrzekającego się swej ojczyzny dla jej dobra i ciemiężącego ją w imię europejskości i cywilizacji. Niebo Petersburga jest wieczyście szare; słońce, świecące na dobrych i złych, jedynie Petersburga oświetlać nie raczy; błotnista gleba paruje stęchlizną; wilgotny wiatr nadmorski hula ulicami. Powtórzę: każdej jesieni oczekiwać on może szkwału, który go zatopi. W losie Moskwy jest coś mieszczanckiego, wulgarnego: klimat nie szkaradny, lecz nie dobry, domy niskie, lecz i nie wysokie. Spójrzcie na moskwiczian na Nowińskiu czy w Sokolnikach pierwszego maja: ani im zimno, ani gorąco - bardzo im dobrze i niesłychanie są zadowoleni z bud jarmarcznych, ekwipaży i z siebie samych. A teraz zwróćcie spojrzenie na Petersburg w ładny dzień. Skwapliwie wybiegają nieszczęści mieszkańcy ze swych nor i rzucają się do powozów, skaczą na wyspy, do dacz; poją się zielenią i słodcem jak arestanci z "Fidelis", lecz nawyk zatroskania nie opuszcza ich: wiedzą, że za godzinę lunie deszcz, że jutro, niewolnicy kancelarii, wyrobnicy biurokracji muszą być od rana w urzędach. Człowiek drżący od wilgoci i ziąbu, człowiek żyjący w wieczystej mgłę i szronie inaczej patrzy na świat. Dowodzi tego władza kryjąca się wśród tego szronu i zapożyczająca odeń swój nietoczyliwy i posepny charakter. Wykształcony w Petersburgu malarz wybrał dla swego pędzla straszliwy obraz dzieki, nierozumnej siły gubiącej ludzi w Pompejach - oto natchnienie Petersburga!<sup>19</sup> W Moskwie na każdym kroku przepiękny widok<sup>20</sup> - płaski Petersburg zejść można od końca do końca i nie znaleźć jednego godnego tej nazwy pejzażu; lecz, uczynisz to, wrócić wypadnie na nadbrzeża Newy i stwierdzić, że błędą przed tym wszystkie widoki Moskwy. W Petersburgu kochają przepych, lecz nie znoszą niczego szędnego; w Moskwie to właśnie, co zbytczne, uważa się za okazłość: dlatego każdy dom moskiewski ma kolumny, a petersburski nie<sup>21</sup>. U każdego mieszkańca Moskwy roi się od lokajów plugawo odzianych i próżnujących - a mieszkańca Petersburga znajdzie się jeden, schludny i bystry.

Wypada uświadomić sobie, że nie można być odmiennie wychowanym, jak Petersburg i Moskwa. Petersburg przez całe swoje życie

widział tylko błyskawiczne przewroty, strącenia i triumfy i nie zna w ogóle naszego starodawnego życia. Moskwa, która wyrosła pod tatarskim jarzmem i która zapanowała nad Rusią nie dzięki własnej zasłudze, lecz dlatego, że pozostałe ziemie były tego jeszcze mniej godne, zatrzymała się na ostatniej stronicy koszychińskich czasów i tylko ze słyszenia zna późniejsze wstrząsy<sup>22</sup>. Gdy przyjdzie pora, nadejdzie kurier, przywiesi pismo - i Moskwa uwierzy drukowanemu słowu: kto car, a kto nie car. Uwierzy, że Biron to człek dobry, a potem, że zły; uwierzy, że Bóg we własnej osobie zstąpił na ziemię, by posadzić na tron Annę Ioannowną a potem Annę Leopoldowną, a potem Ioanna Antonowicza, a potem Elżbietę Pietrowną, a potem Piotra Fiodorowicza, a potem Katarzynę Aleksiejewną na miejsce Piotra Fiodorowicza<sup>23</sup>. Petersburg wie dobrze, że Bóg nie raczy mieszać się w te ciemne sprawy: widział orgie Letniego Sadu, księżną Biron tarasującą się w śniegu i Annę Leopoldowną śpiącą z kochankiem na balkonie Pałacu Zimowego, a później zesłaną; widział on pogrzeb Piotra III i pogrzeb Pawła I<sup>24</sup>. On wiele widział i wiele wie.

Nigdzie tak często nie oddawałem się tylu posępnym myślom, jak w Petersburgu. Bywało, że przytłoczony ciężkim znużeniem, błądziłem wśród jego granitów bliski rozpaczy. Za te chwile winienem Petersburgowi wdzięczność - pokochałem go za nie tak, jak pokochałem Moskwę za to, że męczyć i dręczyć nie umiałyby nawet. Petersburg po tysiącokroć zniewala każdego uczciwego człowieka do rzucenia klątwy na ten Babilon; w Moskwie przeżyć można lata i nigdzie, poza Soborem Uspienskim, nie usłyszeć przekleństwa. Oto, w czym ustępuje ona Petersburgowi. Petersburg podtrzymuje fizyczną i moralną gorączkę; w Moskwie zdrowie wzmacnia się do tego stopnia, że kompleksja organiczna wypiera wszystkie inne czynności życiowe. W Petersburgu nie ma, poza jedynym komendantem Zacharzewskim<sup>25</sup>, ani jednego grubasa - a i ów jest otyły wskutek konturcji. Widać stąd, że kto chce żyć ciałem i duchem, nie wybierze ani Moskwy, ani Petersburga. W Petersburgu rychle skona, w Moskwie zaś zdzielinieje.

"Cóż więc, u diabła - powiecie - gadał, gadał, a komu oddaje pieraszeństwo, pojąć nie sposób". Bądźcie pewni, że i ja nie wiem. Po pierwsze, w obecnej chwili nie jest wybrać do zamieszkania zarówno Moskwę, jak Petersburg - jednakowoż, skoro istnieje fatum, wybierające miejsce zamieszkania za nas, sprawa jest skończona<sup>26</sup>. Po drugie, wszystko, co żyje, ma tak wiele stron rozmaitych, tak zadziwiająco splatających się w jeden wzór, że wszelki sąd kategoryczny jest jednostronnym nonsensem. Są w życiu moskiewskim strony, które można pokochać, znają się one i w Petersburgu - lecz nierównie więcej takich, które nakazują nie lubić Moskwy, zaś Petersburga nienawidzić. Zresztą dobre strony znajdują się wszędzie, nawet w Pekinie czy Wiedniu: to owi trzej sprawiedliwi, dzięki którym Bóg przebaczył kilkakroć grzechy Sodomie i Gomorie - lecz tylko przebaczył. Unosić się nie ma nad czym: wszędzie, gdzie mieszka wielu ludzi, gdzie żyją od dawna, trafi się coś człowieczego, poetycznego i podnoszącego na duchu. Uroczyście dźwięk dzwonów moskiewskich i procesja na Kremla; triumfalne wielkie parady w Petersburgu; ceremonialne obrzędy wschodnich buddyistów recytujących święte księgi w blasku stu dwunastu pochodni. Niewiele mamy tego poetycznego pierwiastka, a chciałoby się... Czegóż to by się nie chciało!

Prorokują teraz kolej złązną między Moskwą a Petersburgiem<sup>27</sup>. Daj Boże! Tym sposobem Petersburg i Moskwa zrównają się i zapewne w Petersburgu tańszy będzie kawior, a w Moskwie o dwa dni wcześniej wiedzied będą, które numery gazet zsganicznych zatrzymano. I o to chodź!

/zima 1841-42/

## Przypisy

- 1 Nawiązujący tytułem do Radiszczewa felieton "Stacja Jedrowo" wydrukowany został w piśmie "Moskowskiej gorodskiej listok" /numery 57, 58/ wydawanym w 1847 r. przez W. Draszuzowa.
- 2 Aluzja do Psalmu 137. Pamflet "Moskwa i Petersburg" pisał Hercen na zesłaniu w Nowogrodzie /historycznym Nowogrodzie Wielkim/ nad Wołchowem, "na wprost owego kurhanu, z którego wolterianie XIII stulecia arzucili do rzeki cudotwórczy posąg Peruna" /Hercen, "Byłoję i dumy"/. Drugie to zesłanie odbywał Hercen za zmianę w liście do ojca /prawdziwą/ o morderstwie rabunkowym popełnionym przez policjanta.
- 3 "Istnieje przesąd, że Petersburg zginie kiedyś od wody i że morze go zaleje" /"Wspominanijsa grafa W.A. Sologuba"/.
- 4 Order św. Stanisława, od 1831 rosyjski, dawał prawo do szlachectwa dziedzicznego.
- 5 "Albo Rosja nie wypełni tego, co zdaje się być jej przeznaczone, albo Moskwa stanie się kiedyś znowu stolicą imperium, bo tylko w niej spoczywa siarno niezależności i oryginalności rosyjskiej. Tam jest korzeń drzewa i tam powinno ono wydać owoce" /de Custine, "La Russie en 1839"/.
- 6 Por.: "Na Wenecyja, Paryż, Londyn drugi. Prócz ich piękności, polora, żegluga" /Mickiewicz, "Dziadów część III-ej Ustęp", 1832/.
- 7 Por.: "Na skinienie Piotra wydzwignięty z błot" /Wiazemski, "Petersburg", 1824/.
- 8 Twierdzenie optymistyczne, skoro w 1839 roku było ich 204.
- 9 Por.: "I na dnie błot grząskich spoczęły miliony" /Szewyriow "Pietrogard", 1829/.
- 10 O. Joakim /Hiacynt/ - M.J. Biczurina /1777-1853/, podróżnik i sinolog, autor dzieł "Chiny, ich mieszkańcy, charakter, obyczaje i kultura" /1840/ oraz "Opis statystyczny cesarstwa chińskiego" /1842/. Bulwersował salony w początku lat czterdziestych. "Schiaščował do tego stopnia, że nawet zewnętrznie zaczął być podobny do Chińczyka: oczy mu się zwięziły i stały się jakby skośne" /Pansjew, "Litieraturnyje wspominianijsa"/.
- 11 Order cywilny św. Włodzimierza ustanowiony przez Katarzynę II, niższej rangi, niż order św. Stanisława.

- 12 Dymitr /1582-1591/, syn Iwana Groźnego, zamordowany w tajemniczych okolicznościach w Ugliczu, ogłoszony w 1606 /po upadku Dymitra Samozwanca/ "świętym męczennikiem".
- 13 Chosrew-Mirza - książę perski stojący na czele poselstwa przybyłego do Rosji w sierpniu 1829 w związku z zamordowaniem w lutym tego roku w Teheranie A. Gribojedowa i innych członków misji rosyjskiej. Popularny wśród ludu, wielokrotnie występuje w tle opowieści petersburskich Gogola.
- 14 Ludwik Auolf Peter, książę von Wittgenstein /1786-1842/, feldmarszałek rosyjski, dowodził w 1812 korpusem osłaniającym Petersburg.
- 15 Mikołaj Polewoj /1796-1846/, publicysta, teoretyk romantyzmu, wydawca. Po zamknięciu w 1834 przez cenzurę jego pisma "Moskowskij Tielegraf" /za krytykę sztuki Kukolnika "Ręka Najwyższego zbawiła ojczyznę"/ zmienił miejsce zamieszkania i poglądy. "Na wespół niepisimienny kupiec Polewoj daje bodziec społeczeństwu, tworzy epokę w literaturze i życiu, a potem nagle nie wiadomo dlaczego haniebnie gnije i cuchnie" /Bieliński, list do W.P. Botkina, 27-28.VI.1841/.
- 16 Pomieszczenia wylęgowe w dawnym Egipcie, ogrzewane ogniem, opisuje Arystoteles; tajemnica ich strzeżona była przez kapłanów. Pliniusz podaje, że wylęgano w nich rocznie do miliona piskląt, a obsługa zmuszona była siedzieć do siedzenia na jajach do końca wylęgu.
- 17 Bieliński wyznawał: "Trzy, cztery miesiące pobytu w Petersburgu lepiej mnie przekonały, niż wszystkie argumentacje" /Hercen, "Byłoże i dumy"/.
- 18 Anacharsis Clootz /1755-1794/, baron, działacz Wielkiej Rewolucji Francuskiej, teoretyk "republiki wszechświatowej" i "religii rewolucyjnej".
- 19 Mowa o sławnym obrazie Karła Briullowa /1799-1852/ "Ostatni dzień Pompejów" /1830-1833/. Analizował go w "Arabeskach" Gogol. "Dzika, nieokiełznana Naturgewart z jednej strony - i beznadziejnie tragiczna zagłada wszystkich, których widzimy... Dlaczego malarza rosyjskiego natchnął ten właśnie temat?" /Hercen, "Dniownik", 22.IX.1842/.
- 20 "Jest to miasto panoram" /de Custine, "La Russie en 1839/.
- 21 "Ze swymi wspaniałymi widokami i dziwnymi budowlami /.../ przywodzi ona na myśl ideę formującą się dopiero i dlatego nieświadomą, na podobieństwo Persepolis, Bagdadu, Babilonu i Palmyry /.../ słowem, w Moskwie zapomina się Europę" /de Custine, "La Russie en 1839"/.
- 22 Grigorij Kossyżyn /popr. Kotoszyżyn, 1630-1667/, podiaczy przykazu Cesařskiego, napisał po ucieczce w 1664 do Szwecji dzieło "O Rosji za panowania Aleksego Michajłowicza" /wydane w Rosji w 1840/. "Koszyżyńskie czasy" oznaczają więc okres rządów ojca Piotra I.

- 23 Dla rozwikłania tych aluzji niezbędny jest dłuższy wywód. Po śmierci wdowy po Piotrze I, niepiśmiennej Katarzyny I /Marty Skowrońskiej/, władzę "objął" syn Piotra I, trzynastoletni Piotr II /1727-1730/, który zmarł "nagle". Kataria - Dełgera kich przekazała tron córce nie panującego nigdy, zmarłego "nagle" Iwana V /brata Piotra I/ - Annie Iwanownie /1730-1740/, wdowie po księciu kurlandzkim. Wszechwładnym jej faworytem był półpiśmienny kurlandczyk Ernest Biron. Przed śmiercią Anna wyznaczyła następcę - wnuka swej starszej siostry Katarzyny. Córka Katarzyny i Karola Leopolda mekleuberskiego, Anna Leopoldowna /1740-41/ wyszła za Antoniego Ulryka brunszwickiego; syn ich to Iwan VI /1740-41/. "Rządził" on z woli Birona jako dwumiesięczne niemowlę. Po trzech miesiącach Anna, pozyskawszy zeusznika Birona - Minicha, doprowadziła do zesłania Birona i sprawowała władzę jako regentka przez 7 miesięcy. W wyniku zamachu zorganizowanego przez lekarza Lestocqua na rzecz Elżbiety /1741-1762/, córki Piotra I - Iwan VI i jego matka zostali zesłani; Anna zmarła w więzieniu w 1746, Iwan został zamordowany w Szlisselburgu w 1764. Syn siostry Elżbiety, Anny i księcia holztyńskiego-gottorpskiego /a właściwie jego adiutanta, pułkownika Bruhmera/, Karol Piotr Ulryk - Piotr III /1762/ panował 6 miesięcy, obalony i zamordowany z poduszczenia swej żony, Zofii Augusty Anhalt-Zerbst - Katarzyny II /1762-1796/.
- 24 Aluzja do skrytobójczych śmierci Piotra III /1762/ i Pawła I /1801/.
- 25 J.W. Zacharzewski /1780-1860/, generał, naczelnik administracji pałacowej i policji w Carskim Siole. Właściciel niedźwiedzia, który w 1818 ośmielił się zamordować Aleksandra I.
- 26 Aluzja do zesłania.
- 27 W 1842 zatwierdzono plany, zamiar jednak urzeczywistniony został dopiero w 1851 roku.

Przetoczył i opatrzył przypisaniami  
Jan Gondowicz

## Jewgienij Zamiatin

# MOSKWA – LENINGRAD

"Moskwa jest płci żeńskiej. Petersburg – męskiej", pisał równo sto lat temu Gogol. Żart ten, rzucony jakby mimochodem, to kalambur gramatyczny, lecz tak trafnie jest w nim podpatrzone coś zasadniczego w charakterze każdej z dwu stolic rosyjskich, iż ciągnie się na myśl i teraz, po upływie stulecia.

Petersburg zdążył przez ten czas stać się Leningradem, pozostał jednak Petersburgiem o wiele bardziej niżli Moskwa – Moskwą. Moskwa oddała się rewolucji gwałtowniej, bez namysłu i z większą niż Petersburg uległością. Bo jakże by inaczej: zwycięska rewolucja stała się modą, a która prawdziwa kobieta nie chce modnie się odziewać? Petersburg przyjmował nowe bez takiego pośpiechu, oglądniej, z męską powściągliwością. Kroczył naprzód powolutku i jest to zrozumiałe: czuł na sobie potężny багаż tradycji kulturalnej, zwłaszcza w dziedzinie sztuki. Pozbawione tego, niczym nie obciążone muzy moskiewskie pomykały przeganiając nie tylko Petersburg, lecz i Europę, a niekiedy też i zdrowy rozsądek. "Moskwa, gdy już na modę jej się zbierze, lubi być modna całą gębą!" – natrząsał się Gogol znając już wówczas tę jej damską słabość.

Skądinąd zresztą instynktowna pogoń za nowością jest cechą nie tylko kobiecą, wiąże się też ona z młodością. Nowa Moskwa, egzystująca obok, ponad i pomiędzy starą, sześciusetletnią – ma raptem szesnaście lat! Od nieoczekiwanych, rażących zestawień staro- z nowym w Moskwie aż się w głowie kręci. Petersburg jest surowszy: także teraz, jak za czasów Gogola, "nie znosi krzykliwych barw". Petersburg pozostanie oknem na Europę, na Zachód; Moskwa stała się drzwiami, przez które, ponad Azją, chlusiła do Rosji Ameryka.

Jest to naturalnie nie więcej niż schemat. W życiu, a zwłaszcza w zwierciadle jego – sztuce – podobnej ścisłości geograficznej się nie spotka. Patrząc – a tu czupurny kosmyk moskiewski przemyka Newskim Prospektem, kiedy indziej zaś wrzaskliwy moskiewski plac milknie pod groźnym cieniem petersburskiego Miedzianego Jędrca. Pomijawszy jednak te przetworzenia, w każdej metamorfizie i każdym zwierciadle rozpoznać można własne oblicze każdej ze stolic. Najwyraźniej chyba jest to widoczne w kamiennym zwierciadle architektury – w tym, jaki ślad odcisnęła rewolucja na Petersburgu oraz na Moskwie.

Petersburg rozwijał się jako miasto rządowe, cesarskie: kształtowały go skarb, państwo i system. Większość gmachów określających jego fizjonomię – owe wspaniałe dzieła Rastrellego, Quaren-

zi, Thomona, Woronichina - pochodzi z epoki Katarzyny, Aleksandra I i Mikołaja I. Bezguscie ostatnich władców nie zdołało, na szczęście, wycisnąć swego piętna na północnej stolicy: w owym czasie zasadnicza kompozycja architektoniczna Petersburga była już ukończona. W tej też postaci powitał on rewolucję - i ta jego skończoność, architektoniczna pełnia, była przyczyną, że nawet po rewolucji zachwał swe dawne oblicze. Nowe nigdzie niemal nie znajdowało już dla siebie miejsca, oprócz petersburskich peryferii: tam tylko rewolucja pozostawiła ślady, tam - wokół Petersburga - wyrasta z wolna Leningrad, którego elementami zdają się być na przykład, zgrabnie zaprojektowany kwartał nowych domów robotniczych opodal Wrót Naraskich wraz z wielkim, świetnie wyposażonym teatrem - "Domem Kultury", a także podobne "Domy Kultury" w innych dzielnicach robotniczych.

Najzupełniej odmiennie, na wschodnią modłę, kształtowała się cesarska Moskwa: kapryśność i rozłożystość, chaotyczność i pstrokatostwo. Wzrostem jej nie rządziła żadna indywidualna wola. W przeciwieństwie do imperatorskiego Petersburga, była ona ziemiańska i kupiecka - przede wszystkim kupiecka. Wzbogaceni przybysze z jakiejś powieźmy, uralskiej głuszki, z nadwołżańskich starowierczych pustelni, osiedlali się tu i budowali sobie "osobniaki" wedle swej uralskiej lub nadwołżańskiej fantazji. Jak dla Petersburga pałace - tak dla Moskwy typowe są te "osobniaki", domy dla pojedynczej rodziny, usytuowane bezceremonialnie tuż obok współczesnych wielopiętrowych maszywów. A oprócz "osobniaków" - cerkwie, rzucające się w oczy mnogością cerkwi, po większej części bardzo starych, z XIV i XV wieku - spuścizna epoki, w której Moskwa była stolicą bogobojnych carów.

Po rewolucji, gdy Moskwa ponownie stała się stolicą, zalała ją ogromna fala instytucji i urzędników srodzonych przez nowy, socjalistyczny typ gospodarowania. Gwałtowny kryzys mieszkaniowy, jakiego nie odczuła żadna ze stolic europejskich, zmusił do pośpiesznej budowy nowych domów. Ustupując im miejsca, z centralnych ulic Moskwy zniknęły poczęły dawne nieduże "osobniaki" i ginąć zaczęły cerkwie /co było związane z antyreligijną polityką władzy/.

Oblicze miasta, poszczególnych jego dzielnic, ulega osobliwej zmianie po zburzeniu budowli tak charakterystycznych, jak cerkwie. Kto widział, na przykład, dawny plac na brzegu rzeki Moskwy ze świątynią Zbawiciela, nie pozna go teraz: widocznej z daleka złotej kopuły i ogromnego biało-żółtawego korpusu świątyni po prostu nie ma. Kolosalny, ów gmach nie posiadał jakiejś szczególnej architektonicznej wartości, nie sposób jednak nie żałować takich starodawnych budowli, jak klasztor św. Symeona, klasztor Cudowny na Kremlu, jak stara baszta Sucharińska pięknie zdobiąca plac u wylotu ulicy Miasnickiej. W innych przypadkach zburzenie takich starych budowli okazało się usprawiedliwione z architektonicznie-przestrzennego punktu widzenia. Dajmy na to, wiele zyskała perspektywa na kremłowski Plac Czerwony po zburzeniu Bramy Iwierskiej wraz z kaplicą Iwierską; obecnie od strony Ochotnego Riadu widoczny jest na błękitnym tle nieba wspaniały sobór Wasyla Błogosławionego, zasłonięty uprzednio przez bramę i kaplicę.

Domów nowych, zbudowanych niedawno, nie widzi się w centrum Moskwy zupełnie. Co natomiast aż się rzuca w oczy, to wdzierająca

się do starej Moskwy Ameryka /a ściślej - ułatwione, berlińskie jej wydanie/: "konstruktywistyczne" kombinacje kamiennych kubusów w stylu prac Le Corbusiera. Jednakże smak moskiewski nakazuje "być modnym całą gębą": Moskwa postarała się więc zaćmić Corbusiera - nowe jej gmachy są jeszcze oschlejsze, bardziej abstrakcyjne i gołe. Typowym przykładem owego stylu może być ciemno tynkowany, ponury kubus Instytutu Lenina na Twerskiej, w samym centrum Moskwy. Część, co bardziej lewicowych architektów moskiewskich, ogłosiła ten amerykańsko-berliński styl "proletariackim /czyli - najmodniejszemu/, jednakże... proletariat nie uwierzył w to i zaprotestował, gdy posępne sześciany zaczęły wyrastać w dzielnicach robotniczych. Jeden z wybitniejszych architektów moskiewskich, Szczusiew, smuszony był wyznać: "Okazało się, że typ uproszczonej architektury konstruktywistycznej nie w każdym przypadku jest bliski i zrozumiały dla nas... Pudełkowaty, źle scharmonizowany wygląd budynków szybko stał się nieznośny... Niezbędne jest uwzględnienie dorobku wielkich mistrzów przeszłości... Architektura pomijająca bratnie dziedziny, malarstwo i rzeźbę, nie upora się ze swoimi własnymi zadaniami...".

Z dwojga sztuk pokrewnych architektury w nowej, rewolucyjnej Rosji winna była rozkwitnąć raczej rzeźba: zwycięska rewolucja przejawiała widome dążenie, by utwierdzić się na wieki zabudowując ulice i place obu stolic odpowiednimi pomnikami. W pierwszych latach po rewolucji pomniki te mnożyły się szybko, lecz i przedko znikały, wykonane były bowiem z nader nietrwałych materiałów, z gipsem włącznie. Krótkowzroczność taka była zjawiskiem szczęśliwym: pośpiesznie wykonane i sprzeczne z architektonicznym otoczeniem owe figury, popiersia i biusty nie upiększały zgoła rewolucyjnych stolic. Wiele z nich byłoby uznanych, wedle nowej sowieckiej terminologii, za wręcz szkodliwe. Bo jakże inaczej naswać jeden z pierwszych petersburskich pomników Marksa, popiersie /dłuta Matwiejewa/, wyobrażające założyciela komunizmu... z monokłem? Marks, jak wiadomo, rzeczywiście nosił monokl, jednakże ów burżuazyjny rekwizyt zbyt mocno naruszał uświęcony wizerunek.

Okres władzy cesarskiej, stosunkowo mało dostrzegalny w Moskwie, pozostał w ulicach i placach, nadbrzeżach i w parkach Petersburga całą spłotow kamienną kroniką otwierającą się wspaniałym, sławnym dzięki Puszkiniowi "Jeźdźcem Miedzianym" Falconeta. Rewolucyjnemu Petersburgowi starczyło smaku i opanowania, by zachować, z niewielkimi tylko wyjątkami, wszystkie te monumenty. Również poczucie stylu dopisało mu na tyle, by jeden z nielicznych, nie prowizorycznych już, a trwałych pomników wyobrażających Lenina ustawić nie w centrum, pośród empirowych gmachów i pomników cesarskich, lecz bliżej przedmieść robotniczych, czyli Leningradu - na placu przed dworcem Finlandzkim. Moskwa traktuje swobodniej pamiętki przeszłości: jakieś dwa lata temu starzy moskwicze dostrzegli ze zdumieniem, iż pomnik Minina i Pożarskiego przemieścił się w okolicę soboru Wasyla Błogosławionego. W swych nowych, przewidzianych jako trwałe, monumentach preferuje Moskwa, podobnie jak w nowych domach, "styl geometryczny" /biały obelisk w Parku Aleksandrowskim, szary - na dawnym placu Skobielewa/. Niestety, wóród nowych pomników zarówno Moskwy, jak i Petersburga



nie na żadnego wznoszącego się ponad średni poziom, którego spłoty głos zadźwięczałby z taką siłą choćby w przybliżeniu równą petersburskiemu "Jeźdźcowi Miedzianemu".

Oto typowy klasycystyczny gmach petersburski na nadbrzeżu Nevy: Akademia Sztuk Pięknych, rezydencja drugiej spokrewnionej z architekturą muzy - malarstwa. Petersburg stał się stolicą malarstwa rosyjskiego z chwilą utworzenia Akademii, już od XVIII wieku. Na krótko przed wojną i rewolucją, poprzez petersburskie "okno na Europę", przyziane tu zostały ziarna nowej sztuki francuskiej, zaś skrzyżowanie ich ze starą rosyjską kulturą malarstwa pozwoliło zebrać bogaty plon grupie malarzy stowarzyszonych pod nazwą "Mir Iskustwa". Malarzom owym stało się ciasno w zamkniętym na Leningrad Petersburgu i większa ich część jest obecnie malarzami paryskimi bądź nowojorakimi. Wszelako tradycji przez nich zapoczątkowanych i pracy tych, którzy pozostali wierni Petersburgowi wystarczyło, by utrzymać prymat także teraz, kiedy oficjalną stolicą jest Moskwa. O "petersburskiej" i "moskiewskiej" szkole malarstwa nie ma, rzecz jasna, mowy, dyfuzja jest w tej dziedzinie jeszcze wyraźniejsza niż w innych, niemniej Moskwę można rozpoznać i na tym polu.

W historii Moskwy czasów "amuty" wraz z imionami carów zapisane są imiona samowładców. Nie obeszło się tu bez nich i teraz. "Tramwaj B", "Bubnowy Jalet" /"Jalet Dżonkowy"/ - pod tym zwolaniem kryli się oni w Moskwie przed rewolucją; a była to wszystko jedna rodzina - futuryści. Po rewolucji futuryści przyjęli, w miejsce poprzednich swych hasła, hasła Października. Siebie obwołali ambasadorami pełnomocnymi rewolucji w malarstwie, swoją sztukę zaś - "proletariacką". Przez parę lat niebiescy i malinowi, kubistyczni i robociarscy pyznili się na rewolucyjnych sztandarach i plakatach, lecz później powtórzyło się to samo, co ze "stylem proletariackim" w architekturze: przyjęte przez snobów wzory "sztuki proletariackiej" odrzucił proletariatus. Reakcja była tu jeszcze gwałtowniejsza, albowiem w dziedzinie formy wahadło malarckie ze skrajnie lewej pozycji wychyliło się maksymalnie na prawo. Opuszczoną rezydencję "malarzy proletariackich" przywłaszczyli sobie nowi samowładczy, "achrowcy" /od "ACHR" - "Asocjacja Chudożników Rewolucji"/, usiłujący wskrzesić maniery prymitywnie-naturalistyczną i brutalnie tendencyjną. Rezultaty artystyczne ich działań okazały się tak szalone, iż utracili oni swe stanowisko jeszcze prędzej niż futuryści, którzy, bądź co bądź, dążyli autentycznie do odnowienia formy, choć sboocyli na tej drodze "w lewo od zdrowego rozsądku". Petersburg ze sporą cierpliwością oczekiwał końca ery samowładców i można sądzić, że w roku minionym kryzys ów został rozwiązany: wszyscy malarze sowieccy przystąpili do jednego stowarzyszenia opartego nie tylko na wodnych hasłach politycznych, lecz i na zasadach rzetelnego warsztatu. Kierowniczo-artystyczna rola w tym stowarzyszeniu pozostanie, jak się wydaje, w rękach mistrzów bliskich "Mirowi Iskustwa".

Kryzys innego, specyficznie już sowieckiego rodzaju, paraliżny wobec tego, jaki dostrzeżga się wśród malarzy europejskich, to kryzys malarstwa stalugowego. "Stalugowcy" pracują jeszcze zarówno w Moskwie, jak i w Petersburgu, lecz pracują w głównej mierze dla siebie, by - w najlepszym razie - pokazać swe prace na

wystawie, a następnie ozdobić nimi ściany pracowni. Wraz z końcem spoki NEP-u zniknęli bez śladu nuworysze starający się podkreślić swą przynależność do świata kultury przez nabywanie obrazów; w budżecie obecnego obywatela sowieckiego nie mieszczą się żadne przedmioty zbytku, z malarstwem włącznie. Państwo, rzuciwszy wszelkie dostępne środki na rozwój przemysłu, nie może ich marnować na utrzymanie malarzy. Z powodów finansowych mistrzowie malarstwa sztalugowego poczuli pracę dostępną dla masowego użytkownika kolonizując sztukę użytkową.

Zapoczątkował ową kolonizację Petersburg jeszcze w latach komunizmu wojennego, kiedy to malarze gremialnie ruszyli do wydawnictw oferujących możliwości uprawiania grafiki książkowej. Już wówczas powstał w Petersburgu cały szereg wydawnictw artystycznych skupiających artystów najwyższej klasy. Na półkach bibliofilów pozostało po nich całe miniaturowe muzeum /np. znakomite wydania "Akwilonu", "Petropolis" i "Akademii"/. Te prywatne wydawnictwa, jako przedsiębiorstwa kapitalistyczne, uległy likwidacji, lecz pozostały ich tradycje kulturalne i siły fachowe grupując się w ostatnich latach przede wszystkim wokół dwu firm: spółdzielczego "Wydawnictwa Pisarzy" oraz przejętego przez państwo wydawnictwa "Akademia". Nieco później w ślad za Petersburgiem podążyła Moskwa: wydawnictwa artystyczne zjawily się i tam, jednakże najwybitniejsze przykłady książki artystycznej pochodzą, póki co, z Petersburga. Tak czy owak i w Petersburgu i w Moskwie zaobserwować daje się to samo charakterystyczne zjawisko: masowy odwrót malarzy od sztalug ku książce.

Przed stosunkowo niewielką grupą malarzy otwarła się inna dziedzina mierzona już nie w centymetrach łanów książkowych lecz w dziesiątkach metrów dekoracji teatralnych. Tutaj czołową rolę objęła bezapelacyjnie Moskwa, skąd "modę całą gębą" dyktował Petersburgowi i całej Rosji - naturalnie - Meyerhold. Nowa ta moda "konstruktywistycznych dekoracji" rugując z teatru wszelki ślad malarstwa, likwidując kostiumy teatralne /na rzecz jednolitej dla wszystkich postaci "odkrytej produkcyjnej"/, była w swym obnażeniu i schematyzmie dokładnym odpowiednikiem tego, co działo się w innych dziedzinach. Na szczęście Meyerhold miał za sobą długą szkołę petersburską, a przede wszystkim był człowiekiem nieskończenie bardziej utalentowanym, niż jego lewicowi sąsiadzi ze sztuk plastycznych, dzięki czemu pracujący według jego zasad ludzie teatru pozostawili szereg nader interesujących spektakli /moskiewskie inscenizacje Niwińskiego, Rabinowicza, Szlepianova oraz petersburżan Dmitrijewa i Akimowa/. Obecnie jednak sam autor odjeżdża się od tej szkieletowej, geometrycznej mody. W miarę jak powracają /zwłaszcza w operze i balecie/ wielobarwne dekoracje i bogate kostiumy, coraz większy nacisk kładzie się na metodę "skoncentrowanego realizmu" wymagającą budowy na scenie "pojemnych", "trójwymiarowych" dekoracji oraz uwzględnienia w spektaklu pewnej minimalnej liczby "realnych przedmiotów".

Spśród wszystkich siedmiu siostr - żywił łoż łożni wyraża się najpełniej w postaciach Talii i Terpsychory, to oczywiste. Teatr poczyna żyć dopiero w owej chwili, w której zapłodni go mężczyzna-dramaturg; aktor tylko wówczas staje się prawdziwym artystą, gdy bez reszty odda się wybranej roli; reżyser - to jedynie doświadczony pedagog kształtujący po swojemu dziedzictwo przydane

dziecięciu przez autora. I jeśli "Moskwa jest płci żeńskiej, a Petersburg - męskiej", to gdzie, jak nie w Moskwie mógł znaleźć teatr żywniejsze podłoże? I czyż można było oczekiwać czegoś innego, jak całkowitego triumfu teatrów moskiewskich? Tutaj Petersburg zdał się na łaskę zwyciężczyni, oddał jej władzę bez reszty. Prawdziwi teatromani petersburscy nie chadzają już do swych teatrów dramatycznych - oczekują na przyjazd zespołów moskiewskich.

Nie znaczy to, iż umilkły spory w obozie zwycięzców; daleko tam jeszcze do znużonej równowagi ducha właściwej starcom, toczy się wciąż walka między rosyjską Moskwą teatralną, a Moskwą najnowszą - "amerykańską". Ameryka, pęd ku niezwykłości, sensacji, ku błyskotliwym trickom, prawdziwie amerykańska bezceremonialność w przerabianiu sztuk na własne kopyto - efekciarska, niespokojna i zawsze "najnowsza" moda - to nieodmiennie Meyerhold. Jego to żywiołowy, amerykański napór zepchnął w pierwszych latach po rewolucji na dalszy plan Teatr Artystyczny Stanisławskiego. Meyerhold obwołany został wodzem rewolucyjnego teatru, on - członek partii, on - "honorowy czerwonoarmista", on - dyktator "Teatru imienia Meyerholda". "Teatr Rewolucji", "Studia Teatru Małego", "Tram" /"Teatr Raboczej Młodoci" / - to jego wasale, a jego zwiadowcy dotarli już nawet do byłego cesarskiego teatru Małego i do "Teatru Wachtangowa" założonego przez uczniów Stanisławskiego, gdzie trafiają się inscenizacje a la Meyerhold.

Jednakże naszyt szybkie, amerykańskie "prosperity" doprowadziło do kryzysu: dwa lata temu na fali odchodzenia od skrajnie lewych pozycji we wszystkich dziedzinach sztuki, skłonności widzów teatralnych, a także /co miało poważniejsze następstwa/ gustu władz moskiewskich - widomie przesunęły się w stronę Stanisławskiego. Wcześniej jeszcze nawiedziło Meyerholda pasmo niepowodzeń rozpoczęte kłapą "Łańci" Majakowskiego; częściowy załedwie rewans przyniosły mu inscenizacje "Rewizora" i "Mądremu biada"; nawet jego genialna inscenizacja reżyserska nie mogła uratować marnej sztuki "Wstąpienie" wystawionej w ostatnim sezonie. Całkiem niedawno zdradził Meyerholda jego petersburski wasal - Teatr Aleksandryjski; kierownictwo nad tym teatrem przeszło w ręce jednego z dawnych uczniów Stanisławskiego.

Ów zwrot teatralnej wypadkowej od skrajnej lewicy do centrum odbił się także na repertuarze, w którym znów pojawili się klasycy spychając na drugi plan drugorzędne często sztuki sowieckie. Po okresie ryzykownych eksperymentów Moskwa zwraca ku spokojniejszej i bardziej planowej pracy teatralnej, ku umocnieniu swych zdobyczy. Zwyciężone teatry petersburskie świecą jedynie odbitym światłem Moskwy. Jedyny z fortów, na którym jeszcze nie powiewa biała flaga, to petersburski teatr opery i baletu /były teatr Maryjski/ rywalizujący dotąd o pierwszeństwo z moskiewskim Teatrem Wielkim.

Pierwsza dekada po rewolucji była dla teatrów opery i baletu, zarówno w Petersburgu jak i w Moskwie, niezbyt powyślna. Zespoły tych teatrów, o wiele liczniejsze niż teatrów dramatycznych, uległy wykrawieniu wskutek ucieczki za granicę najwybitniejszych sił. Straty te objawiły się najśmiej w petersburskim teatrze Maryjskim dziedziczącym z czasów monarchii tradycje i najlepszą szkołę, zwłaszcza baletu. Nie popsuł się także repertuar, który

usiłowano zszwietyzować w forsownym tempie. Jednak krucha, opero-  
 baletowa łódka nie potrafiła udźwignąć ciężkiego ładunku uty-  
 licaryzmu: większość "industrialnych" i agitacyjnych inscenizacji  
 baletowych i oparowych okazała się istną katastrofą /balet "Sru-  
 ba" w Petersburgu, opera "Wyłom" w Moskwie itd./. Spowodowało to  
 powrót do repertuaru klasycznego, znacznie bardziej wyraźny w o-  
 perze i balecie niż w dramacie. Petersburg, prócz tego, znalazł  
 jeszcze inne wyjście: otwarł swe okno na Europę: wystawiwszy sze-  
 reg udatnie i ambitnie inscenizowanych oper europejskich /"Skok  
 przez cień" Krenka, "Wozzeck" Berga, "Daleki dźwięk" Schreckera  
 itd./. "Balet i opera - oto car i caryca petersburskiego teatru"  
 - tak było, wedle świadectwa Gogola, przed stu laty, tak też po-  
 zostało do dziś dnia. I nie odegrały tu decydującej roli "indywi-  
 dualność" ani charakter północnej stolicy. Opera i balet bowiem  
 tylko na pozę należą do kobiecego żywiołu teatru. W drugiej połowie  
 - karmią się one muzyką, zaś korzenie muzyki rosyjskiej z daw-  
 nien dawna tkwią w Petersburgu.

Gdyby ułożyć mapę muzycznych skarbów pieśni rosyjskiej, naj-  
 bogatsze ich złoża ujawniłyby się na północy: tu, we wsiach nowo-  
 grodzkich, ołonieckich, archangielskich czy miezińskich jeszcze  
 do teraz zachowały się obrzędowe, korowodowe i liryczne pieśni  
 rosyjskie, z Rosji podmoskiewskiej od dawna już wyparte przez fa-  
 bryczną, ubogą muzykę "czastuszkę". Z tych to skarbów wyrosła  
 w Petersburgu sławna "Potężna Gromska" /Rimski-Korsakow, Muso-  
 rgski, Borodin/. Pierwsze konserwatorium rosyjskie powstało te-  
 kże w Petersburgu. Z Petersburga wyruszyli podbić świat muzyką  
 rosyjską Strawiński, Prokofiew, Giazunow, Rachmaninow czy dyry-  
 gent Kusowiecki. Oto majestatyczna, o dwu rzędach kolumn, sala  
 Resursy Szlacheckiej pełna petersburskiej inteligencji: z góry, z  
 paradyżu, wychylają się przez barierę głowy studentów i kursis-  
 tek; na estradzie - ze swą czarodziejską batutą Kusowiecki; przy  
 fortepianie - Skriabin... Któż z tych, co bywali przed wojną i  
 podczas niej w Petersburgu nie pamięta owych pysznych świąt muzy-  
 ki?

Wiele zmieniło się od tego czasu. Sala Resursy Szlacheckiej  
 stała się salą "Filharmonii Leningradzkiej". Umarł Skriabin -  
 umarł nie tylko cieleśnie: jego wyrafinowana, smysłowa mistyka  
 przestała być słyszana, niedawny idol jest dziś do szczytu zapom-  
 niany. Brak Kusowieckiego - i, przynajmniej na razie, nowych  
 wybitnych dyrygentów rosyjskich /najlepsze koncerty wykonywane są  
 pod batutą artystów zagranicznych/. Jednakże sala "Filharmonii"  
 skupia sam kwiat inteligencji, która ocalała w Petersburgu i  
 wzrosła w Leningradzie. W Moskwie - co innego: tam tego rodzaju  
 zgromadzenia napotkać można prędzej w teatrach - petersburtanie  
 jednak pozostali melomanami, mimo wszystko.

Skomplikowana, matematyczna niemal istota muzyki stwarza dla  
 niej bron pozwalającą skutecznie odizolować się od mikroświata dyle-  
 tantyzmu; te znacznie łatwiej przenikają w głąb malarstwa, lite-  
 ratury czy teatru. Toteż w muzyce procesy, jakie obserwujemy w  
 innych dziedzinach sztuki nie spowodowały większych schorzeń. Or-  
 ganizacja muzyków usiłująca spekulować hasłami politycznymi  
 /"RAMP"/ swarła jeszcze w wieku niewowlecyca. Próby zastępowania  
 organicznego rozwoju nowych treści muzycznych fabrykacją niedono-  
 szonych homunkulusów należą do wielkiej rzadkości. Ze sporym też

opóźnieniem rozgrywają się w muzyce etapy walki między tendencjami formalnymi. Główny ton nadaje, jak dotąd, "lewe" skrzydło powojenne nowego mistrza francuskim oraz Schönbergowi, Hindemithowi i Strawińskiemu /najenergiczniejszym bodaj i najbardziej utalentowaną przedstawicielem tego skrzydła jest młody kompozytor petersburski Szostakowicz; autor opery "Nos" według Gogola oraz szeregu dzieł baletowych, orkiestrowych i fortepianowych/. Niedawno jednak pojawiła się w Petersburgu nowa grupa /kompozytora Szczerbakowa/ usiłująca przywrócić do praw melodii zagubioną w pogoni za inwencją i oryginalnością harmoniczną, typowymi dla skrajnej lewicy. Porównując muzykę z teatrem można znaleźć zjawisko najsupełniej analogiczne do ustąpienia "meyerholdyzmu" przed teatrem "przeżywającym". W pełnej też analogii z teatrem ostatnich lat na pierwszy plan wysuwa się repertuar klasyczny, zwłaszcza Beethovena, którego muzyka uznana została za "optymistyczną", udzielającą słuchaczowi "zastrzyku rześkości". Ze współczesnych "rosyjskich-zagranicznych" kompozytorów nade wszystko zaciekawia publiczność Strawiński: jednym z najważniejszych zdarzeń w świecie muzyki było wykonanie "Edypa" i "Wesela" Strawińskiego przez znany petersburski chór Klimowa.

Skoro jednak już mowa o jakichś niebywałych, "amerykańskich" przedsięwzięciach w muzyce, to mimo wszystko czołowe miejsce zajmuje tu Moskwa. Moskwa na przykład wynalazła "Perysufans" - pierwszą orkiestrę symfoniczną, jaka odrzuciła władzę dyrygenta i przygotowuje występy samorządowe, w trybie kolektywnym. Edisonowie moskiewscy konstruują aparaty elektro-muzyczne, "muzykę przyszłości". Tylko w Moskwie zdarzyć się mogła i zdarzyła się rzeczywiście próba dania susa w przyszłość jeszcze odleglejszą i bardziej utopijną: kilka lat temu, z okazji jednego ze świat rewolucyjnych, nowa stolica usłyszała symfonię jednego z młodych kompozytorów moskiewskich wykonywaną przez syreny fabryczne: dyrygowanie owymi "głosami miasta" okazało się niemożliwe i wyniknął z tego bezładny chaos. Wypada dodać przy tej okazji, iż zmienił się wyraźnie i zamerykanizował timbre głosu samej Moskwy po tym, jak pięć lat temu zdjęto tam wszystkie dzwony cerkiewne. Petersburg, a więcej nawet - Leningrad - muzykę dzwonów zachował u siebie do tej pory.

Najwięcej przesłanek dla syntez i podsumowań daje jednak, mimo wszystko, literatura. I jest to zrozumiałe, gdyż sumuje ona elementy wszystkich dziedzin sztuki: architektury - w kompozycji, pracy dźwięku - w kreśleniu postaci, kolorystyki - w pejzażu, muzyki - w wierszu i teatru - w dialogu. "Moskiewskie" i "petersburskie" alikwoty, dające się słyszeć w głosach innych dyscyplin artystycznych, w literaturze sowieckiej dźwięczą szczególnie wyraźnie i czysto. Tutaj zapewne widać najłatwiej, iż "Moskwa jest pięci łańskiej, a Petersburg - męskiej" i że nad Petersburgiem dmie wiatr z Europy, nad Moskwą zaś - z Ameryki.

Główny trakt przedrewolucyjnej literatury rosyjskiej wiódł przez Petersburg. Tu mieścił się gród stołeczny rosyjskiej literatury, Moskwa zaś przez wiele dziesięcioleci pozostawała zaledwie rosyjską prowincją. I tak też ją petersburżanie od niepamiętnych czasów traktowali. "Petersburg chętnie natrząsa się z Moskwą, z jej niezręcznością i bezguścią" - dostrzegał to jeszcze Gogol, dodaje jednak, że "Moskwa szczyplie Petersburg, że po rosyjsku źle gada". Również Puszkina radził uczyć się prawdziwej rusz-

czyżby "od moskiewskich proskurnic"<sup>x</sup>. Uczył się od nich sam - a mimo to, podobnie jak Gogol, pozostał petersburżaninem, piewca "Palmiry Północy". Nowa-krasawica i spítówy Piotr spinający na jej brzegu swego rumaka, petersburackie kanały i pałace w ich zwiernadlu, upiorne mgły i niesamowite białe noce, ludzie, którzy wchłonęli w siebie coś z szaleństwa owych nocy, z niszczycielskich furii Newy przelewającej się z nagłą przez granitowe brzegi i splukującej, co tylko napotka - wszystko to zawarło się na wieki w literaturze rosyjskiej, od jej "złotego wieku" począwszy, od Puszkina, Gogola, Dostojewskiego i Lwa Tołstoja, aż po kończących "wiek srebrny" Błoka, Sologuta, Bielego i Riemizowa. W soczewce wielkiej literatury Moskwa stawała rzadko i jakby przypadkiem. Jeden tylko Lew Tołstoj udzielał się niemal po równi Petersburgowi i Moskwie. Inni, jeśli już na stronach swoich książek uciekali od Petersburga, rzadko zatrzymywali się w połowie drogi, w Moskwie dopatrując się tej prowincjonalnej stolicy gogolowskiej egzotyki rodem z autentycznej rosyjskiej prowincji.

Tak zatem przez cały wiek XIX w literaturze narastał i dojrzewał Petersburg - w Petersburgu zaś dojrzewała literatura rosyjska. Tu, z nielicznymi wyjątkami, ukazywały się wszystkie typowe czasopisma rosyjskie, tu działały wszystkie ważniejsze wydawnictwa, tu rodziły się i krzepły kierunki literackie. Tu także, za naszej już pamięci, przed wojną, pojawili się detronizujący długą panującą, zakończoną Buninem i Gorkim, dynastię realistów - symboliści. Nie o mieszkali oni przy tym posłać natychmiast swych namiestników do Moskwy, Moskwa zaś uznała ich i płaciła jak najposłuszniej literacki trybut, a wreszcie w samą wigilię katastrofy, w przeddzień wojny, podniosła niespodziewany bunt. Nie był to zresztą bunt na serio - już prędzej narwany, historyczny wyskok /"Moskwa jest pięci żeńskiej" - sztydził Gogol/: w Moskwie, pod tytułem "Policzek smakowi powszechnemu" opublikowany został /w roku 1912/ pierwszy manifest futurystów rosyjskich postulujący "wyrzucenie Puszkina, Dostojewskiego i Tołstoja" za burzę współczesności, nie mówiąc już o "tych wszystkich Gorkich, Błokach, Sologubach, Buninach i innych". W Petersburgu pómiano się z moskiewskich młodzieńców stawiających te skromne żądania, po czym o nich zapomniano. Nikomu nie [postało w głowie, iż ci słodzi ludzie obejmą wkrótce mostek kapitański literatury. Nikt bardziej /z wyjątkiem poety-wizjonera Aleksandra Błoka/ nie przeczuwał, iż broń rewolucji socjalnej jest już nabita i wkrótce ożwie się wystrzał...

W powieściach Lwa Tołstoja zawsze bomba armatnia, miast wybuchnąć, kręci się długo w miejscu, a przed oczyma bohatera - niczym we śnie - mijają nie sekundy, lecz miesiące i lata, całe życie. Bomba rewolucji padła w lutym 1917 roku, lecz długo jeszcze kręciła się w miejscu, jeszcze wiele miesięcy potem wszyscy żyli jak we śnie, w oczekiwaniu właściwego wybuchu. Gdy zaś rozwiął się dym owej straszliwej eksplozji, okazało się, że wszystko obróciło się wniwecz: historia, i literatura, i ludzie, i ich słowa.

<sup>x</sup> czyli kobiet wypiskujących oplatki (proskury) - przyp. red.

Nieoczekiwanie dla Petersburga, a bardziej jeszcze niespodzianie dla siebie samej, Moskwa stała się stolicą, rezydencją nowej władzy. Nieoczekiwanie dla wielu nowa władza okazała się nadzwyczaj zainteresowana sytuacją w życiu artystycznym, w szczególności zaś - w literaturze. Odtąd polityka literacka kreowana była pośpiesznie, w biegu; biegać zaś należało w lewo, tak w lewo, jak to tylko możliwe. Po moskiewsku.

Od początku też uwidatnił się w literaturze naturalny podział między Moskwą a Petersburgiem: Moskwa bezmyślnie, uległa potoczyła się w lewo, Petersburg zaś - oparł się, nie życzył sobie "wyrzucac za burtę współczesności" nagromadzonych bogactw. O symbolistach szkoda mówić: wychowani w cieplarnianej atmosferze, w "wieży z kości słoniowej", nie potrafili oddechnąć pośród burzy, gdy ozon miesza się z oparami cuchnącego śmiezniska. Wówczas to nawet Gorki uplasował się, o tyle o ile, wśród "petersburczyków", w szeregach literackiej opozycji. Entuzjastów akceptujących wszystko - bez petersburskiego dystansu - nowa władza znajdowała w dwu sąsiednich grupach: wśród futurystów zrodzonych na moskiewskim gruncie jeszcze przed rewolucją oraz w nowej grupie "Proletkult", zrzeszającej głównie poetów legitymujących się autentyczną proletariacką metryką. Rzecz zrozumiała, obie te grupy otrzymały poparcie władzy. Jednakże "Proletkult" był sąsiedzie pepiniery, inkubatorem, próbą wyhodowania w trybie przyspieszonym i metodami laboratoryjnymi nowych, proletariackich talentów. Ku wielkiemu zdziwieniu kierowników owego laboratorium okazało się wkrótce, iż także talenty proletariackie przychodzą na świat wedle naturalnej hierarchii podlegając naturalnym prawidłom powolnego i niezłego wzrostu - tak jak to się działo na przykład z Gorkim. Niepewne i naderwane, niczym u młodych kogutków, głosy "Proletkultu" zagлуszał bez wysiłku potężny bas wodza futurystów - Majakowskiego.

Ów poeta o niepospolitym temperamentie i wyjątkowej sprawności wersyfikatorskiej potrafił na lat parę zahipnotyzować audytorium, także robotnicze, potrafił nawrócić na futuryzm nawet część oddelegowanych do literatury komunistów. Pogrzebane zostało bliskie pokrewieństwo futuryzmu rosyjskiego z burżuazkim futuryzmem włoskim, zapomniano o przedrewolucyjnych snobistycznych lognon i śółtych bluzach Majakowskiego oraz jego przyjaćiół; wynalazcy "zółtej bluzy" pierwsi zyskali prawo do czerwonego mandatu - przedstawicielstwa rewolucji w literaturze.

Wypada zresztą wyrazić się ściślej: nie w całej literaturze, lecz tylko w poezji. W piśmnie futurystów "Leif" wątki, dyletancka proza pojawiała się nader rzadko, gdzieś na peryferiach. Przez wszystkie lata swego istnienia futuryzm nie wydał ani jednego prozaika: nawet Majakowski zwierając się nieraz w sekrecie autorowi tych słów, iż "zasiadł wreszcie do powieści", nie poradził sobie najwyraźniej ze stawianymi przez tę formę wymaganiami. Jest to bardzo charakterystyczne dla futuryzmu - kierunku nade wszystkim emocjonalnego, "kobiecego". Nawet jeśli na fali owych emocji futurysty układali ody sławiące żywioł logiczny rozumu, to sam futuryzm okazał się z natury niedostosowany, by sprostać logicznemu zadaniu opracowania tematu powieściowego czy bodaj nowelistycznego.

Jest zupełnie oczywiste, iż nowa grupa literacka, która wkrótce potem podjęła konkurencję z futurystami, okazała się również

grupą poetów i również pojawiła się w Moskwie. Byli to imażyniści rywalizujący z futurystami o prawo nazywania się skrajną lewicą - a także grupą najmłodszą. Jeśli futurysty wymachiwali proletariackim emblematem z nowego herbu rosyjskiego - młotem, to imażyniści mieli wszelkie podstawy, by wziąć za swój symbol nie wykorzystany jeszcze chłopski sierp, albowiem właśnie w tym czasie, w początkach NEP-u, chłopstwo zaczynało występować w roli nowej siły społecznej. Z niego wywodził się najwybitniejszy liryk włościanski - Jesienin, który zadebiutował krótko przed rewolucją. Z tymże uzasadnieniem, z jakim mógł Majakowski mawiać: "Futuryzm - to ja!", mógł Jesienin głosić: "Imażynizm - to ja!". Odrobinie zadania poetyckiego podług wzoru, choćby najnowszego, samo w sobie nie jest niczym nowym i dopiero czar śpiącego talentu Jesienina, dopiero romantyczny urok biografii owego moskiewskiego Francisa Villona sprawiły, że głos jego przebił się ponad szersze gromy Majakowskiego i że na moskiewskim Parnasie owych lat znalazło się miejsce dla nich obydwu.

Ciekawe i charakterystyczne, iż zarówno futuryzm, jak i imażynizm nie potrafiły, jako szkoły poetyckie, zapuścić korzeni wśród młodzieży literackiej Petersburga: tu panował inny duch, bardziej "męski", bardziej sceptyczny, skłonny do budowy nowego nie na oczyszczonej do gruntu pustkowiu, lecz na fundamentach zastanej, zachodniej kultury, choćby nawet nosiła ona straszne miano "burżuazyjnej". I Jesienin i Majakowski należeli do wrogów Zachodu: pierwszy w imię swoistego słowianofilstwa oraz wiary w parciano-bolszewicką Rus; drugi - w imię wizji nowej, moskiewsko-amerykańskiej, do ona umasynowionej i komunistycznej Rosji. Spośród wszystkich poetów petersburskich owego okresu jeden tylko Błok był przeciwnikiem Zachodu /znakomite jego poematy "Scytowie" i "Dwunastu"/. Ten zresztą, aż nadto usilnie odsegując się od Zachodu, odzegał się poniekąd od rewolucji dojrzawszy, iż spod jej żywiołowych form pierwotnych wycierać poczyna coraz jawniej oczelny marksistowski szkielet.

Błok jednakowoż był tylko jednostką, maszerował samotnie i nikt nie postępował za nim. Stało się to jasne w chwili, gdy na zebraniu przedwyborczym przełożonym Petersburgskiego Cachu Poetów obrany został, miast Błoka, Gumilow. Imię jego znane jest za granicą głównie z tej przyczyny, że został rozstrzelany przez Cze-ka, ale w historii najnowszej literatury rosyjskiej należy mu się miejsce szczególne jako wybitnemu poecie i przywódcy typowo petersburskiej szkoły poetyckiej - "akmeistów". Busola akmeizmu otwarcie wskazywała na Zachód: sternik akmeistycznej łodzi wziął kurs na racjonalizację żywiołu lirycznego, w centrum uwagi postawiwszy rozwój technologii poetyckiej. Nie przypadkiem Błok i Gumilow byli wrogami jako artyści i nieprzypadkowo w poezji sowieckiej lat ostatnich obserwuje się zjawisko z pozoru paradoksalne: oto młode pokolenie poetów proletariackich uczące się pisać nie studiując wierszy Jesienina ani autora rewolucyjnych "Dwunastu", tylko utwory romantyka-racjonalisty Gumilowa.

Poetycka szkoła akmeistów funkcjonowała wówczas w Petersburgu z znaczeniem przenośnym, ale i dosłownym: działała tam w owych latach "Studio Literackie" /przy petersburskim "Domu Sztuki"/; miało ono odegrać sporą rolę w rozwoju literatury sowieckiej. W ramach owego studium Gumilow prowadził kurs poetycki oraz semina-



rium poetyckie; analogiczne prace w dziedzinie krytyki realizował młody krytyk Wiktor Szklowski, w dziedzinie zaś prozy artystycznej - autor niższego szkiełu.

Bez większej przesady można stwierdzić, iż z zimnych, nie opalanych audytoriów tego Studia, gdzie zarówno wykładowcy, jak słuchacze przesennie siedzieli w futrach, wyłoniła się najbardziej interesująca z formalnego punktu widzenia grupa prozaików sowieckich /Zoszczenko, W. Iwanow, Kawierin, Słonimski, Łunc/. Nazwa, jaką przyjęła owa grupa - "Bracia Serpionow" - znana jest każdemu, kto interesował się przemianami porewolucyjnej literatury rosyjskiej; nazwa ta wyraźnie wskazuje kierunek artystycznej orientacji grupy: na Zachód. W pewnych marksistowskich kręgach literackich już wówczas próbowano zwracać się ku naturalistycznej prozie rosyjskiej lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, której cele były nie tyle artystyczne, co demaskatorsko-propagandowe. Dla przezwyciężenia tej tendencji, wstecznej z punktu widzenia sztuki, "Bracia Serpionow" /w swoim manifestie z 1922 roku/ na pierwsze miejsce wysunęli problem mistrzostwa formalnego, protestując też przeciw obowiązki pisywania na tematy aktualne. Postawa ta, jak również cechy romantyzmu /oparte jednak nie na abstrakcji, jak u symbolistów, tylko ekstrapolujące rzeczywistość/ przybliżyły "Braci Serpionow" ku petersburskiemu nurtowi akmeistycznemu.

Tak oto w mieście Gogola, Puszkina i Dostojewskiego pojawiły się nowe i prężne pędy nowoczesnej rosyjskiej prozy. Moskwa zaś w owym czasie, gdy śpiewał tam dźwięcznie Jesienin i efektownie porykiwał Majakowski, wyhodowała jednego zaledwie nowego i oryginalnego prozaika: Pilniaka - i rzecz wypada, iż był to typowy produkt gleby moskiewskiej. Jeśli u większości młodych prozatorów petersburskich nietrudno odnaleźć po męsku solidny i z intynierską skrupulatnością wyważony temat, to u Pilniaka plan tematyczny jest zawsze równie powikłany i niejasny, jak plan samej Moskwy. Jeżeli u "Braci Serpionow" dostrzega się pokrewieństwo z akmeistami, to w patrych haftach Pilniakowskiej prozy rozpoznaje się motywy imatynizmu - aż do swoistego dłań "słowianofilstwa" i wiary w mesjanistyczne posłannictwo nowej Rosji.

Narodziny nowej prozy w Petersburgu, nowej imatynistycznej i futurystycznej poezji w Moskwie - całe to ożywienie w literaturze rozpoczęło się na długo przed NEP-em, jeszcze w latach chaosu i całkowitej gospodarczej ruiny Rosji. Literatura ocknęła się z letargu o wiele wcześniej niż ekonomika, dzięki czemu energiczny odwrót od komunizmu wojennego ku NEP-owi, który rozpoczął nowy rozdział w historii rewolucji rosyjskiej, okazał się w dziejach literatury zaledwie kontynuacją rozdziału poprzedniego. Złoteni reżimu politycznego oraz pojawienie się szeregu wydawnictw spółdzielczych i prywatnych stworzyło tylko bardziej sprzyjające warunki dla rozwoju zjawisk literackich zapoczątkowanych jeszcze przed NEP-em; same zaś zjawiska noszą w pierwszych latach NEP-u wyraźne piętno "osobiste" Petersburga tąd Moskwę.

Nieprzypadkowy był fakt, iż właśnie w Petersburgu rozwinęło wówczas swą działalność założone przez Gorkiego wydawnictwo "Literatura Światowa". Petersburg przypozniał sobie jakby raz jeszcze o swej roli "okna na Europę", otwarł je szeroko i wielotysięczne nakłady pisarzy europejskich we wzorowych przekładach "Lite-

ratury Światowej" rozeszły się po całej Rosji. Nieprzypadkowo też właśnie Petersburg, wraz z odrodzeniem się gatunku "grubych miesięczników", stał się siedzibą dwóch pism pozapartyjnych: "Sowriemiennyj Zapad" oraz "Russkij Sowriemiennik" /pod redakcją Gorkiego, Aleksandra Tichonowa i Zamiatina/, podczas gdy w tym samym czasie pojawiły się w Moskwie dwa oficjalne pisma literacko-artystyczne: "Krasnaja Now" oraz "Nowyj Mir" /pod redakcją komunistycznych krytyków Aleksandra Woroskiego i Wiaczesława Połoskiego/. "Sowriemiennyj Zapad" kontynuował linię kulturalną "Literatury Światowej", "Russkij Sowriemiennik", jednocześnie na swych łamach wszystkie czołowe nazwiska literatury dawnej oraz najbardziej utalentowaną młodzież, był jedynym pismem, które w owych latach miało odwagę polemizować ze stroniczą i sekciarską krytyką pewnych komunistycznych grup literackich. Pismo to miało tytuł niedługi, zaledwie dwuletni, pozostanie ono jednak najbardziej może typowym świadectwem "petersburskiej linii literackiej w epoce NEP-u".

Obie stolice, Moskwa i Petersburg, którym zastrzyknięto surowicę NEP-u, z bajeczną szybkością zmieniały także swój wygląd zewnętrzny. Witryny sklepów, do niedawna zabite deskami, zbłysły światłem; wstydząc się jeszcze swego burżuazyjnego wyglądu, zasłaniając się pół-państwowymi szyldami wychynęły na ulice kawiarnie i restauracje; zamiast stuku karabinów maszynowych słyszeć się dał stuk kotlarzy, kamieniarzy, cieśli - zwłaszcza w Moskwie, w której dramatyczny kryzys mieszkaniowy szuszał do amerykańskiego tempa budowy. Zamigotały w druku, na razie jeszcze egzotyczną nowością, słowa "plan" i "budownictwo". Dla ludzi, którzy przez szereg lat widywali wyłącznie różnorodne formy zniszczenia, budowanie nieśło czar nowości, nieomal cudu. I ten nowy konstruktywny motyw nie pozostał bez śladów w literaturze.

Jak wszystko, co "najnowsze", zdarzyło się to, rzecz jasna, w Moskwie: futurystom i imażynistom objawił się nowy rywal: konstruktywizm, nowa szkoła poetycka, której groszkiem orędownikiem został poeta Słiwiński. Owa super-moda była moskiewskim wcieleniem amerykańizmu, wcieleniem - dodajmy - pełniejszym i logiczniejszym aniżeli futuryzm. "Konstruktywizm odrzuca sztukę jako produkt kultury burżuazyjnej /.../. Celem konstruktywizmu jest stworzenie nowego konstruktywnego człowieka. Wynalazki i technika stanowią dwa środki do osiągnięcia tego celu..." - takie były tezy konstruktywizmu. Wypada rzec: "były", ponieważ nie za długo ta ogromnie ciekawa szkoła literacka przestała istnieć, jak i wiele innych, w wyniku krytycznej masakry urzędzonej przez nowe uprzywilejowane ugrupowanie literackie "RAPP" /o którym później/.

Na razie jednak nie nastał jeszcze czas owej masakry, pola literatury kwitły spokojnie dając bogaty plon. W owym to czasie dojrżeli nowi znakomici poeci: Pasternak w Moskwie oraz Mikołaj Tichonow w Petersburgu. Szybko przebywszy stadium noweli proza sięgnęła po formy monumentalne: pojawiły się pierwsze wzory nowej powieści rosyjskiej, a w nich - oglądany przez pryzmat najrozmaitszych osobistych doświadczeń pisarza - jeden i ten sam fakt: rewolucja rosyjska. Na podobieństwo pierwszej miłości powieści te okazały się nadszyczyć światu; ten ich brzmie szczerzej i pełniej niż we wszystkich pozostałych pracach tych samych autorów /Pilińska, Leonowa, Fiedina, Forz i innych/.

W odnowionej orkiestrze literatury sbywać na jednym instrumencie: krytyce. Wielce charakterystyczne jest, iż inicjatywę w tej dziedzinie, nader odpowiedzialnej i wymagającej szczególnej kultury, przejął ponownie Petersburg; tam w pierwszych latach NEP-u zorganizowała się szkoła krytyków "formalistów". Była to pierwsza poważna próba opracowania naukowej i obiektywnej metody krytycznej - na przekór zwykłym metodom krytyki subiektywnej opartym li tylko na estetycznych bądź politycznych gustach danego krytyka. Uznawszy, że artysta to po prostu suma chwytów artystycznych, formalisci wyznaczili krytykowi literackiemu zadanie obiektywnej analizy chwytów zastosowanych przez pisarza. Co prawda, w owej koncepcji krytyka przypominała suchą anatomię, brak jej było ducha żywej medycyny /a tylko to nadaje krytyce rację bytu/, ale w porównaniu z formalizmem wszystkie pozostałe szkoły krytyczne, aplikujące literaturze najróżnorodniejsze recepty, okazały się nieledwie znachorstwem. Formalizm, zjednoczywszy pod swą flagą grupę nadzwyczaj utalentowanych młodych uczonych /Eichenbaum, Tomaszewski, Zirmański, Szklowski, Tynianow/ zdążył uczynić dopiero pierwsze kroki. W ślad za anatomią w oczywisty sposób nadeszłaby, prędzej czy później, naukowo uzasadniona terapia i to zrodzona z ducha pokrewnego pozytywnym tendencjom literatury sowieckiej. Oóż, kiedy tego etapu nie było dane formalizmowi dożyć: tak jak liczne inne grupy literackie załamali się pod naporem RAPP-u odchodząc w niebyt.

Pora odsłonić ów tajemniczy pseudonim: "RAPP" - Rosyjska Asocjacja Pisarzy Proletariackich - zorganizowana w pierwszych latach NEP-u - już wówczas zaczynała ostrzeliwać całą pozostałą literaturę artykułami swego pisma "Na postu" /"Na straży"/. Obstrzał ów, nasilający się stopniowo pod koniec NEP-u, zmienił się w latach 1927-30 w istny "ogień huraganowy", albowiem w wielkiej polityce szykował się nowy ostry zakręt - od NEP-u ku pięcioletce oraz kolektywizacji wsi.

Dążenie klasy zwycięskiej, by ująć w swe ręce tworzenie wartości nie tylko materialnych, lecz i intelektualnych: sztuki czy literatury - stworzyło hasła, które w owych latach stały się zawołaniem bojowym RAPP-u: "plan pięcioletni w literaturze" oraz "hegemonia literatury proletariackiej". Grupa młodych wołkiewskich pisarzy-komunistów kierująca RAPP-em uznała bez fałszywej skromności, iż jej to wypada wziąć na siebie rolę hegemonów literatury rosyjskiej i - w tymże samym szturmowym stylu, w jakim realizowano pięcioletkę gospodarczą - przebudować psychologię "pisarzy-współwędrowców" czyniąc z nich, jeśli nie komunistów, to bodaj ortodoksyjnych sojuszników. Niestety, kandydaci do hegemonii nie posiadali za grosz niezbędnego w ich sytuacji poważnego autorytetu artystycznego. Zarówno w sferze opanowania rzemiosła, jak oryginalności i wreszcie wagi talentów oczywista przewaga leżała po stronie "współwędrowców"; stado było mądrzejsze od pasterzy. Hegemonia literacka pojęta jako skutek wolnej konkurencji literackiej, zwłaszcza w najbliższej przyszłości, nie mogłaby w żaden sposób dostać się w ręce RAPP-u. Niecierpliwym konkwestatorom pozostało tylko jedno: ustanowienie swego autorytetu ogniem dział.

Partyjne ich pozycje przedstawiały się dla działań artyleryjskich nadzwyczaj dogodnie: cała praktycznie krytyka literacka o-

kazała się w pewnym okresie monopolem RAPP-u. Rozpoczął się planowy, systematyczny obstrzał "według kwadratów" poszczególnych, co wybitniejszych, "pisarzy-współwędrowców" i całych grup literackich. Pociski krytyczne były nieodmiennie wypełnione jednym i tym samym: oskarżeniem o nieprawowytorność polityczną, przy czym w skład owego pojęcia wchodziły obecnie "odchylenie formalistyczne", "odchylenie biologistyczne", "humanizm", "apolityczność" i tak dalej. Szczerość, talent, sprawność artystyczna pisarza pozostawały zazwyczaj poza polem widzenia owej krytyki. Jeśli nawet ta metoda krytyczna nie odznaczała się szczególną erudycją, to i tak niechybnie osiągała swój cel: ostrzeliwanym nie pozostawało nic innego, jak skryć się, niczym do schronu, za swym pisarskim biurkiem i za nic nie pokazywać się w druku.

Moskwa, Petersburg, indywidualności, szkoły literackie - wszystko to zwrócało się i znikło w dymach tej literackiej masakry. Szok z powodu nieustannego bombardowania krytycznego był taki, iż między pisarzami wybuchła niespotykana epidemia psychiczna: epidemia skruchy. Po zamach czasopism przeciągały całe procesje literackich flagellantów: Pilniak biczował się za powitaną z powszechnym uznaniem powieść kryminalną "Małoch"; założyciel i teoretyk formalizmu Szklowski wyrzekał się na zawsze formalistycznej herezji; konstruktywiści kajali się, że wpadli w konstruktywizm i oznajmiali o rozwiązaniu swej organizacji; stary antropozof Andriej Biely przysięgał na piśmie, iż tak naprawdę jest antropozoficznym marksistą... Szczególnie urodzajną glebę znalazła dla siebie ta epidemia w Moskwie łatwiej ulegającej emocjom: wśród pisarzy petersburskich flagellanci należeli do wyjątków. Jednak dyktaturze RAPP-u poddały się zarówno Moskwa, jak i Petersburg.

Ten rozdział w literaturze sowieckiej wyróżniał się widomą depresją. "Literatura - to służenie, ale do mszy, nie w przedpoje... To nie bezduszna, wyrobnicza służba, jakiej domagali się od nas ci i owi, ponurej pamięci towarzysze z RAPP-u, którzy przekształcili swą grupę w urząd probierczy nowej literatury sowieckiej" - opisywał później tamten okres jeden z pisarzy petersburskich /miesięcznik leningradzki "Zwiesda", zeszyt 4 z 1933 roku/. W życiu kraju był to okres wielkich wydarzeń. Radykalna rewolucja agrarna, gorączkowa industrializacja kraju - wszystko to winno było dostarczyć artyście przebogatego materiału do wykorzystania, ale, rzecz jasna, nie w trybie "służby", rozkazu czy posłuszeństwa sprzecznym z samą istotą procesu twórczego, o wiele bardziej skomplikowanego, niż wyobrażali to sobie kaprale z RAPP-u. Część wybitnych pisarzy rozumiejących /a ściślej - przeczuwających/ niebezpieczeństwa artystyczne tego rodzaju "służby", przestała niemal publikować /Babel, Sejfulina, Ceński i inni/. Pozostali woleli przed tym niebezpieczeństwem w przeszłość - dzięki temu, nieoczekiwanie, odżył gatunek rosyjskiej powieści historycznej /Aleksy Tolstoj, Forsz, Tynianow/ i - nader charakterystyczne - iż znów stało się to w Petersburgu. W tym samym czasie jednak i petersburcy i moskiewscy pisarze opublikowali szereg dzieł poświęconych tematyce aktualizacji industrializacji, "szkodnictwu", obronie itd. Sukcesy należały tu do rzadkich wyjątków, a szczęśliwcami tego rodzaju okazali się wyłącznie pisarze-komuniści /Szolochow, Afinogenow/ - z nader

zrozumiałych przyczyn: autorzy ci nie stali pod pręgierzem i nie musieli, kosztem prawdy historycznej, bezustannie dowodzić swej lojalności. Powiści i sztuki "pisarzy-współwędrowców", sfabrykowane na zasadzie "służby", bez prawdziwego twórczego zapалу, okazały się po większej części słabsze od zwykłego poziomu ich autorów /"Wojska" Pilniaka, "Awangarda" Katajewa, "Nad rzeką Socz" Leonowa, "Wojna" Tichonowa, "Kuchnia fabryczna" Forcz, "Linia ognia" Nikitina i inne/.

Sprawy coraz wyraźniej przybierały sły obrót. W pełnokrwistej jeszcze niedawno literaturze błyskawicznie rozwijały się groźne oznaki artystycznej anemii. By postawić pacjenta na nogi, konieczne było pilne, energiczne leczenie...

Operacji chirurgicznej dokonano w kwietniu 1932 roku, nagle, bez żadnego przygotowania. Komitet Centralny partii komunistycznej uchwalił rozwiązanie organizacji RAPP, której działalność uznano oficjalnie za przeszkodę w dalszym rozwoju literatury pięknej. Analogicznych posunięć dokonano w stosunku do bratnich wobec RAPP-u organizacji działających w środowiskach artystów plastyków oraz muzyków.

Stanowiło to niewątpliwie zwycięstwo kierunku kultury wysokiej, "linii petersburskiej" w sztuce - zwycięstwo, które odczuła zwłaszcza literatura. Zniesienie jawnie nie odpowiadającej rzeczywistości stosunkowi sił artystycznych hegemonii RAPP-u okazało się równie łatwe, jak odwrócenie kartki. Kolejna zaś stronica rozpoczęła nowy, bez wątpienia bardziej obiecujący, rozdział literatury sowieckiej. Nastąpiło przegrupowanie sił pisarskich wedle ich właściwej wagi - i, naturalnie, wpływ "współwędrowców" wzrósł natychmiast. Ponownie, mocniej i zdecydowanie, zabrzmiął w literaturze głos Petersburga: dotąd, przez wszystkie minione lata, - podług polityczną w literaturze zapowiadała moskiewska "Litieraturnaja Gazieta"; obecnie petersburżanie otrzymali gazetę własną - "Litieraturnyj Leningrad". Pismo to w artykule programowym wysunęło stanowczo na plan pierwszy tradycyjne cele "linii petersburskiej": "Gazeta stać się winna laboratorium artystycznego kunsztu, laboratorium słowa, języka i fabuły...".

Bezplodny trud "odważania ideologii na aptekarskiej wadze" /określenie pisma "Litieraturnyj Leningrad"/ ustąpił miejsca bardziej owocnym sporom literackim. Jedyna do wczoraj, uważana za niepodważalną w twórczości, scholastyczna recepta "metody dialektycznej" powędrowała do archiwum. Sedno najnowszych dyskusji sprowadza się do walki dwu metod artystycznych: romantyzmu i realizmu, przy czym, jak dotąd, wyraźną przewagę uzyskała ta ostatnia. Powrót do klasycznej, monumentalnej prostoty /równoległy z europejską tendencją "klarystu"/ - oto kolejne hasło. Wielce charakterystyczne jest, iż spośród "burżuazyjnych" mistrzów współczesnych największe w Moskwie zainteresowanie wzbudza lewicujący amerykański piewca urbanizmu - John Dos Passos.

Operacja chirurgiczna 1932 roku nie okazała się bezowocna: literatura sowiecka uosubiła napływ sił życiowych - stan znany każdemu rekonwalescentowi po ciężkiej chorobie. Czy jednak operacja ta była radykalna? Czy nie nastąpi recydywa choroby?

Faryś, grudzień 1933

przetłumaczył Jan Gondowicz

# Aleksander Berkman

## POWSTANIE KRONSZTACKIE

### I. ROZRUCHY ROBOTNICZE W PIOTROGRODZIE

Była wiosna r. 1921. Długie lata wojny, rewolucji i walk wewnętrznych doprowadziły kraj do wyczerpania i pchnęły lud na kraj rozpacz. Lecz oto nadszedł rok 1921. Wojna wewnętrzna została ukończona; liczne fronty zostały zlikwidowane, a Wrangel - ostatnia ostoja interwencji aljanckiej i rosyjskiej kontrrewolucji - został rozбит i jego działania wojenne w Rosji przerwane. Lud z wiarą i ufnością czekał złagodzenia surowego regime'u bolszewickiego. Spodziewał się on, iż wraz z ukończeniem wojny wewnętrznej komuniści uwolnią kraj od nałożonych ciężarów, zniosą ograniczenia wojenne, dadzą najbardziej podstawowe swobody i przystąpią do organizacji normalniejszego życia. Aczkolwiek daleko niepopularny rząd bolszewicki cieszył się jednak poparciem robotników w swoim często powtarzanym zamiarze przystąpienia do ekonomicznej przebudowy kraju natychmiast po ukończeniu operacji wojennych. Lud z niecierpliwością pragnął współpracować, przyłączyć swoją inicjatywę i twórcze wysiłki do odbudowania zrujnowanego kraju.

Na nieszczęście oczekiwania te zawiodły. Państwo komunistyczne nie okazywało najmniejszego zamiaru złagodzić jarymo. Polityka jego pozostawała ta sama, z jej militaryzacją pracy, powiększającą tylko niewolę ludu, budzącą w nim rozgoryczenie coraz to większym uciskiem i tyranią, a w wynikach swych odbierającą wszelką możliwość odrodzenia przemysłu. Prysła ostatnia nadzieja proletariatu: coraz to bardziej wzrastało przekonanie, że partji komunistycznej bardziej zależy na utrzymaniu władzy politycznej, aniżeli na ocaleniu Rewolucji.

Robotnicy piotrogrodzcy, najrewolucyjniejszy element Rosji, pierwsi podnieśli głos protestu. Uważali oni, iż pomijając inne przyczyny, dużą część odpowiedzialności za nędzę i cierpienia ludu spada na bolszewicką centralizację, biurokrację i autokratyczny stosunek do właścicieli i robotników. Wiele fabryk i warsztatów piotrogrodzkich zostało zamkniętych i robotnicy literalnie umierali z głodu. Zwołali oni parę wieców w celu rozważenia sytuacji. Wiece te zostały przez rząd rozpędzone. Proletariat piotrogrodzki, który wyniósł na swoich barkach cały ciężar walk rewolucyjnych i którego poświęceniu i bohaterstwu wyłącznie zawdzięczamy obronę miasta przed Judenczem, bardzo boleśnie odczuł to postępowanie rządu. Uczucie protestu przeciwko metodom stosowanym przez bolszewików szybko wzrastało. Zostały zwołane liczne wiece, ale

wciąż z tym samym skutkiem komuniści nie chcieli czynić żadnych ustępstw proletarjatowi ofiarowując jednocześnie jak najdalej idące ustępstwa kapitalistom Europy i Ameryki. Robotnicy byli oburzeni - podniecenie ich coraz to wzrastało. Żeby zmusić rząd do wykonania ich żądań, postanowiono ogłosić strajki w zakładach amunicyjnych, fabrykach Trubocznyj i Bałtyjskiej zawod, a także w fabryce Laferm. Zamiast wszcząć pertraktacje z niezadowolonymi robotnikami, "rząd robotniczo-włósciański" powołał do życia nadzwyczajny Komitet Obrony z Zinowjewem, Łajbardziej szienawidnym członkiem w Piotrogradzie, na czele. Otwartym celem tego komitetu było stłumienie ruchu strajkowego.

Strajki zostały ogłoszone 24 lutego. Tego samego dnia bolszewicy wysłali oddział oddanych kursantów, uczniów akademii wojskowej, w celu rozpędzenia robotników zgromadzonych na Wassiljewskom Ostrowie, robotniczej dzielnicy Piotrogradu. Następnego dnia, 25 lutego, oburzeni strajkujący udali się do zakładów admiralicji i do warsztatów okrętowych Galernaja i skłonili zatrudnionych tam robotników do przyłączenia się do ich protestu przeciwko despotycznemu stanowisku rządu. Urządzona przez strajkujących demonstracja uliczna została rozpędzona przez uzbrojonych żołnierzy.

25 lutego odbyło się zebranie Sowietu Piotrogradzkiego, na którym znany komunista Łaszewicz, członek Komitetu Obrony i Rewolucyjnego Wojennego Sowietu Republiki, wystąpił przeciwko ruchowi strajkowemu w najbardziej ostry sposób. Piętnował on z oburzeniem robotników fabryki Trubocznyj zawod, oskarżał ich o to, że są "egoistami, wyzyskiwaczami i kontrrewolucjonistami" i zaproponował zamknąć Trubocznyj zawod. Komitet Wykonawczy Sowietu Piotrogradzkiego /z Zinowjewem na czele/ przyjął tę propozycję. Względem strajkujących zastosowano lokout i automatycznie pozbawiono ich racyj żywnościowych.

Te metody rządu bolszewickiego bardziej jeszcze rozgoryczały i rozdrażniały robotników.

Na ulicach Piotrogradu zaczęły się ukazywać proklamacje strajkujących. Niektóre z nich nosiły wyraźny charakter polityczny, najznaczniejsza, rozlepiana na murach miasta 27 lutego, głosiła:

Niesłuszna jest gruntowna zmiana polityki rządowej. Przede wszystkim, robotnicy i włóścianie potrzebują wolności. Nie chcą oni żyć według dekretów bolszewickich; chcą sami stanowić o swych losach.

Towarzysze, zachowajcie karność rewolucyjną. W sposób stanowczy i zorganizowany żądajcie:

Uwolnienia wszystkich uwięzionych socjalistów i bezpartyjnych;

Zniesienia stanu wyjątkowego; wolności słowa, prasy i zgromadzeń dla wszystkich pracujących;

Wolnych wyborów do komitetów fabrycznych i załogowych /zawodowy/, do związków zawodowych i do przedstawicielstw socjalistycznych.

Zwołujcie mityngi, uchwalajcie rezolucje, posyłajcie delegatów do władz i starajcie się przeprowadzić wasze żądania.

Rząd odpowiedział na żądania robotników licznymi aresztami i zamknięciem paru organizacji robotniczych. Czyn ten bardziej jeszcze podniecił wrzenie antybolshewickie; zaczęły się nawet rozlegać hasła kontrrewolucyjne. /.../.

W międzyczasie bolszewicy skoncentrowali w Piotrogradzie znaczne siły wojskowe z prowincji, a także ściągnęli z frontu najbardziej oddane im pułki komunistyczne. W Piotrogradzie został ogłoszony "wyjątkowy stan oblężenia". Strajkujący ulegli się i zażurzenia robotnicze zostały żelazną dłonią stłumione.

## II. RUCH KRONSZTACKI

Wydarzenia piotrogrodzkie bardzo zaniepokoiły marynarzy kronsztańskich. Niewłaściwe zachowanie rządu bolszewickiego bynajmniej nie cieszyło się ich sympatją. Wiedzieli oni, ile rewolucyjny proletarijat stolicy musiał znosić od pierwszych dni rewolucji, jak bohaterstwo walczył z Judeniczem i z jaką cierpliwością znosił niedostatek i nędzę. Kronsztat był jednak daleki od żądania Konstytuanty, które rozległo się w Piotrogradzie. Niezachwiani głosiciele systemu Sowietów, marynarze kronsztańscy, byli jednak przeciwnikami dyktatury jakiegokolwiek partii politycznej.

Ruch solidarności z robotnikami Piotrogradu rozpoczął się wśród marynarzy okrętów wojennych: Pietropawłowski i Sewastopol - okrętów, które w r. 1917 były głównym oparciem bolszewików. Ruch rozszerzył się na całą flotę kronsztańską, a następnie na kwaterującą w Kronsztaście pułk czerwonej armii. 28 lutego załoga Pietropawłowska uchwaliła rezolucję popartą także przez marynarzy Sewastopola. Rezolucja żądała, między innymi, ponownych wolnych wyborów do Sowietu kronsztańskiego, gdyż kadencja istniejącego Sowietu właśnie upływała. Jednocześnie komisja marynarzy została wysłana do Piotrogradu w celu zapoznania się z faktycznym stanem rzeczy.

1 marca odbył się na placu Jakornym w Kronsztaście wiec masowy, zwołany oficjalnie przez załogi Pierwszej i Drugiej Eskadry Floty Bałtyckiej. 16 000 marynarzy, żołnierzy czerwonej armii i robotników było obecnych na tym zgromadzeniu. Przewodnictwo objął przewodniczący Komitetu Wykonawczego Sowietu Kronsztańskiego, komunistą Wasiljew. Obecni na wiecu prezydent R.S.F.S.R. Kalinin i komisarz floty bałtyckiej Kuzmin zwrócili się do zgromadzonych z mową powitalną. Dla scharakteryzowania przyjaznego stosunku marynarzy do rządu bolszewickiego wskazać należy na fakt, że Kalinin został przy wejściu do Kronsztatu powitany honorami wojskowymi, muzyką i sztandarami.

Na wiecu tym złożyła sprawozdanie komisja wysłana do Piotrogradu 28 lutego. Sprawozdanie jej potwierdzało najgorsze przypuszczenia Kronsztatu. Zebrani dali głośny wyraz swemu oburzeniu przeciwko środkom używanym przez komunistów dla stłumienia umiarkowanych żądań robotników piotrogrodzkich. Rezolucja, przyjęta 28 lutego na Pietropawłowsku, została teraz przedłożona wiecowi. Prezydent i komisarz Kuzmin ostro napadli na rezolucję i skierowali groźby zarówno pod adresem strajkujących robotników piotrogrodzkich, jak i pod adresem marynarzy kronsztańskich. Wywody ich jednak nie wywarły żadnego wrażenia na zgromadzeniu i rezolucja Pietropawłowska została przyjęta jednogłośnie. Oto treść tego historycznego dokumentu:



**REZOLUCJA OGÓLNEGO ZEBRANIA  
ZALÓG PIERWSZEJ I DRUGIEJ ESKADRY FLOTY BAŁTYCKIEJ  
1 MARCA 1921 ROKU**

Biorąc pod uwagę sprawozdanie delegatów wysłanych przez ogólne zgromadzenie zsalóg okrętowych do Piotrogradu w celu zbadania sytuacji na miejscu, zebranie uchwała:

1/ Ze względu na to, że obecne Sowiety nie są wyrazem woli robotników i włościan, przeprowadzić natychmiast nowe wybory, tajne i z pełną swobodą agitacji wśród robotników i włościan w okresie przedwyborczym;

2/ Zaprowadzić wolność słowa i druku dla robotników i włościan, dla anarchistów i lewych partij socjalistycznych;

3/ Zapewnić wolność zgromadzeń związkom robotniczym i organizacjom włościańskim;

4/ Zwołać bezpartyjną konferencję robotników, żołnierzy czerwonej armji i marynarzy Piotrogradu, Kronsztafu i okręgu piotrogodzkiego, najpóźniej do 10 marca 1921 r.;

5/ Uwolnić wszystkich więźniów politycznych partij socjalistycznych, jak również robotników, włościan, żołnierzy i marynarzy uwięzionych w związku z ruchami robotniczymi i chłopskimi;

6/ Wybrać komisję dla zrewidowania spraw aresztowanych w więzieniach i obozach koncentracyjnych;

7/ Znieść politydy /biura polityczne/, albowiem żadna partja nie może mieć specjalnego przywileju propagowania swych idei, ani otrzymywania na to materialnego poparcia rządu. Zamiast nich należy ustanowić komisje wychowawcze i kulturalne obierane na miejscu i finansowane przez rząd;

8/ Znieść natychmiast wszelkie zagradzitelnyje otriady /rogatki/;

9/ Wyrównać racje żywnościowe dla wszystkich zawodów, z wyjątkiem szkodliwych dla zdrowia;

10/ Znieść komunistyczne komitety wojskowe we wszystkich oddziałach armji, jak również straż komunistyczną czatującą po fabrykach i zakładach. O ile taka straż będzie uważana za potrzebną, zostanie ona wyznaczona w armji przez samych żołnierzy, w fabrykach zgodnie ze zdaniem robotników;

11/ Zostawić włościanom zupełną swobodę działania w stosunku do swej roli, a także prawo posiadania bydła, pod warunkiem że będą gospodarzyć własnymi siłami, to znaczy nie posługując się pracą najemną;

12/ Wezwać wszystkie oddziały czerwonej armji, jak również towarzyszy kursantów, do przyłączenia się do naszej rezolucji;

13/ Zażądać od prasy możliwie szerokiego rozpowszechnienia wszystkich rezolucyj;

14/ Wyznaczyć ruchomą komisję kontroli;

15/ Zezwolić na wolne chałupnictwo o własnych siłach.

Rezolucja przyjęta jednogłośnie przez wiec brygady, przy dwóch wstrzymujących się od głosowania.

PETRICZENKO  
Przewodniczący wiecu brygady  
FEREPKIN

Sekretarz

Rezolucja przyjęta przytłaczającą większością głosów przez załogę kronsztacką.

WASILJEW  
Przewodniczący

Spólnie z tow. Kalininem, Wasiljew głosuje przeciwko rezolucji.

Rezolucja ta, ostro zwalczana - jak już wspomnieliśmy - przez Kalinina i Kusmina, przeszła mimo ich protestu. Po wiecu pozwolono Kalininowi wrócić nietkniętemu do Piotrogradu.

Na tymże wiecu postanowiono wysłać komisję do Piotrogradu, któraby wyjaśniła robotnikom i załodze żądania Kronsztatu i sądziła wysłania przez proletarijat piotrogrodzki bezpartyjnej delegacji w celu zbadania obecnego stanu rzeczy i żądań marynarzy. Komisja ta, składająca się z trzydziestu osób, została w Piotrogradzie aresztowana przez bolszewików. Był to pierwszy akt rządu komunistycznego wymierzony przeciwko Kronsztatowi. Dalsze losy komisji pozostały tajemnicą.

Ponieważ kadencja Sowietu kronsztackiego upływała, wiec brygady postanowił także zwołać konferencję delegatów na 2 marca w celu omówienia sposobów przeprowadzenia nowych wyborów. Konferencja miała się składać z przedstawicieli okrętów, załogi, różnych instytucyj Sowietu, związków zawodowych i fabryk, przy czym każda organizacja wysłała dwóch delegatów.

Konferencja 2 marca odbyła się w kronsztackim Domu Wychowania. Na konferencji tej było obecnych przeszło 300 delegatów, w tym wielu komunistów. Zebranie zagał marynarz Petriczenko, potem wybrano przez aklamację prezydium złożone z pięciu osób. Głównym zadaniem konferencji było oprzeć na bardziej równościowych niż dotąd zasadach zbliżające się wybory do Sowietu. Konferencja miała także zająć się sprawą przeprowadzenia w życie rezolucji z 1 marca, jak również rozważyć wszelkie możliwe drogi i środki wydobycia kraju z rozpaczliwej sytuacji spowodowanej brakiem żywności i opału.

Duch konferencji był na wskroś sowiecki; Kronsztat żądał Sowietów wolnych od wtarcania się jakiegokolwiek partji politycznej; chciał on Sowietów bezpartyjnych, które by były wiernym odbiciem jego potrzeb, wyrazem woli robotników i chłopów. Stanowisko delegatów było wrogie w stosunku do despotycznego panowania biurokratycznych komisarzy, ale przyjazne w stosunku do partji komunistycznej jako takiej. Byli oni zapalonymi zwolennikami systemu Sowietów i poważnie, z zastanowieniem, szukali środków towarzyskiego i pokojowego rozwiązania palących tych zagadnień.

Pierwszy zabrał głos komisarz floty bałtyckiej Kusmin. Człowiek raczej czynu, niż myśli, zupełnie nie rozumiał on całej doniosłości chwili. Nie był on w stanie opanować sytuacji, nie wie-

dział jak zdobyć serca i umysły tych prostych ludzi, tych marynarzy i robotników, którzy tyle dla rewolucji poświęcili i którzy znajdowali się teraz w rozpaczyliwym położeniu. Celem konferencji było naradzenie się z przedstawicielami rządu. Mowa Kuzmina zaś była iskrą rzuconą do prochu. Jego bezczelność i arogancja wywołały powszechne oburzenie wśród uczestników konferencji. Zaprzeczył on wydarzeniom piotrogrodskim, twierdząc że w mieście panuje spokój i że żądania robotników zostały zaspokojone. Wychwalał dzieło komisarzy, poddawał w wątpliwość rewolucyjność pobudek Kronstatu i ostrzegał przed niebezpieczeństwem ze strony Polski. Zniżył się nawet do niecznych oszczerstw i pogrótek. Mowę swoją zakończył następującym zdaniem: "Jeżeli chcecie otwartej wojny, będziecie ją mieli, gdyż komuniści nie oddadzą władzy. Będziecie walczyli aż do upadłego".

Nietaktowna ta i prowokująca przemowa komisarza floty mogła tylko do żywego dotknąć i oburzyć delegatów. Mowa następnego mówcy nie wywarła na zgromadzonych żadnego wrażenia: był on bezbarwny i niezdecydowany. Z biegiem wiecu ogólne stanowisko stawało się wyraźnie przeciwbolszewickie. Aż do ostatniej chwili delegaci żyli nadzieją, że uda się osiągnąć towarzyskie porozumienie z przedstawicielami rządu. Ale teraz stało się oczywiste, jak głosi oficjalne sprawozdanie, że "nie mogliśmy dłużej dowierzać towarzyszom Kuzminowi i Wasiljewowi i byliśmy zmuszeni ich chwilowo zatrzymać, zwłaszcza że komuniści byli w posiadaniu broni, a my nie mieliśmy dostępu do telefonów. Żołnierze bali się komisarzy, jak tego dowodzi przeczytany na zebraniu list, a komuniści nie zezwalali na zebrania załogi".

Kuzmin i Wasiljew zostali przeto usunięci z zebrania i umieszczeni pod strażą. Charakterystycznym jest dla ducha konferencji, że propozycja zatrzymania innych obecnych komunistów została odrzucona przytłaczającą większością. Konferencja uznała, że komuniści powinni stać na równi z przedstawicielami innych organizacji i przyznała im te same prawa i ten sam sposób traktowania. Kronstat wciąż był zdecydowany znaleźć jakiś teren porozumienia z partją komunistyczną i z rządem bolszewickim.

Rezolucja z 1 marca została przeczytana i z entuzjazmem przyjęta. W tej chwili jeden z delegatów oświadczył, że bolszewicy atakują zebranie i że piętnaszcze wozów ciężarowych żołnierzy i komunistów, uzbrojonych w karabiny i w kulomioty, zostało wysłanych w tym celu. Wywołało to niesłychane poruszenie wśród delegatów. "Wiadomość ta - mówi dalej sprawozdanie Izwiestij - wywarło piorunujące wrażenie na obecnych. Zarządzone natychmiast śledztwo wykazało bezpodstawność oświadczenia, niemniej krążyły uporczywe pogłoski, że oddział kursantów, pod przewodnictwem znanego czakisty Dulkiisa, maszeruje w kierunku twierdzy Krasnaja Gorka". Ze względu na te wypadki, i pozna pogrótek Kuzmina i Kalinina, konferencją podniosła natychmiast sprawę zorganizowania obrony Kronstatu przed atakiem bolszewickim. Ponieważ czas naglił, postanowiono przekształcić prezydium konferencji w Tymczasowy Komitet Rewolucyjny, który miał za zadanie przestrzeganie porządku i bezpieczeństwo miasta. Komitet miał także poczynić niezbędne przygotowania dla przeprowadzenia nowych wyborów do Sovietu kronstatorskiego.

### III. KAMPANIA BOLSZEWICKA PRZECIWKO KRONSZTATOWI

Piotrogród znajdował się w stanie wielkiego podniecenia. Co raz to nowe strajki wybuchały i krążyły uporczywe pogłoski o rozruchach robotniczych w Moskwie i o powstaniach włościańskich na Zachodzie i w Syberji. Wobec braku godnej zaufania prasy, dawano wiarę najbardziej przesadzonym a nawet wręcz fałszywym wiadomościom. Oczywiście wszystkie były zwrócone ku Kronsztatowi w oczekiwaniu doniosłych wydarzeń.

Bolszewicy przystąpili, nie tracąc czasu, do przygotowania swego ataku na Kronsztat. Już 2 marca rząd wysłał приказ /rozkaz/ podpisany przez Lenina i Trockiego przedstawiający ruch Kronsztatcki jako mstioż, bunt przeciwko władzy komunistycznej. Dokument ten oskarżał marynarzy o to, że są "narzędziem byłych generałów carskich, którzy wespół ze zdrajcami socjal-rewolucjonistami uknuli spisek kontrrewolucyjny przeciwko Republice proletariackiej". Kronsztatcki ruch, walczący o wolne Sowiety, Lenin i Trocki kwalifikowali jako "dzieło agentów entente'y i francuskich szpiegów". "28 lutego - głosił приказ - załoga Pietropawłowska przyjęła rezolucję w duchu czarnej sotni. Wtedy ukazała się na widowni grupa byłego generała Kozłowskiego. On i jego oficerowie, których tożsamość nie została jeszcze ustalona, otwarcie przypisali sobie wywołanie powstania. Ostatnie wydarzenia utwierdzają nas tylko w tym mniemaniu. Za plecami socjalistów-rewolucjonistów także stoi caraki generał. Wobec tego Sowiet Pracy i Obrony postanawia: 1/ wyjąć spod prawa byłego gen. Kozłowskiego i jego pomocników; 2/ ogłosić w Piotrogradzie i okręgu piotrogradzkim stan wojenny; 3/ oddać naczelną władzę nad całym okręgiem piotrogradzkim w ręce Piotrogradzkiego Komitetu Obrony".

W Kronsztacie istniał rzeczywście jakiś były generał Kozłowski. Umieszczony tam został na rozkaz Trockiego, jako specjalista artyleryjski. W wydarzeniach kronsztatckich nie odgrywał on żadnej roli, bolszewicy jednak przebiegle wykorzystali jego nazwisko, by przedstawić ruch marynarzy kronsztatckich jako kontrrewolucyjny, a ich smych jako wrogów Republiki Sowieckiej. Oficjalna prasa bolszewicka rozpoczęła teraz przeciwko Kronsztatowi swą kampanję oszczerstw i zniewag nasywając go "kolebką białego spisku pod przywództwem generała Kozłowskiego", a po fabrykach i warsztatach Piotrogradu i Moskwy zostali rozesłani agitatorzy komunistyczni nawołujący proletarijat do "popierania i obrony Rządu Robotniczo-Włościańskiego przeciwko kontrrewolucyjnemu powstaniu kronsztatckiemu".

Dalecy od jakichkolwiek generałów i kontrrewolucjonistów marynarze kronsztatccy nie przyjęli pomocy nawet ze strony partji socjal-rewol. /.../

Piotrogradzki Komitet Obrony, pod przewodnictwem Zinowjewa, objął władzę naczelną nad Piotrogradem i okręgiem piotrogradzkim. Na cały obwód północny został rozciągnięty stan wojenny i wszelkie wieści zostały zakazane. Zostały przyjęte nadzwyczajne środki ostrożności dla obrony instytucji rządowych i karabiny maszynowe zostały ustawione przed Astorją - hotelem, w którym mieszkał Zinowjew i inni wysocy funkcjonariusze bolszewicy. Odezwy porozlepisne po ulicach rozkazywały robotnikom natychmiast wrócić do fabryk, zakazywały przerywania pracy i ostrzegwały przed gromadze-

nieś się na ulicach. "W podobnych wypadkach - głosił rozkaz - wojsko ucieknie się do użycia broni. W razie oporu zostaje natychmiast otwarty ogień".

Komitet Obrony przedsięwziął systematyczne "oczyszczenie miasta". Liczni robotnicy, żołnierze i marynarze podejrzani o sympatię dla Kronsztatów zostali aresztowani. Wszystkich marynarzy piotrogrodzkich i kilka oddziałów armji posądzonych o "polityczną nieprawowysłność" /niebłagonadziotność/ wysłano do różnych miejscowości, podczas gdy rodziny marynarzy kronsztackich mieszkające w Piotrogrodzie zostały wzięte pod straż w charakterze zakładników. Komitet Obrony zawiadomił Kronsztat o swej działalności odezwą rozrzuconą nad miastem z samolotu 4 marca. Odezwa ta głosiła: "Komitet Obrony oświadcza, iż aresztowani są zatrzymani jako zakładnicy za Komisarza Floty Bałtyckiej, N.N. Kuzmina, Przewodniczącego Sowietu Kronsztackiego, Wasiljewa i innych komunistów. Jeżeli aresztowanemu towarzyszącemu naszym stanie się najniebezpieczniejsza krzywda zakładnicy przypłacią to życie".

"Nie potrzeba nam przelewu krwi. Ani jeden komunista nie został przez nas rozstrzelany" - brzmiała odpowiedź Kronsztatu.

#### IV. O CO WALCZYŁ KRONSZTAT?

Nowe życie zwrcało w Kronsztacie. Entuzjazm rewolucyjny doszedł do poziomu dni październikowych, kiedy to bohaterstwo i poświęcenie marynarzy odegrało taką rolę w losach rewolucji. Po raz pierwszy od czasu jak partja komunistyczna objęła wyłączną kontrolę nad rewolucją i jej losami Kronsztat poczuł się wolny. Nowy duch solidarności i braterstwa zjednoczył marynarzy, żołnierzy, zwoźni fabryczne, robotników i elementy bezpartyjne w zgodny wysiłek dla wspólnej sprawy. Nawet komuniści zostali porwani tym zbrataniem się całego miasta i wzięli udział w pracach przygotowawczych do zbliżających się wyborów do Sowietu kronsztackiego.

Jednym z pierwszych kroków Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego było zachowanie w mieście porządku rewolucyjnego i wydanie oficjalnego codziennego organu Komitetu Izwiestja. Jego pierwsza odezwa do ludu kronsztackiego /Nr 1, 3 marca 1921 r./ jest bardzo charakterystyczna dla stanowiska i usposobienia marynarzy. "Komitet Rewolucyjny - czytamy w niej - pragnie uniknąć przelewu krwi. Uczynił on wszystko, co było w jego mocy dla zapewnienia porządku rewolucyjnego w mieście, w twierdzy i na fortach. Towarzysze i obywatela, nie przerywajcie pracy! Robotnicy, pozostawajcie przy swych maszynach; marynarze i żołnierze, zostańcie na stanowiskach! Wszyscy urzędnicy i wszystkie instytucje Sowietu prowadzą nadal swą pracę. Tymczasowy Komitet Rewolucyjny wzywa was, towarzysze i obywatele, nieść mu swą pomoc i poparcie. Jego zadaniem jest przygotowanie, w braterskiej współpracy z wami, warunków niezbędnych do nowego Sowietu".

Stronice Izwiestjy przynoszą liczne dowody głębokiej wiary w lud kronsztacki i jego dążenie do wolnych Sowietów, jako do prawdziwej drogi wyzwolenia od ucisku biurokracji komunistycznej. W swym organie codziennym i w swych radkach Komitet Rewolucyjny z oburzeniem odpiers bolszewicką kampanję oszczerstw i bezustannie wzywa proletarijat Rosji i całego świata do zrozumienia go, okazania mu sympatji i pomocy. Radjo z 6 marca jest jak gdyby nutą przewodnią wołań Kronsztatu:

Sprawa nasza jest słuszna: jesteście na władzę Sowiecką, nie partyj. Jesteście zwolennikami wolno obranych przedstawicieli mas pracujących. Obecne Sowiety, sztucznie zesztukowane przez partję komunistyczną, były zawsze głuche na nasze żądania i potrzeby; jedyną ich odpowiedzią dla nas były zawsze egzekucje. ... Towarzysze! Oni nie tylko oszukują was: umyślnie przekraczają prawdę i ściągają się do najniższych oszczerstw. ... Cała władza w Kronstacie należy wyłącznie do rewolucyjnych marynarzy, żołnierzy i robotników - a nie do ślepych kontrrewolucjonistów pod przywództwem jakiegoś Kozłowskiego, jak to was usiłują przekonać kłamliwie radja Moskwy. ... Nie zlekaczcie, towarzysze! Przystańcie do nas, wejdźcie z nami w kontakt: żądajcie dla waszych delegatów prawa przybycia do Kronstatu. Jedynie oni powiedzą was całą prawdę i wyjaśnią szatańskie oszczerstwa o fińskim chlebie i o propozycjach antentej.

Niech tyje rewolucyjny proletarij i włóściaństwo!  
Niech tyje władza wolno obranych Sowieckich!

Kwatera naczelna Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego znajdowała się początkowo na pokładzie Pietropawłowska, ale skrótko została ona przeniesiona do "Domu Ludu" w centrum miasta, aby - jak mówi Izwiestja - "być w ścisłym kontakcie z ludem i uczynić łatwiejszym, niż to ma miejsce na okręcie, dostęp do Komitetu". Mimo to, że prasa komunistyczna szkalowała w dalszym ciągu Kronstat szercząc swe jadowite oszczerstwa o "kontrrewolucyjnym powstaniu generała Kozłowskiego" faktem jest, że Komitet Rewolucyjny był czysto proletarijski, składający się przeważnie u robotników o znanym przelisku rewolucyjnym. Skład Komitetu był następujący:

1. PSTRICZENKO, starszy pisarz, okręt Pietropawłowski;
2. JAKOWIENKO, telefonista, okręg kronstacki;
3. OSOSOW, maszynista, Sewastopol;
4. ARCHIPOW, intyjnier;
5. PEREPELIKIN, mechanik, Sewastopol;
6. PATRUSZEN, główny mechanik, Pietropawłowski;
7. KUPCZOW, starszy asystent lekarza;
8. WIERSZININ, marynarz, Sewastopol;
9. TUKIN, elektromechanik;
10. ROMANIENKO, nadzorca warsztatów awjacyjnych;
11. ORESZIN, kierownik Trzeciej szkoły przemysłowej;
12. WALK, robotnik;
13. PAWLÓW, marynarz;
14. BAJKOW, woźnica;
15. KILGAST, marynarz;

Nie bez humoru Izwiestja kronstackie czynią uwagę w związku z tem: "Oto nasi generałowie, panowie Trocki i Zinowjew - podczas, gdy Brusilowowie, Kamieniewowie, Tuchaczewscy i inne gwiazdy czasów carskich są po waszej stronie".

Tymczasowy Komitet Rewolucyjny cieszył się zaufaniem całej ludności Kronstatu. Żyłał on sobie powszechny szacunek przez przyjęcie i ściśle przestrzeganie zasady "równych praw dla wszystkich, przywilejów dla nikogo". Pajok: /racja żywnościowa/ został wyrównany. Marynarze, którzy za rządów bolszewickich otrzy-

wali zawsze znacznie większe racje niż robotnicze, sami uchwalili nie brać więcej, niż przeciętny obywatel i robotnik. Specjalne racje i delikatny były wydawane tylko szpitalom i domom dziecięcym.

Sprawiedliwy i wspaniałomyślny stosunek Komitetu Rewolucyjnego do kronsztackich członków partji komunistycznej - z których nieznaczna tylko część została aresztowana, mimo represje bolszewickie i zatrzymanie rodzin marynarzy jako zakładników - zdobył sobie szacunek nawet komunistów. /.../

Kronsztat poszedł do walki natchniony namiętną umiłowaniami Wolnej Rosji i niezachwianą wiarą w prawdziwe Sowiety. Wierzył on, iż uzyska poparcie całej Rosji, a zwłaszcza Piotrogradu i że w ten sposób zdoła się osiągnąć ostateczne wyzwolenie kraju. Izwiestija kronsztackie podkreślają to stanowisko i tę niezłomną wiarę i usiłują w licznych artykułach i odezwach wyjaśnić swoje stanowisko względem bolszewików i swoje dążenie do utrwalenia nowego, wolnego życia dla Kronsztatu i dla całej Rosji. To wielkie dążenie, czystość jego pobudek i jego gorąca wiara w wyzwolenie biją z wielką mocą ze stronic oficjalnego organu Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego i wiernie odzwierciedlają ducha żołnierzy, marynarzy i robotników. Jadowite napaści prasy bolszewickiej, nikczemne kłamstwa szerzone na wszystkie strony przez moskiewską radjostację i oskarżające Kronsztat o kontrrewolucję i o biały spisek, znalazły godną odpowiedź ze strony Komitetu Rewolucyjnego. Zostały one otwarcie opublikowane w jego organie, żeby pokazać ludowi kronsztackiemu jak nisko bolszewicy upadli. /.../

#### V. ULTYMATUM BOLSZEWICKIE DO KRONSZTATU

Kronsztat był wspaniałomyślny. Ani jedna kropla krwi komunistycznej nie została przelana, nie bacząc na wszystkie prowokacje, na blokadę miasta i środki represyjne ze strony rządu bolszewickiego. Kronsztat gardził komunistycznymi metodami zeusły do tego stopnia, że sam ostrzegł ludność miasta przed ekscesami w stosunku do członków partji komunistycznej. Tymczasowy Komitet Rewolucyjny wydał w tym celu odeswę do ludu kronsztackiego już po tym nawet, jak rząd bolszewicki niczem nie odpowiedział na jego żądanie uwolnienia zakładników zatrzymanych w Piotrogradzie. Żądanie Kronsztatu zostało wysłane radjotelegrafem do Sowietu Piotrogradzkiego, a odeswa Komitetu Rewolucyjnego została ogłoszona tego samego dnia, 7 marca. Oto ich tekst:

W imieniu załogi kronsztackiej Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Kronsztatu żąda uwolnienia w przeciągu 24 godzin rodzin marynarzy, robotników i krasnoarmiejców, które zostały zatrzymane przez Petro-Sowiet w charakterze zakładników.

Żałoga kronsztacka oświadcza, że komuniści korzystają w Kronsztacie z całkowitej wolności i że ich rodziny znajdują się w zupełnym bezpieczeństwie. Przykład Petro-Sowietu nie znajdzie u nas naśladowictwa, gdyż uważamy podobne metody /branie zakładników/ za haniebne i zbrodnicze w najwyższym stopniu, nawet jeżeli są spowodowane wściekłością rozpaczliwą. Historia nie zna podobnej hańby.

MARYNARZ PSTRICZENKO  
Przewodn. Tymcz. Kom. Rewol.  
KILGAST  
Sekretarz

Odezwa do ludu kronsztackiego głosiła:

Długotrwały ucisk mas pracujących przez dyktaturę komunistyczną wywołał naturalne oburzenie i protest ze strony ludu. W związku z tem pewna ilość komunistów utraciła swoje stanowiska i jest bojkotowana. Nie powinno to mieć miejsca. Nie chcemy zemsty ... bronimy tylko naszych interesów robotniczych.

Duch świętej walki ogarnął Kronsztat. Miał on głęboką wiarę w słuszność swojej sprawy i czuł się prawdziwym obrońcą rewolucji. Ogólny nastrój marynarzy był taki, że nie wierzyli oni, iż rząd napadnie na nich z bronią w ręku. W podświadomości tych prostych synów ziemi i morza kiełkowała może myśl, że nie tylko przemocą, osiąga się zwycięstwo. Psychologia słowiańska zdawała się wierzyć, że słuszność sprawy i moc ducha rewolucyjnego muszą zwyciężyć. Bądźco bądź Kronsztat odmówił rozpoczęcia ofensywy. Komitet Rewolucyjny nie chciał usłuchać rady rzeczoznawców wojskowych, uparcywie nalegających na natychmiastowe wylądowanie w Granjenbau- nie, twierdzący o wielkim znaczeniu strategicznym. Marynarze i żołnierze dążyli do ustanowienia wolnych Sowieców i byli zdecydowani bronić swych praw przeciwko napastnikom; nawi nie chcieli jednak napadać.

W Piotrogradzie krążyły uporczywe pogłoski, że rząd czyni przygotowania w celu podjęcia operacji przeciwko Kronsztatowi. Lud nie wierzył jednak podobnym opowiadaniom: tak potworne i absurdalne było dla niego to przypuszczenie. Jak już zostało wspomniane, Komitet Obrony /znany oficjalnie jako Sowieci Pracy i Obrony/ ogłosił w stolicy "wyjątkowy stan oblężenia". Wszelkie zebrania i zbiorowiska uliczne zostały zakazane. Robotnicy piotrogrodzcy niewiele wiedzieli o dążeniach Kronsztatu, gdyż wszelkie informacje dostawały się do nich jedynie przez pośrednictwo prasy komunistycznej i częstych biuletynów utrzymujących, że "generał carski Kozłowski zorganizował w Kronsztacie powstanie kontrrewolucyjne". Lud z niepokojem oczekiwał posiedzenia Sowiecu Piotrogradzkiego, który miał przyjąć środki w sprawie kronsztackiej.

Zebranie Petro-Sowiecu odbyło się 4 marca. Dopuszczeni zostali tylko posiadający karty wstępu, które jak zwykle mogli otrzymać tylko komuniści. Autor tych słów, znajdujący się podówczas na przyjaznej stopie z bolszewikami, a zwłaszcza z Zinowjewem, był obecny na zebraniu. Jako przewodniczący Sowiecu Piotrogradzkiego, Zinowjew zagaił zebranie i w dłuższej przemowie przedstawił położenie w Kronsztacie. Przypomnąc, iż przybył na zebranie usposobiony raczej na korzyść stanowiska Zinowjewa: dopuszczałem możliwość wpływu kontrrewolucjonistów w Kronsztacie. Ale sama już przemowa Zinowjewa przekonała mnie, że oskarżenia komunistyczne przeciwko marynarzom były czczym wywysłem, bez krzty prawdy. Wypadło mi parokrotnie przedtem słyszeć Zinowjewa. Znalazłem w nim adwocę, który potrafił przekonać skoro tylko założenia jego zostały przez słuchacza przyjęte. Ale teraz cały jego sposób mówienia, argumentacja, jego ton i ruchy - wszystko zadawało kłam jego słowom. Czulem, że jego własne sumienie buntuje się. Jedyńm "dowodem" wysuwany przeciwko Kronsztatowi była głoszona rezolucja z dnia 1 marca, której sądania były słuszne, a zresztą nawet umiar-



kowane. A jednak fatalny krok został zdecydowany właśnie na podstawie tego jednego dokumentu popartego namiętnymi, historycznymi niemal groźbami Kalinina pod adresem marynarzy. Uprzednio przygotowana i przedłożona teraz przez Jewdokimowa, prawą ręką Zinowjewa, rezolucja przeciwko Kronsztatowi została przyjęta przez delegatów podnieconych do najwyższego stopnia nietolerancji i pragnienia krwi - przyjęta wśród protestów kilku delegatów, fabryk piotrogrodzkich i przedstawicieli marynarzy. Rezolucja ogłasza Kronsztat jako winny kontrrewolucyjnego powstania przeciwko władzy sowieckiej i żądała natychmiastowego poddania się.

Oznaczało to wypowiedzenie wojny. Nawet spośród komunistów wielu nie chciało wierzyć, że rezolucja ta została przyjęta: tak potworną rzeczą było zaatakowanie siłą zbrojną "dumy i chluby Rewolucji Rosyjskiej", jak Trocki nazwał marynarzy kronsztackich. W kole przyjaciel wielu komunistów groziło opuszczeniem partji na wypadek podobnego krwawego czynu.

Spodziewano się, że Trocki zwróci się do Petro-Sowietu i nieobecność jego wielu sobie tłumaczyło właśnie jako pewnego rodzaju dowód, że powaga sytuacji jest przesądzona. Ale tejże nocy przybył on do Piotrogradu i następnego dnia, 5 marca, wystosował do Kronsztatu następujące ultymatum:

Rząd robotniczo-właścicielski wydał rozporządzenie nakazujące Kronsztatowi i zbuntowanym okrętom poddać się natychmiast władzy Republiki Sowieckiej. Wobec tego rozkazują wszystkim, którzy podnieśli rękę przeciwko ojczyźnie socjalistycznej, natychmiast złożyć broń. Opornych należy rozbroić i oddać w ręce władz sowieckich. Zatrzymani komisarze i inni przedstawiciele rządu powinni być natychmiast uwolnieni. Jedynie ci, którzy się bez zastrzeżeń poddadzą, mogą liczyć na łaskę Republiki Sowieckiej.

Jednocześnie zostają wydane rozkazy dotyczące przygotowań dla stłumienia powstania i poskromienia buntowników siłą zbrojną. Odpowiedzialność za straty wynikłe dla spokojnej ludności padnie całkowicie na kontrrewolucyjnych buntowników.

TROCKI

Przewodn. Rewol. Wojennego Sow. Republiki  
KAMIENIEW

Wódz Naczelny

/.../

## VI. PIERWSZY SZERZAŁ

Kronsztat, bohateraki i wspaniałomyślny, marzył o wyzwoleniu Rosji przez Trzecią Rewolucję i czuł się dumny, że jest inicjatorem jej. Nie nakreślił on ostatecznego programu. Wolność i postępcze braterstwo były jego hasłami. Wyobrażał on sobie Trzecią Rewolucję jako stopniowy proces wyzwolenia, przyozem za pierwszy krok w tym kierunku uważał wolno obrane, niezależne Sowiety, nie kontrolowane przez żadną partję polityczną i będące wyrazicielami woli i interesów ludu. Prości i szczerzy, nie obeznani z różnymi wykrętami sofistycznymi i dwuznacznikami marynarze zwrócili się do robotników świata głosząc swój wielki ideał i wzywając cały proletarijat do zjednoczenia sił w wspólnej walce, ufni, że sprawa

ich znajdzie entuzjastyczne poparcie i że robotnicy Piotrogradu, zawsze pierwsi, zawsze na straży, pośpieszą im z pomocą.

Tymczasem Trocki gromadził swe siły. Najwierniejsze dywizje z frontów, pułki kursantów, oddziały Czecha i jednostki wojskowe złożone wyłącznie z komunistów, były teraz koncentrowane na twierdzeniach Siestrorieck, Lissij Nos, Krasnaja Gorka i na przyległych fortyfikacjach. Najwybitniejsi rosyjscy rzeczoznawcy wojskowi zostali powołani do ułożenia planu blokady i ataku na Kronsztat, a słynny Tuchaczewski został mianowany Naczelnym Dowódcą ataku na Kronsztat.

7 marca o godz. 6.45 wiecz. padł z komunistycznych baterij twierdz Siestrorieck i Lissij Nos pierwszy strzał w kierunku Kronsztatu. /.../

## VII. PORAZKA KRONSZTATU

Bombardowania Kronsztatu przez artylerję rozpoczętemu wieczorem 7 marca towarzyszyło usiłowanie zdobycia twierdzy szturmem. Atak szedł od północy i od południa przez najężone oddziały komunistyczne owinięte w białe okrycia, których kolor czynił ich niewidocznymi na białym tle śniegu, gęsto pokrywającego zamarszłą Zatokę Fińską. Z bólem spotkał Kronsztat te pierwsze straszliwe wysiłki zdobycia twierdzy za cenę szalonych ofiar ludzkich wzywając poraz ostatni do swych otumanionych braci wierzących w kontrrewolucyjność Kronsztatu. Izwiestja z dnia 8 marca piszą:

Nie chcemy przelewać krwi naszych braci i nie damy ani jednego strzału do nich, aż nie zostaniemy do tego zmuszeni. Broniliśmy słusznej sprawy ludu pracującego, a teraz zmuszają nas strzelać - strzelać do własnych braci posłanych na pewną śmierć przez komunistów urosłych w potęgę kosztem drugich.

... Na wasze nieszczęście rozszalał się straszny huragan i czarna noc ogarnęła wszystko. Mimo to oprawcy komunistyczni nie szczędząc ofiar pędzą was po lodzie, grożąc od tyłu swojami karabinami maszynowymi.

Wielu poginęło was tej nocy na lodowej równinie Zatoki Fińskiej. A o pierwszym brzasku, kiedy burza ucichła, nędzne tylko resztki was, zmęczone i głodne, ledwo się poruszające, dotarły do nas w waszych białych odzieniach.

Wczesnym rankiem było tam was prawie tylko tysiąc, a później w dzień znów niezliczona masa. Zapłaciliście drogą krwią waszą za tę swanturę, a po waszej porażce Trocki rzucił się do Piotrogradu, żeby znów pchnąć na rzeź nowych męczenników - za tenia jest mu nasza robotnicza i włościana krew!...

Kronsztat był w głębokiej wierze, że proletarijat piotrogrodzki pośpieszy mu z pomocą. Ale robotnicy tam byli sterroryzowani, a Kronsztat zbyt odizolowany i odcięty, tak że w rzeczywistości nie można się było znikąd spodziewać żadnej pomocy.

Załoga Kronsztatu składała się z 14 000 ludzi, z których 10 000 stanowili marynarze. Musiała ona bronić szerokiego frontu, licznych twierdz i baterij rozrzuconych po rozległej powierzchni zatoki. Coraz to ponawiające się ataki bolszewików, bezustannie wspieranych przez rząd centralny świeżemi posiłkami, brak żywnoś-

ci w oblężonym mieście, długie, bezsenne noce spędzone na strażach na wzrozie - wszystko to podrywało siły Kronsztatu. Jednak marynarze trwali bohaterowie w swej walce ufni aż do ostatka, że ich wielki przykład wyzwolenia znajdzie naśladowców w całym kraju, którzy przyjdą im z pomocą i pokrzepieniem.

W swojej "Odezwie do Towarzyszy Robotników i Kłosian" Tymczasowy Komitet Rewolucyjny /Izwiestja Nr 9, 11 marca/ powiada:

Towarzysze Robotnicy, Kronsztat walczy ze wami, ze głodnych, zziębniętych, nędznych. ... Kronsztat podniósł sztandar buntu i wiary, że dziesiątki milionów robotników i kłosian odpowiedzą na jego wezwanie. Jest rzeczą niemożliwą, aby brasek, który przebił w Kronsztacie, nie rozlał się jasnym słońcem po całej Rosji. Nie może być, aby wybuch kronsztatki nie powtórzył się w całej Rosji, a przedewszystkiem w Piotrogradzie.

Fornoc jednak nie nadchodziła, a wyczerpanie Kronsztatu z dnia na dzień wzrastało. Bolszewicy gromadzili coraz to nowe siły przeciwko oblężonemu miastu i trapiłi je niustannymi atakami. Mieli oni przewagę pod wieloma względami, czy to liczebnie, czy to pod względem posiłków, czy też pozycyj. Budowa Kronsztatu czyniła niemożliwym odparcie ataku z lądu. Pogłoski rozpowszechnione przez bolszewików, że marynarze zamierzają bombardować Piotrogród były wobec tego wierutnym kłamstwem. Słynna ta twierdza została zbudowana wyłącznie w celu obrony Piotrogradu przed wrogiem zewnętrznym zbliżającym się od strony morza. Na wypadek jednak zdobycia twierdzy przez nieprzyjaciela baterje nadbrzeżne i twierdze Krasnaja Gorka były obliczone na walkę przeciwko Kronsztatowi. W przewidzianiu podobnej możliwości budownicy umyślnie zaniechali ufortyfikowania Kronsztatu od strony lądu.

Całą prawie noc bolszewicy ponawiali swój atak. Przez cały dzień 10 marca artylerja komunistyczna ostrzeliwała miasto bezustannie, od południa i od północy jednocześnie. W nocy z 12 na 13 komuniści ponowili atak uciekając się znowu do białych pokrowców i poświęcając setki kursantów. Kronsztat walczył rozpaczliwie nie bacząc na liczne bezsenne noce, brak ludzi i żywności. Z niezrównanym bohaterstwem walczył on przeciwko jednoczesnym atakom od północy, wschodu i południa, podczas gdy baterje Kronsztatu /wobec jego położenia/ zdolne były bronić twierdzy tylko od zachodu. Marynarze nie mieli nawet rozbijacza lodu, żeby uczynić niemożliwym zblizanie się sił komunistycznych.

16 marca bolszewicy przedsięwzięli skoncentrowany atak naraz z trzech stron - od północy, południa i wschodu. "Plan ataku - opowiadał później Dybenko, były bolszewicki komisarz morski a późniejszy dyktator pokonanego Kronsztatu - był opracowany aż do najmniejszych szczegółów zgodnie ze wskazówkami naczelnego wodza Tuchaczewskiego i sztabu polowego Zachodniego Korpusu. ... O zaroku rozpoczęliśmy atak na twierdzę. Białe pokrowce i odwaga kursantów umożliwiły nam posuwanie się kolumnami".

Ranek 17 marca wiele twierdz było zdobytych. Przez Wrota Piotrogradzkie - najsłabszy punkt Kronsztatu - bolszewicy wdarli się do miasta i urządzili brutalną rzeź. Komuniści, pozostawieni przy życiu przez marynarzy, zdradzili ich teraz i napadli od strony lądu. Komisarz Floty Bałtyckiej Kuznia i Przewodniczący

Sowieta Kronsztackiego Wasiljew, uwolnieni przez komunistów z więzienia, brali teraz udział w ręcznej walce ulicznej w bratobójczej rzezi. Do półna w nocy ciągnęła się rozpaczliwa walka marynarzy i żołnierzy Kronsztatu z przeważającymi siłami przeciwnika. Miasto, które przed piętnastu dniami nie tknęło ani jednego komunisty, oczekiwało teraz krwią synów a nawet dzieci.

Dybanko, mianowany Komisarzem Kronsztatu, został obdarzony absolutną władzą dla "oczyszczenia buntowniczego miasta". Rozpoczęła się orgja zemsty, z Cze-ka, sądzającym licznych ofiar dla swych całonocnych rozstrzelów.

18 marca rząd bolszewicki i partja komunistyczna obchodziły oficjalnie rocznicę Komuny Paryskiej 1871 r. zatopionej w krwi robotników francuskich przez Gallifet a i Thiers a. Jednocześnie świętowały one "zwycięstwo" nad Kronsztatem.

W przeciągu paru tygodni więzienia pietrogrodzkie były przepełnione setkami jeńców kronsztackich. Każdej nocy zabierano na rozkaz Cze-ka małe grupy, które znikały - nazawsze. W liczbie ostatnich rozstrzelanych znajdował się Perepelkin, członek Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Kronsztatu.

Więzienia i obozy koncentracyjne lodowych obszarów Archangielska i lichej dalekiego Turkestanu kończą dzieło zemsty i wiodą ku powolnej śmierci synów Kronsztatu, którzy powstałi przeciwko biurokracji bolszewickiej i proklamowali w marcu 1921 r. hasła rewolucyjne z października 1917 r.: "Cała władza Sowietaom!"<sup>x</sup>

#### UWAGI AUTORA NAUKI I ZNACZENIE KRONSZTATU

Ruch kronsztacki był żywiołowy, nieprzygotowany i pokojowy. To, że zamienił się w zbrojny konflikt zakończony krwawą tragedią należy w zupełności przypisać despotyzmowi dyktatury komunistycznej.

Mimo to, że Kronsztat dobrze znał ogólny charakter bolszewików, wierzył on przeciw w możność towarzyskiego rozwiązania konfliktu. Wierzył on, że uda mu się doprowadzić rząd komunistyczny do rozsądku, obdarzał go pewnem poczuciem sprawiedliwości i wolności.

Doświadczenie Kronsztatu dowodzi raz jeszcze, że rząd, państwo - bez względu na nazwę ani formę - jest zawsze śmiertelnym wrogiem wolności i samookreślenia ludu. Państwo nie ma duszy, nie ma zasad. Ma ono jeden tylko jedyny cel - zapewnić sobie władzę i utrzymać ją za wszelką cenę. Taka jest nauka polityczna Kronsztatu.

Jest jeszcze inna, strategiczna, ważna dla wszelkiego powstania.

Powodzenie powstania uwarunkowane jest jego stanowczością, energją i agresywnością. Powstańcy mają po swojej stronie uczucie

<sup>x</sup> W r. 1922 rząd sowiecki ogłosił amnestję dla wszystkich uczestników powstania kronsztackiego. Bardzo wielu marynarzy, uwięzionych w "komunistycznej", wróciło do domu. Natychmiast po przekroczeniu granicy wszyscy oni zostali aresztowani i osadzeni w różnych więzieniach. (...)

mas. Uczucie to wzbiera, wzrasta się wraz z rozwojem powstania. Należy nie dać mu opaść przez powrót do szarżyny codziennego życia.

Z drugiej strony wszelkie powstanie ma przeciwko sobie potężny aparat państwa. Rząd jest w stanie skoncentrować w swych rękach źródła posiłków i środki komunikacji. Należy nie dać rządowi czasu na zrobienie użytku ze swej mocy. Powstanie musi być potężne, wybuchające niespodzianie i stanowczo. Nie powinno się ono ograniczać do pewnej przestrzeni, gdyż lokalizacja oznacza zniechęcenie. Musi ono rosnąć i rozwijać się. Powstanie, które się ogranicza do pewnej tylko przestrzeni, bawi się wyczekującą polityką, albo przybiera pozycję wyłącznie obronną, jest niechybnie skazane na klęskę.

Pod tym względem specjalnie Kronsztat powtórzył fatalny błąd strategiczny komunarów paryskich. Ci ostatni nie usłuchali wskazówek tych, którzy byli zwolennikami natychmiastowego marszu na Wersal, póki rząd Thiers'a był zdezorganizowany. Nie rościągnęli oni rewolucji na cały kraj. Ani robotnicy Paryża w r. 1871, ani marynarze Kronsztatu w r. 1921 nie stawili sobie za cel zniesienia rządu. Komunary żądali tylko pewnych swobód republikańskich, a kiedy rząd usiłował ich rozbroić, wypędzili oni ministrów Thiers'a z Paryża, zaprowadzili swoje swobody i przygotowali się do ich obrony - nic ponadto. Tak samo Kronsztat żądał tylko wolnych wyborów do Sowietów. Zatrzymawszy paru komisarzy, marynarze przygotowali się tylko do obrony przed atakiem. Kronsztat odmówił postępowania zgodnego ze wskazówkami rzeczoznawców i żądającego natychmiastowego obsadzenia Oranjenbauu. Ten ostatni posiadał pierwszorzędne znaczenie strategiczne, pozatem leżało tam 50 000 pudów pszenicy należącej do Kronsztatu. Wylądowanie w Oranjenbauwie było łatwe do wykonania, gdyż bolszewicy byli zaskoczeni i nie zdążyli sprowadzić posiłków. Ale marynarze nie chcieli przedsięwziąć ofensywy i w ten sposób został stracony ten moment psychologiczny. Po upływie paru dni, kiedy oświadczenia i czyny rządu bolszewickiego przekonały Kronsztat, że rozpoczęta walka była walką na śmierć i życie, było już za późno, aby naprawić błąd.

Analogiczny wypadek miał miejsce z Komuną Paryską. Kiedy logika nerzuconej im walki przekonała komunarów o konieczności zniesienia regime'u Thiers'a nie tylko w ich własnym mieście, ale w całym kraju, było już za późno. Tak w Komunie Paryskiej, jak i w Powstaniu Kronsztackim tendencja ku pasywnej, czysto obronnej taktyce okazała się złą.

Kronsztat padł. Ruch Kronsztacki o wolne Sowiety został zatopiony we krwi, podczas gdy w tym samym czasie rząd bolszewicki szedł na kompromisy z kapitalistami europejskimi podpisując pokój ryski, na podstawie którego 12 milionowa ludność została oddana na łaskę i niełaskę Polski i pomagając imperjalizmowi tureckiemu zniszczyć republiki kaukaskie.

Ale triumf bolszewików pod Kronsztatem nosi w sobie samą zgubę bolszewizmu. Wykazuje on prawdziwy charakter dyktatury komunistycznej. Komuniści dowiedli, że są oni gotowi poświęcić komunizm, pójść na wszelki kompromis z międzynarodowym kapitalizmem, ale za to nie chcieli słuchać żądań własnego ludu - żądań zawartych w październikowych hasłach samych bolszewików: Sowietów

obieranych bezpośrednio i tajnym głosowaniem, zgodnie z konstytucją R.S.F.S.R.; wolności słowa i prasy dla partji rewolucyjnych.

Właśnie w czasie powstania kronsztackiego odbywał się w Moskwie X Wszechrosyjski Kongres Partji Komunistycznej. Na kongresie tym uległa zmianie cała bolszewicka polityka ekonomiczna jako rezultat wydarzeń kronsztackich i analogicznej groźnej postawy ludu w różnych innych częściach Rosji i Syberji. Bolszewicy woleli zmienić od podstaw całą swą politykę, znieść rozwiórkę /przymusowe rekwizycje zboża/, zaprowadzić wolność rzemiosła, dać koncepcje kapitalistom i wyrzec się samego komunizmu - tego komunizmu, o który walczyła Rewolucja Październikowa, za który przelano morze krwi i pogrążono Rosję w ruinę i rozpacz - byleby nie pozwolić na wolno obierane Sowiety.

Czyż może jeszcze ktoś wątpić w to, jakie są prawdziwe cele bolszewików: czy urzeczywistnienie ideałów komunizmu - czy własne?

Kronsztat posiada doniosłe znaczenie historyczne. Był on dzwonem pogrzebnym bolszewizmu, z jego dyktaturą partyjną, zgnąną centralizacją, czekistowskim terrorem i kastami biurokracjami. Cios wymierzony przezeń ugodził w samo serce autokracji komunistycznej. Jednocześnie pchnął on inteligentnych i uczciwych rewolucjonistów Europy i Ameryki do krytycznego zrewidowania bolszewickiej teorii i praktyki. Rozwiązał on mit bolszewicki o tym, jakoby państwo komunistyczne było "Rządem Robotniczo-Właścicielskim" i udowodnił, że dyktatura partji komunistycznej a Rewolucja Rosyjska - to dwa sprzeczne, przeciwległe sobie i wzajemnie się wykluczające pojęcia. Dowiódł on, że regime bolszewicki jest niczem nieskrępowaną tyranją i reakcją, że samo państwo komunistyczne jest najpotężniejszą i najbardziej niebezpieczną kontrewolucją.

Kronsztat padł. Ale padł zwycięski w swym idealizmie, czystości moralnej, w swej wspaniałomyślności i człowieczeństwie. Twierdzenie Kronsztatu, że nie przelał on krwi swych wrogów było prawdą. I na tem polega jego wielkość - Kronsztat nie znał egzekucyj. Samodzielnie działający, prości i surowi, szorstcy w ruchach i w mowie marynarze byli zbyt szlachetni, żeby pójść śladem bolszewickiego przykładu zemsty; nie chcieli oni rozstrzelać nawet znienawidzonych komisarzy. Kronsztat jest żywym wyrazem tej wspaniałomyślnej, wszechprzebaczącej duszy słowiańskiej i od wieków ciągnącego się rosyjskiego ruchu wyzwolenczego.

Kronsztat był pierwszym ludowym i całkowicie niezależnym wysiłkiem wyzwolenia się spod jarzma socjalizmu państwowego - wysiłkiem dokonanym bezpośrednio przez lud, przez samych robotników, żołnierzy i marynarzy. Był on pierwszym krokiem ku Trzeciej Rewolucji, która jest nieunikniona i która, wierzymy, przyniesie wreszcie cierpiącej Rosji robotniczej i właścicielskiej wolność i pokój.

Aleksander Rozaniecki

NIE ZOSTAŁ EUROPEJCZYKIEM...

CZYLI

O CENTRALIZMIE LENINA

Taktykę centralizacji, stosowaną konsekwentnie przez Lenina od 1902 roku /data powstania "Co robić?"/, tłumaczono jeszcze do niedawna w krajach "realnego socjalizmu" rozległością terytorialną Rosji wymagającą rzekomo jedności działania w realizacji ideałów rewolucyjnych. Tego rodzaju pojmowania sytuacji w kraju zbiegało się z politycznym wysłaniem Lenina w kategoriach walki, czego dowodem było wprowadzenie przez niego komunizmu wojennego. Kategorie społeczno-politycznych decyzji, które się z tym wiązały, miała wiele wspólnego z preferowaną przez niego strategią wojenną. Idea zmiany frontu państwowo-narodowego I Wojny Światowej na klasowy oraz dążenie do ustalenia jego linii ideologicznej służyć miały zwalczaniu panującej warstwy społecznej oraz, co najważniejsze, konstituować jedność, którą najłatwiej jest kształtować taktycznie w opozycji do jednoznacznie określonego wroga.

Samo zdobycie władzy przez Lenina i jego typ partii komunistycznej uznawano za zwycięstwo rewolucji nie bacząc na fakt, iż nie zaistniały jakościowe zmiany w metodach jej sprawowania. Ich zspowiedź w sławnych "Tezach kwietniowych" /20.IV.1917/, broszurze "Państwo a rewolucja" /powstałej na emigracji w Finlandii na przełomie sierpnia i września 1917 roku/ nigdy nie została spełniona. Z poglądów Lenina wynikało zresztą jasno, że nigdy nie miała być zrealizowana. Niemal od początku /tzn. od 1902 r./ pojawiła się w jego praktyce politycznej zssada awangardowości partii komunistycznej, która wykluczała masy robotnicze z wszelkich instytucji, w których gestii leżałoby podejmowanie jakichkolwiek decyzji. W "Co robić?" Lenin pisał: "Wszyscy, którzy rozprawiają o przecenianiu ideologii, o wyolbrzymianiu roli czynnika światowego itp., wyobrażają sobie, że ruch czysto robotniczy sam przez się może wypracować i wypracuje sobie samodzielną ideologię, byle by tylko robotnicy wyrwali swe losy z rąk przywódców. Jest to jednak wielki błąd"<sup>1</sup>. Partia komunistyczna jako awangarda klasy robotniczej miała przejąć "organizację" rewolucji. W "Państwie i rewolucji" jest o niej mowa tylko na jednej stronie, gdzie Lenin pisze: "Wychowując partię robotniczą marksizm wychowuje awangardę proletariatu, która potrafi wziąć władzę i poprowadzić cały lud do socjalizmu, organizować nowy ustrój i nadawać mu kierunek, być nauczycielem, kierownikiem, wodzem ogółu pracujących i wyzyskiwanych w organizowaniu ich życia społecznego bez burżuazji i przeciwn burżuazji"<sup>2</sup>. W całej broszurze dominują uwagi na temat uzna-

nia "politycznego panowania proletariatu"<sup>3</sup> albo na temat samorządu: "Ameryka i pierwsza Republika Francuska pokazały nam, jak należy zorganizować samorząd i obchodzić się bez biurokracji, a dziś jeszcze pokazuje to Australia, Kanada i inne kolonie angielskie"<sup>4</sup>. Píše tam również o zniesieniu "wszelkiej zorganizowanej i systematycznej przemocy, wszelkiej przemocy nad ludźmi w ogóle"<sup>5</sup>. I chociaż za główny błąd Parvusa i Trockiego podczas rewolucji 1905 roku, w której sam nie brał udziału, uznał propagowanie Rad, teraz pisał: "/.../ lud jednak może zdławić wysiłki nawet za pomocą bardzo prostej maszyny, niemal bez maszyny, bez specjalnego aparatu, za pomocą prostej organizacji uzbrojonych mas /w rodzaju - powiedzmy uprzędając - Rad Delegatów Robotniczych i Żołnierskich/"<sup>6</sup>. O tychże Radach mówił także we wspomnianych "tezach kwietniowych", gdzie zapowiedział rozbięcie Republiki parlamentarnej i zastąpienie jej republiką Rad. W nich znalazły się też zasady wybierności i odwoływania przez wyborców wszystkich urzędników. W ten sposób pod hasłem "Cała władza w ręce Rad" Lenin mógł włączyć się w walkę rewolucyjną, która rozpoczęła się w zasadzie i teraz bez jego udziału. A kiedy mu się to ze względu na realną wówczas siłę Rad udało, mógł już bez większych przeszkód forsować wcześniej wypracowaną zasadę trzech mniejszości. Klasa robotnicza jako mniejszość społeczna, partia robotnicza jako mniejszość klasowa i kadra zawodowych rewolucjonistów jako mniejszość w partii stanowią podstawę centralizmu, który stał się celem nie tylko rewolucji w Rosji ale i rewolucji światowej. Wprowadził już w czerwcu Lenin wycofał się z jednoznacznego poparcia dla Rad, ponieważ obawiał się, że bolszewicy nie są w stanie opanować ich liczebnie, to w "Państwie a rewolucji" mówił o nich jeszcze przychylnie. Zasadnicze znaczenie miała jednak dla niego większość komunistyczna na wszystkich kształtujących się szczeblach nowej władzy. I tak, kiedy na drodze stanęło Zgromadzenie Narodowe, w którym bolszewicy nie uzyskali większości, rozwiązał je 16.I.1918 roku. Hasło o dyktaturze proletariatu stawało się tożsame z dyktaturą Rad komunistycznych. Konstytucja z 10 lipca 1918 roku była konsekwencją tego procesu, jednocześnie już władzę ustawodawczą z wykonawczą w rękach rad komunistycznych gwarantując przez pośrednie wybory delegatów centralną strukturę, na której cele stanął Wszechrosyjski Kongres Rad.

Do najbardziej spektakularnych posunięć politycznych Lenina na rzecz centralizacji w latach 1919-1921 należy utworzenie Międzynarodówki Komunistycznej, rozgromienie powstania w Kronstadsie i likwidacja Opozycji Robotniczej. Uzależniły one raz na zawsze światowy ruch socjalistyczny i komunistyczny od Moskwy, zlały polityczną inicjatywę oddolną i określiły metody walki partii komunistycznych z ich oponentami ideologicznymi czy programowymi.

III Międzynarodówka, planowana już na VII kwietniowej Konferencji w 1917 w Piotrogradzie, zebrała się w Moskwie 2-6.III.1919 roku. Lenin ogłosił na niej trzy zasadnicze tezy: o wyjaśnianiu namom systemu rad i demokracji proletariackiej, o organizowaniu Rad wśród robotników, żołnierzy i chłopów oraz o stworszeniu w Łonie Rad trwałej większości komunistycznej. Natomiast już na II Kongres Międzynarodówki Komunistycznej /19.VII-7.VIII.1920/ Lenin przygotował m.in. z Zinowiewem 21 warunków przyjęcia do niej.



Najważniejszymi kwestiami było uznanie monopartyjnego charakteru dyktatury proletariatu, oczyszczenie szeregów partii ze zwolenników "centrum" i konsekwentna polityka komunistyczna, co statutowo określone zostało w paragrafie ósmym jako podporządkowanie się partii krajowym Komitetowi Wykonawczemu. Na jego siedzibę wybrano mimo protestów Moskwę, gdzie na 15 miejsc 5 przypadło rosyjskiej partii komunistycznej. Ze względu na siedzibę główne prace Komitetu przypadły też jej w udziale. Partie krajowe weszły do Międzynarodówki nie jako autonomiczne jednostki ale jako sekcje. Wspomniane warunki o przynależności spowodowały silne rozbitcie ruchu socjalistycznego w Europie. Do rozłamu doszło m.in. w partii socjalistycznej we Francji i we Włoszech, gdzie partia komunistyczna powstała dopiero w 1921 roku. Zasił w Niemczech 300 000 członków USPD przeszło do KPD liczącej do tej pory 78 000 osób, a pozostałych 400 000 rozproszyło się lub wróciło do SPD. Na przykładzie Niemiec po tym rozbitciu niezależnych socjalistów widać dokładnie dowolność sterowania przez komunistów rosyjskich wypadkami w tym kraju. Wskazują na to losy kolejnych niemieckich przywódców KPD.

Bespośrednim wpływem na działalność partii komunistycznych w Europie przyświecała idea rewolucji światowej zdalnie kierowanej przez centralizowaną siłę komunistów, o czym Lenin pisał w "Dzięciołej chorobie lewicowości w komunizmie" /powstałej na przełomie kwietnia i maja 1920/. Jako autor tej broszury, która pisana była z myślą o II Kongresie III Międzynarodówki /19.VIII-7.VIII.1920/, w niczym już nie przypomina twórcy "Państwa a rewolucji", chociaż minęły dopiero 3 lata. Twierdził tu apodyktycznie, że dla efektywności działań politycznych każda metoda jest dobra: "Należy łączyć bezwzględna wierność ideom komunizmu z umiejętnością uciekania się do wszelkich niezbędnych kompromisów praktycznych, do lawirowania, ugodowości, wygyszków, cofania się i temu podobnych, aby przyśpieszyć urzeczywistnienie komunizmu na całym świecie. To panowanie wybrała sobie Lenin z stylu "oligarchii", jak wielokrotnie podkreślał w uwagach na temat struktury partii, także w cytowanej tu broszurze. Uznawał zatem zdecydowanie tradycyjny sposób sprawowania władzy. W swoich pismach mówił przede wszystkim o jej zdobywaniu i umocnianiu w ostrej walce klasowej, nie zastanawiał się natomiast w ogóle nad relacjami między zwierzchnikami a podwładnymi. Relacje te podciągał jedynie pod wspólny mianownik dyscypliny partyjnej. Dlatego przemoc traktował jako podstawę walk rewolucyjnych, a Wielką Rewolucję Francuską jako prototyp przewrotu. W dużej mierze mógł się przy tym oprzeć na doświadczeniu społecznym, które nie znało innej formy władzy poza zwierzchnią. W doświadczeniu tym ogromną rolę odgrywała także religijność naturalna rosyjskiego społeczeństwa. Stała się ona nie tylko podstawą pośmiertnego kultu Lenina jako namiastki wszystkiego, co temu społeczeństwu odebrano<sup>5</sup>, ale także sam Lenin jeszcze za życia wykorzystywał ją w pełni w realizacji swojej centralistycznej polityki. Inaczej trudno byłoby wytłumaczyć z jednej strony jego wrogość wobec religii, z drugiej zaś ostre rozgraniczenia innowierców ideologicznych od wiernych ruchowi komunistycznemu. Z takiej perspektywy ocenić można jego rozrachunki z Opozycją Robotniczą zgromadzoną wokół Szlapnikowa, Kołontaj, Lutwinowa i Miedwiediewa, która chciała wprowadzić zmiany progra-

sowe dotyczące podstaw demokracji nie naruszając jedności partii. Kiedy na przełomie 1919 i 1920 roku uplasowała się ona obok Lenina /tzw. Platformy 10-ciu/ i Bucharina jako trzecia, najbardziej krytyczna grupa, Lenin zapowiedział likwidację "drażliwych elementów" i "syndykalicznych odchylen" /"Prawda" z 21.I.1921/. Przerwała się bowiem dyskusja o roli związków zawodowych, która ciągnęła się od listopada 1920 roku do X Zjazdu Partii w marcu 1921. Wnioski z niej wiązały się ściśle z demokracją bezpośrednią i wymagały rezygnacji z założenia, że związki zawodowe miały pozostać pośrednikami między masami a partią jako szkołą komunizmu przy zakładach pracy bez prawa współdecydowania o ich działalności ekonomicznej.

Opozycja Robotnicza, podobnie jak powstanie w Kronstadsie, /2-18.III.1921/ nie wyrastała z różnic programowych wobec forsowanej przez Lenina polityki, ale z jego błędów pociągających za sobą coraz głębszy kryzys gospodarczo-polityczny państwa. Aleksandra Kollontaj pisała w "Robotniczej Opozycji" w 1921 roku: "Tak długo jak klasa robotnicza w pierwszym okresie rewolucji czuła się jedynym nosicielem komunizmu istniała doskonała jedność w partii. W dniach bezpośrednio po Rewolucji Październikowej nikt nie mógł nawet pomyśleć o "górze" jako czymś innym od "dołów", gdyż w tamtych dniach światli robotnicy byli mocno zaangażowani w realizację punktu po punkcie z naszego klasowego komunistycznego programu. /.../ Lecz obecnie jest zupełnie inaczej. Robotnik czuje, widzi i zdaje sobie sprawę na każdym kroku, że specjaliści i /co gorzej/ niewykształceni, niepiśmienni pseudospecjaliści i ludzie bez umiejętności wyrzucają robotnika i spełniają wszystkie wyższe funkcje administracyjne w naszych przemysłowych i gospodarczych instytucjach"<sup>9</sup>. Było to stwierdzenie stanu rzeczy, o czym świadczą także strajki w Piotrogradzie. Protesty robotnicze wywały się spod kontroli partyjnej w zakładach pracy. Sytuację zaostrzył stan wojenny ogłoszony w tym mieście 24.III.1921. Oddalony od Piotrogradu o 25 km Kronstadt ruszył do akcji powstańczej. Przez 10 dni powstańcy utrzymywali się w aktywnej walce, w której stawiali obok żądań ekonomicznych także polityczne, jak wolne wybory do Rad, którym miały być przyznane większe prawa od partii. Lenin nie tylko odrzucił te żądania, ale i wykorzystał te wydarzenia do rozrachunku z Opozycją Robotniczą. Wraz z Trockim wypracował szczególnie zafałszowany obraz powstania jako buntu kontrrewolucyjnego, którego uczestników Trocki jeszcze w 1938 roku nazywał garstką "zdemoralizowanych elementów" /L. Trocki, "The New International", IV, 1928/, nie mających nic wspólnego z radykalnymi marynarzami i robotnikami z 1917 roku. Nad kryzysem jednak nie wolno było przejść do porządku dziennego. Lenin dobrze wiedział, że komunizm wojenny nie rozwiązywał problemów gospodarczych, dlatego na X Zjeździe RKP/b/ zapowiedział NEP. Miała to być obietnica przemian, których realizację uzależnić mógł znów programowo od jedności w partii. Wobec tego złożenie Opozycji Robotniczej w ofierze tej jedności okazało się wręcz konieczne. W ten sposób Lenin pozbył się niewygodnej krytyki. Likwidacja Opozycji pomogła mu w utrzymaniu kierunku jego polityki, dlatego krytyka zawarta w piśmie Kollontaj pozostaje do dnia dzisiejszego w mocy. Zawarte są w niej już uwagi o niebezpieczeńst-

wach w zarządzaniu gospodarką, które rozwinęły się potem w okresie NEP-u: "Tylko chłopci skorzystali bezpośrednio na rewolucji. Jeśli chodzi o klasy średnie to dostosowały się one bardzo zrećnie do nowych warunków. Dotyczy to również przedstawicieli bogatej burżuazji, którzy zajęli wszystkie odpowiedzialne i kierownicze pozycje w instytucjach radzieckich /szczególnie w sferze kierowania gospodarką państwową, w organizacjach przemysłowych i ponownym nawiązaniu stosunków handlowych z innymi narodami/. Tylko podstawowa klasa Republiki Radzieckiej, która dźwiga wszelkie ciężary dyktatury, jako masa, skazana jest na godną, litości egzystencję"<sup>10</sup>. Dzieje się tak, ponieważ istota bez liderów partii "jest nieufność wobec klasy robotniczej". "Wszystkim im - Leninowi, Zinowiewowi i Bucharinowi wydaje się, że produkcja jest tak delikatną sprawą, że niemożliwe jest obejść się bez pomocy dyrektorów. Najpierw wychowamy robotników, nauczymy ich i dopiero gdy dorosną zabierzemy im nauczycieli z Rady Najwyższej Gospodarki Narodowej i pozwolimy związkom przemysłowym przejąć kontrolę nad produkcją"<sup>11</sup>. Opozycja Robotnicza zwracała uwagę na mechanizm paraliżowania i unieszkodliwiania ruchu związkowego poprzez ograniczenie go do "obowiązków domowych"<sup>12</sup>. Atakowała także Bucharina, według którego aktywność związków przejawiać się powinna w sferze polepszenia doli robotników. "Opozycja Robotnicza zwraca wiele uwagi na ten problem, a jednak rozumie, że podstawowym polem klasowej kreacji jest wprowadzenie nowych przemysłowych form ekonomicznych, których częścią zaledwie jest poprawa doli robotników"<sup>13</sup>. Dlatego krytycy z opozycji buntują się też na hasło "związki" /.../ powinny zostać związkami", a "jeśli chodzi o produkcję, będą ją prowadzić i nią zarządzać ludzie"<sup>14</sup>, których wybierze partia.

Wobec niedawnej, zaskakująco szybkiej, rehabilitacji Opozycji Robotniczej w Związku Radzieckim warto przypomnieć jej dwa zasadnicze żądania: "1. Sformować ciało z robotników-wytwórców dla administrowania ludową gospodarką, 2. dla tego celu /to jest dla przejścia związków od roli biernego asystowania do ciał ekonomicznych i do aktywnego uczestnictwa i przejawiania ich twórczych inicjatyw/ Opozycja Robotnicza proponuje serię wstępnych przedsięwzięć nakierowanych na spokojną i stopniową realizację tego celu"<sup>15</sup>. Warto podkreślić jej uwagi na temat samorządu: "Nie może być samorządności bez wolności myśli i opinii, gdyż samorządność przejawia się nie tylko w inicjatywie, działaniu i pracy lecz również w niezależnej myśli. Nie dajemy swobody działalności klasowej, obawiamy się krytyki, przestaliśmy polegać na masach: stąd mamy biurokrację"<sup>16</sup> - i dalej: "Zamiast systemu biurokracji Opozycja Robotnicza proponuje system samorządności mas"<sup>17</sup>.

Zarówno krytyka polityki Lenina jak i żądań Opozycji Robotniczej przypominają idee Róży Luksemburg, które zdążyła sformułować przed śmiercią w 1918 roku. Jej "Rewolucja rosyjska" /opublikowana dopiero w 1922 roku/ jest najwcześniejszą krytyczną reakcją na sytuację w Rosji po 1917 roku. Mimo dzielącej ją od wypadków w Rosji odległości - Luksemburg była wówczas w Niemczech - dostrzegła kierunek kolejnych decyzji zmierzających do likwidacji demokracji. Luksemburg pisze: "Wprowadzać dyktaturę, ale dyktaturę klasy, nie jednej partii czy klikki, dyktaturę klasy tzn. w najszerszej jawności przy jak najaktywniejszym współudziale mas

ludowych, w nieograniczonej demokracji"<sup>18</sup>. Określając prawdziwą wolność jako wolność ludzi o odmiennych poglądach wysoko oceniła jasność polityki, a ta była w Rosji konsekwentnie niszczone: "parę tuzinów przywódców partyjnych z niewyczerpaną energią i bezgranicznym idealizmem dyryguje i rządzi /.../" i jest to "wprawdzie dyktatura ale nie proletariatu ale garści polityków /tzn. dyktatura w sensie burżuazyjnym, w sensie panowania jakobinów/"<sup>19</sup>.

Fakt, że krytyka Róży Luksemburg wyprzedziła tu żądania Opozycji Robotniczej przemawia jeszcze raz za tym, że centralistyczne posunięcia polityki Lenina nie były wynikiem trudności, na które napotykał, co jego założeń programowych układających się w ciąg logicznych konsekwencji: na miejsce proletariatu pojawiła się partia, na jej miejsce Komitet Centralny, a wreszcie zamiast niego wykonał się Dyktator. Stalin był jego godnym następcą, potrafił praktycznie wykorzystywać maszynę raz wprowadzoną w ruch.

Można tylko za Sołżenicynem powtórzyć wyrażające zdziwienie zdanie: "Ileś się Lenin poniewierał po całej Europie - a nie stał się Europejczykiem"<sup>20</sup>.

## Przypisy

<sup>1</sup> Włodzimierz Lenin, "Co robić?", w: W.L., "O partii", Warszawa 1983, s. 36.

<sup>2</sup> Włodzimierz Lenin, "Państwo a rewolucja", Warszawa 1980, s. 33.

<sup>3</sup> Op. cit.

<sup>4</sup> Op. cit. s. 97.

<sup>5</sup> Op. cit., s. 110.

<sup>6</sup> Op. cit., s. 122.

<sup>7</sup> Włodzimierz Lenin, "Dziesięć choroba "lewicowości" w komunizmie", w: W.L., Dzieła wszystkie, Warszawa 1988, t. 41, s. 76f.

<sup>8</sup> Por. Ernst Toller, "Quer durch, Reisebilder und Reden", Berlin 1930, s. 106-107: "Bolszewicy powiedzieli mi, że lud potrzebuje kultu, który zastępuje wszystko, co zostało mu odebrane. Lenin jest symbolem wiążącej jedności rosyjskiego społeczeństwa i kiedy ludzie pielgrzymują do niego, to pielgrzymują do obrazu wielkiej Rosji" /tłum. A.R./.

<sup>9</sup> Aleksandra Kollontań, "Opozycja Robotnicza", Warszawa 1981, s. 9.

<sup>10</sup> Op. cit., s. 10.

<sup>11</sup> Op. cit., s. 17.

<sup>12</sup> Op. cit., s. 22

<sup>13</sup> Op. cit.

- 
- <sup>14</sup> Op. cit., s. 21.  
<sup>15</sup> Op. cit., s. 26.  
<sup>16</sup> Op. cit., s. 30.  
<sup>17</sup> Op. cit., s. 36.  
<sup>18</sup> Róża Luksemburg, "Die russische Revolution Eine kritische Würdigung", Berlin-Fichtenau 1922, s. 77 /tłum. A.R./.  
<sup>19</sup> Op. cit., s. 75.  
<sup>20</sup> Aleksander Sołtenicyn, "Lenin w Zurychu", Warszawa 1989, s. 16.

# Olga Frejdenberg – Borys Pasternak

## FRAGMENTY KORESPONDENCJI

Już podczas pierwszej wojennej nocy, z 22 na 23 czerwca, ogłoszono w mieście alarm przeciwlotniczy. Wymarł on na mnie przerażające wrażenie. Niezwykłość nalotu powietrznego – śmierci z niebios – wstrząsnęła mną. Leżałam, nie mogąc pojąć i pogodzić się z dzianością takiego życia, z tymi nieprawdopodobnymi ludźmi – skłóconymi tyranami, z fabrykami materiałów wybuchowych, z bombami rzuconymi do łóżek śpiących mieszkańców miast, dzieci, starców. Drżałam i stawało mi serce.

Później nastąpiło wiele jeszcze alarmów: lotniczych, lecz bez rzucania bomb.

Postrach stanowiła ewakuacja Leningradu. Po pierwszych tragicznych, nie zorganizowanych transportach dzieci bez opieki, rodzice nie chcieli już dawać dzieci ani wyjeżdżać sami. Całe miasto bojaźliwie pragnęło zostać. Ani inteligenci, ani lud w swej masie nie wierzyli w cuda-niewiady gdzieś w obcych stronach, zaś warunki jazdy w zawieszonych ciepłuszkach były przeraźliwe. Mimo to wyjeżdżały już organizacje pociągając za sobą personel. Wyjeżdżała Akademia Nauk.

Nade wszystko bałam się ewakuacji Uniwersytetu.

/.../

Olga Michajłowna Frejdenberg (1890-1955) była siostrą przyrodnią Borysa Pasternaka. Od lat szkolnych mieszkała z rodziną w Petersburgu. Była wybitną uczonką, filologiem klasycznym i etnologiem (m.in. "Postika sjułeta i jarra" 1936, wyd. polskie w przygotowaniu), należała do szkoły Sachkina. Była też tłumaczką ("Złota gałąź" Frasers). Z bratem widywała się bardzo rzadko, po raz ostatni prawdopodobnie w listopadzie 1936 roku. Jej nis opublikowane "Notatki", rodzaj kroniki rodzinnej, przechowywane są obecnie na Uniwersytecie Oksfordzkim.

Wybór obejmuje lata wojny, którą Olga Frejdenberg przeżyła w oblężonym Leningradzie, Pasternak zaś, przymusowo ewakuowany z Moskwy, w Czystopolu nad Kąą (pafdziernik 1941 – czerwiec 1943). (Przy lekturze listów pamiętać należy o trzecim krytyczniku – cenzurze).

Podstawę wyboru stanowi "Korespondencja z Olgą Frejdenberg" Borysa Pasternaka, pod redakcją i z komentarzem Elliotte Mosemane, Harcourt Brace Jovanovich Publishers, New York and London, 1981.

Tajfun nadciągał. Pierwszego września wydarzyła się najfatalniejsza tyfioza klęska: zamknięte zostały tak zwane sklepy komercyjne. Były to sklepy, w których państwo pobierało prowizję w postaci podwyższonych cen. Kartki, wprowadzone na chleb i artykuły spożywcze jeszcze w sierpniu czy lipcu, nie miały większego znaczenia, gdyż i tak wszystko, co trzeba, można było kupić w sklepie.

I oto wszystko to znikło. Cóż my będziemy jedli, co ja kupię? Tajfun jeszcze bliżej. 8 września w biały dzień rozległa się w powietrzu ogłuszająca, nieprzerwana palba. Był to, zda się, grad wybuchów, nagły potop grzmiącej kanonady, weszbrany potok nieustannych gromów, zamieć huk, trzasku i katastrofy.

Mińło kilka dni i wiedziliśmy już czym są naloty, bomby i pożary. Lecz nagle - piekielny grzmot - eksplozja. Dom się trzęsie, dzwoni szkło. Podrywamy się jak tknięci obłędem. Cisza. I nagle znów gromowy wystrzał z łoskotem uderza w dom i rozsypuje się straszliwa eksplozja. Oszaleli ludzie nie wiedzą, jak się ratować. Biegną na schody, do bram, na dół.

To było jeszcze straszniejsze, bardziej ślepe, nieprzewidywalne niż nalot z powietrza, jeszcze bardziej nienaturalne i nieludzkie. To był ostrzał artyleryjski z ciężkich dział. Do tej potworności przywyknąć nie sposób!

Ale przywykliśmy. Dziewięć miesięcy co do dnia, z bardzo rzadkimi przerwami. Odpalają salwę, rozlega się przenikliwy gwizd, pociski padają z ogłuszającym wybuchem. I ludzie chodzą po ulicach - ja też - i każdy z nas, tak jak każdy dom, w każdej chwili oczekuje zguby.

Niemcy mordowali leningradczyków z nieludzką zaciekleścią. Anglicy, przedsiębiorąc najsilniejsze ze swoich nalotów na Niemcy, nie atakowali jednego miasta częściej niż raz w tygodniu.

Niemcy przeprowadzali naloty na Leningrad dzień w dzień i to po kilkakroć, co godzinę czy dwie, pięć lub sześć razy, po dziewięć, jedenaście razy dziennie. Jak dalece pozwalało im słońce i upływ czasu zabijali i obracali w ruinę piętrowe domy. Ach, te sterty szczap i strzepy żelaznych łożek, siedziby biedoty, żalony skarb wśród cegieł i belek. Tak jak wszyscy ludzie są równi sobie bez ubrania, tak też wszystkie mieszkania wydawały się jednakowe wśród śmiecia i szczątków. Z jednych domów pozostawał śnieg szkielet, w innych zdumiewały drzwi, kawałek korytarza, kamienna balustrada. Gdy tylko syczał się alarm lotniczy, całe rozstrzęsione ubierałyśmy się spazmatycznie i wychodziłyśmy na przedświt klatki schodowej, piętro niżej. To naiwne samozsustwo uspokajało nas. Ach, ta zgroza, ta ciemność, ten gwizd pikujących niemieckich bombowców, ten moment oczekiwania na wybuch i w tejże chwili przelot śmierci, wstrząs domu, głuchy krzyk powietrza.

Miasto nie było przygotowane na naloty. Schronów z prawdziwego zdarzenia prawie nie było. Ukrywano się po piwnicach, suterenach, schronach przeciwgazowych - w wilgotnych, zimnych i strasznych podziemiach. Przechodniów zaganiano tam przemocą, a jeśli spadała bomba bursąca, piwnice te bywały zasypywane.

Ostrzał artyleryjski był jeszcze okropniejszy niż naloty, przez właściwy mu ślepy traf i nieprzewidywalność. Ostrzeżenia były niemożliwe. Ktoś jadł i zabijało go przy stole. Szedł ulicą

- i rozrywał go pocisk. Z Kołpina, Ligowa, Pułkowa i Strielny bie-  
gły na chybił trafił śmiertelne kule i gdzie, w jaki dom, uli-  
cę, piętro miały trafić i wybuchnąć, wiedział tylko ślepy los.

Moskwa, 14 września 1941

Otrzymano w Leningradzie 27 września 1941

Droga Oluniu! Co za czasy, co za czasy! Jakże się lękam i  
współczuję z tobą i ciocią! Nieprzytomnie, niewypowiedzianie!  
Przerażająco was bombardują. Doświadczaliśmy tego przed miesiąc-  
cem. Często dyżurowałem wówczas na dachu podczas nocnych nalotów.

Jednej nocy, akurat podczas mego dyżuru, trafiły w nasz dom  
dwie bomby burzące. Jest to dom jedenastopiętrowy, o czterech  
wejściach. Zburzyły pięć mieszkań na jednym ze skrzydeł i połowę  
oficyny w podwórzu. Wszystkie te niebezpieczeństwa napawały mnie  
lękiem, ale i wprawiły w oszołomienie. Jestem sm, ale zapewne  
będę zimował w czwórce z Piedinem, Wsiewołodem Iwanowem i Leono-  
wem, na którejś z naszych dacz. Żenia z Dudikiem są w Taszkien-  
cie. Zina z Lenikiem i jeszcze jednym chłopcem - w Czystopolu nad  
Kamą, a jej drugi syn, z gralicą kości, na Uralu. Była wiadomość  
z Oksfordu. Wszyscy żyją.

Twój B.

Moskwa, 8 października 1941

Otrzymano w Leningradzie 21 października 1941

Drogi Oluniu i ciociu Asiu!

Adres Żeni: Taszkient, Wystawowa 8, u Iwczenki, Eug. Wł. Pas-  
ternak.

Jak się zdaje, nie mają oni jak dotąd na co się uskarżyć, po-  
nod Żenia wstąpił na uniwersytet na wydział matematyczny, a także  
działa w teatrze. Olu, przyjaciółko droga, dzięki za kartkę i te-  
legram. Możesz sobie wyobrazić, jak się z nich ucieszyłam! Doży-  
wam na dacy ostatnich dni wraz ze starą gosposią Żeni, ale mimo  
wszystko odwiedzę Zinę, dopóki nie zamarzy rzeki. Tam jest wszyst-  
ko w porządku, chociaż Lenik ma odrę, a i warunki w mieszka-  
niu, gdzie ulokowano Zinę, oczywiście trudne. Ostatnio palnęła ona  
streszne głupstwo pisząc w Lotfondzie za siebie i dzieci z góry,  
za całe trzy miesiące, nie biorąc pod uwagę swej piekielnej robo-  
ty w stołówce, kiedy jednocześnie żony bogaczy-laureatów żyją na  
koszt tejże organizacji nie kiwnąwszy palcem. "I po co było ro-  
dzić tyle dzieci" - oto ostatnie "mot" Lenika, jakie przywieźli  
do Moskwy ewakuowani.

Moskwa, 8 października 1941

Otrzymano w Leningradzie 21 października 1941

Drogi moje i złote! Oto na wszelki wypadek jeszcze raz adres  
Żeni: Taszkient, Wystawowa 8, u Iwczenki, dla niej. Cóż by to by-  
ło za szczęście, gdybyście się spotkali! Papa i siostry żyją, do-  
wiadywali się o nas telegraficznie - przed wyjazdem do Ziny do  
Czystopola zatelegrafują do nich /Pasternak 20 Park Town, Oxford/  
o was i o nas. Naturalnie, okropnie stęskniłem się za Lenikiem:  
prosił on Zinę "niech tata przyjedzie, żeby nie leciały bomby".  
Nawzajem Zina są coraz bardziej stanowcze i kategoryczne, sam już  
chcę pojechać do niej. Jeśli zdarzyłby się cud i znalazłybyście  
się w Moskwie przejeżdżam czy docelowo akurat podczas mej chwilo-  
wej nieobecności, to wszystko tu będzie przewidziane, poczynając



od mieszkania, jakiegoś opału, pewnej ilości kartofli i kapusty, itd., itd., pod opieką starej gosposi Żeni, Heleny Pietrowny Kuzminej. Bulwar Twerski 25 m. 7, S.V. Pasternak. Być może, będzie u niej mieszkać także Achmatowa, niech was to ani trochę nie kępuje, to dobry i prosty człowiek.

Moskwa, 8 października 1941

Otrzymano w Leningradzie 21 października 1941

Najukochańsze! Adres Żeni: Taszkient, Wystawowa 8, u Iwczenki, Bug. Wł. Pasternak. Na okres mojego wyjazdu z Moskwy, gdybyście się u niej znalazły, wszystko co wolne jest do waszego użytku, tak w mieście, jak na wsi, w Lawruszyńskim i na Bulwarze Twerskim /nr 25 m. 7/, nie mówiąc o zapasach warzyw i opału. Opiekujcie się tym wszystkim stara gosposia Żeni, Helena Pietrowna Kuzmina /znaleźć ją można, poza mieszkaniem Żeni, także u jej siostry: Moskwa, Kropotkina 3 m. 20, u M.A. Rodionowej/. Ktokolwiek mieszkałby u mnie podczas mej nieobecności, dla was wszędzie zapewnić jest wszystko. Opowiedziałam jej o was i wprowadzi was do niej Szura /Bulwar Gogola 8 m. 52, tel. K-4-31-50/. Gdyby losy rzuciły was do Żeni i Leni, byłaby to rzecz najpomyślniejsza i niewypowiedziana radość. Zaopiekowałybyście się nimi. Żeby pracowali i zarabiali, bo to najważniejsze. Powodź im się, jak się zdaje, nieźle i bez problemów.

Od grudnia rozpoczął się dwojaki napór: mroźów i głodu. Tak lodowatej zimy nie było jeszcze nigdy. Miasto nie miało opału. Ani drewna, ani nafty nie wydawano, zakazano używania kuchenek elektrycznych. Norwy wciąż się zmniejszały. Większa część ludności otrzymywała na cały dzień 125 g chleba. Zresztą już od dawna nie był to chleb. Podejrzana, półpłynna mieszanina wszelkich surogatów, przepojona posmakiem nafty. Im mniej chleba, tym dłuższe kolejki. Wycieńczeni ludzie stali godzinami na mrozie 20-30 stopniowym, żeby dostać nędzny przydział.

Już w grudniu ludzie zaczęli puchnąć i obrzmiewać z głodu.

Stały tramwaje. Nie było paliwa, a więc i prądu. Ogromne miejscowe i podmiejskie przestrzenie pokonywano pieszo. Chodziło się milcząc z dzielnicy do dzielnicy przez mosty lub po łódzkie rzek. Za sobą ciągnęło się sanki, a na nich belki, pniaki, deski, szczapy, patyki.

Nagle zaczęły się aresztowania profesorów. Aresztowano Żirmuńskiego, Gukowskiego.

Od pierwszego do dwudziestego stycznia nie wydawano zupełnie niczego.

Głodni, spuchnięci, obrzmiali ludzie stali w oczekiwaniu na dostawę po 8-10 godzin na siarczystym mrozie, w chustach, szalach, kołdrach na waciaki i płaszcze. Dzień za dniem, tydzień za tygodniem nie dawano człowiekowi nic do jedzenia. Państwo, wzięwszy na siebie karanie ludzi i zabroniwszy im handlu, poszukiwać i zmiany, nie dawalo zupełnie nic.

Zaczęły się masowe zgony. Takiej liczby ludzi nie mogłyby zabić żadne epidemie, żadne bomby i pociski Niemców. Ludzie szli i padali - stali, i przewracali się. Ulice zsłane były trupami. W aptekach, w podcieniskach, w bramach, u stóp schodów i przy wejściach leżały trupy. Zgarniali je nad ranem dozorczy, jak śmieci.

Szpitala były zapchane wielotysięcznymi górami zmarłych; sinych, wychudłych, strasznych.

A jedzenia wciąż nie wydawano i nie wydawano.

Wedle tego, co się mówi, w Leningradzie zginęło tej zimy 3,5 miliona ludzi. Spośród uczonych zmarła, według słów specjalisty /akad. Kraszkowskiego/, ponad połowa.

Mówić, skarżyć się, wołać - było bezcelowe. W gazetach i radiu wrzeszczano o nieustraszonosci i odwadze obłączonych. Ach, już wy miasta nie poddamy! Nie zachodzą żadne okoliczności wymagające kapitulacji. Niegdyś poddawano twierdze po wyczerpaniu zapasów żywności. Myśmy wiedzieli, że śmierć głodowa pięciu milionów zamkniętych w klatce ludzi nie osłabi heroizmu naszych sytych prodymatorów. Często martałowało mnie, kto jest okrutniejszy - ci, którzy zamknęli żywych ludzi w klatce śmierci czy ci, co strzelali i zabijali? Żadne męczarnie żywych ludzi, żadne masakry, żaden głód - nic i nigdy nie skłoniłoby naszej władzy do poddania miasta czy jakichkolwiek pertraktacji lub układów w celu udzielenia pomocy ofiarom. Działała tu znana zasada: trąbać po człowieku. Nadano jej miso odwagi, bohaterstwa obłączonych, dobrowolnie rzekomo oddających życie za ojczyznę.

Czystopol, 18 marca 1942

Otrzymano w Leningradzie 6 czerwca 1942

Droga Olu, drzy mi ręka, gdy przychodzi nakreślić twe imię. Czy jesteś z ciocią, czy zycie? Jakże marzyłem, że wyrwiecie się do Taszkientu, do żeni, jakże tam na was czekano! Gdybyś wraz z ciocią Asią znalazła się poza Leningradem, musiałbym - myślę - dowiedzieć się o tym i odszukałibyśmy się jakoś. Daj mi niezwłocznie znać o sobie, to porozumiewy się szczegółowo, co robić dalej. Szura z rodziną pozostała w Moskwie. Być może, pojedę tam za miesiąc w interesach. Odpowiedz mi zaraz i pomyśl czy nie mogłybyście wyjechać? O papie i siostrach nic nie wiem. Lenia jest z Ziną, która pracuje w domu dziecka. Pisz jak najprędzej. Całuję.

Boria

Co i jak z Maszurą?

Żyłam z dnia na dzień borykając się monotennie z przeciwnościami życia. Człowiek sowiecki odznaczał się nieskończoną elastycznością i mógł się rozciągać jak szelki, ile kto chce, w każdą stronę. Jego obojętność wobec życia i śmierci była potężną bronią. Był zdolny umierać i smartwychwstawać dowolną ilość razy. Dodać tu trzeba wykrawanie i szarganie ostatnich dziesięcioleci. Wszystko jedno było: zdechnąć tu czy tam - żyć i cierpieć czy stracić oddech i przestać się męczyć. Nikt i nic nie dawało szansy wolności, wyboru, ratunku. Klęszcze życia nie podlegały nikogo bardziej niż klęszcze śmierci.

Na nowy rok posłałam pozdrowienie wszystkim przyjaciółom, a pośród nich przede wszystkim, po pięciu z górą latami, telegram do mojego drogiego wuja z rodziną w Oksfordzie. Było to wielkie, niezwykle zdarzenie. Zawiadawiałem ich, że mama jest zdrowa i że wierzymy w spotkanie.

Traswajów nie było, światła nie było, telefon był wyłączony. Głód i straszliwy urós paraliżowały życie.

Zamarły rury, skończył się dopływ wody i kanalizacja. Zamarło wszelkie życie. Nie wywieszano ani nie roznoszono gazet. Zamknięte były apteki. Poczta i telegraf przestały pracować. Zamilkło radio.

Z powodu zimna ludzie nie rozbierali się na noc, nie uyli się z braku wody.

Małe, zapchane pokoiki, w których mieszkali różni krewni i znajomi, tonęły w kopciu kaganków, w dymie piecyków - "kóz", w brudnych waciakach i filcokach; mieszkańcy o usmarowanych twarzach i czarnych rękach rąbali i łupali na parkiecie deski, płyty, meble - stuk rozbrzmiewał całymi dniami, piecyki dowagały się pokarsu. Przenikliwy, duszący smród latryny dobiegał ze schodów. Podwórza, posadzki, ulice, śnieg - wszystko zalane było żółcią, cuchnącą cieczą.

Kiedy aresztowano Saszę, jedynym moim szczęściem było przygotowywanie dlań przesyłek, na które zezwalano zesłańcom z okazji widzenia albo i bez niego. Biegałam po bazarach ciesząc się ilekroć wynalazłam coś czy zdobyłam.

Teraz, podczas tej zimy, zapasy te stały się podstawą naszego istnienia i miesiąc po miesiącu otwieraliśmy koszyk za koszykiem z beczenną zawartością, z delikatesami Saszki.

Pogarszał się stan psychiczny mamy. Srogie doświadczenia zszarpały jej nerwy i rozdrażniały ją duchowo. Niczym dziecko obarczyła mnie winą niemalże za wszystko i absolutnie nie życzyła sobie przyjąć do wiadomości prawdziwego stanu rzeczy.

W mieszkaniu były trzy stopnie niżej zera i chwile wstawania stanowiły udrękę, ponieważ rozbierałyśmy się na noc, obawiając się - powszechnego w mieście - zawsznienia.

W niewypowiedziany sposób cierpiałam z powodu marnych rąk. Ach, ten kłujący, ostry, nieznosny ból palców! Łzy ciekły z oczu, chciało się krzyknąć na całe gardło. Coraz to rozgrzewałyśmy dłonie na imbryku czy rondlu. Od rana do wieczora trwała walka z tym bólem zamazujących rąk i nóg.

Lubiłyśmy siadywać przy piecu. Nazywało się to "nastala chwila upragniona". Nadchodził wieczór, męczarnie dnia były skędzone, siadałyśmy na przepieku i rozkoszowałyśmy się ciepłem. Przytulność, gorejące drwa, spokój.

I nagle - jęk syren, żałosne, przeciągłe, nieznosnie płaczliwe wycie... Potem świst, wybuch, wstrząs, trzaskanie łentówek. Zamieramy czekając: rozewnie nas w tej chwili czy nie? Spotka nas - czy może kogos innego? Na kogo wypadnie?

Radio milczało. W tej martwej ciszy, która objęła nawet bolszewicką propagandę, kryło się coś strasznego. Zniknął cały otaczający świat. Niesamowicie było nie wiedzieć, co dzieje się na świecie, w kraju, w mieście, za granicą. W chwili największego nieszczęścia ludzie zostali sztucznie rozdzieleni i nie mogli ani podać ręki, ani krzyknąć "ratunku"!

Więc kiedy pewnego razu rozległo się stukanie do drzwi i weszła Lidzycz - jęknęłyśmy i całą trójką zalałyśmy się łzami. Przyszła, żeby nas zobaczyć, z naszego końca Kamiennoostrawskiego, gdzie gnieździła się z mężem w kancelarii, w której pracował. Na urwisku, na krawędzi, ponad otchłaniań czasów i trwogi spotkało się nas troje - jeszcze żyjących. Zobaczyłyśmy się!

Rozpoczęła się ewakuacja uniwersytetu. Nastąpiły nieskończoność, męczące wahania, bezsenne noce, tysiące zmiennych postanowień i narad. Jedni powiadali - jechać, uciekać, wyjechać choćby pieszo z tego miasta śmierci. Inni uśmiechali się drwiąco - wyjeżdżać teraz, kiedy się tyle przetrwało, w kolejne głodowe warunki? Nie spałyśmy z mamą po nocach rozmawiając wciąż i wciąż na ten sam temat.

Nie mogłam już prawie wyprostować nóg. Z każdym dniem było mi gorzej i gorzej. Najdokuczliwsze były bóle poranne, kiedy nogi musiały stać i dźwigać ciało. Ach, te straszne poranki i dni szczytnie się kurczącymi łydek, potwornym bólem zdrętwiałych, powykrzywianych, skurczonych jak wściekły pies mięśni!

I wreszcie, rano 24 lutego, nie mogłam już z bólu ani stać ani knużyć, ani poruszać się po pokoju. Ciało dygotało od dreszczy, ręce sztywniały i traciły czucie.

Był to początek mej długiej, dwumiesięcznej choroby.

Należało odebrać w pracy kartki na marzec: drobiazg! Należało nosić wodę, drzewo, wynosić całodzienne brudy.

Mama odchodziła od śmysłów. Leżałam sparaliżowana i nie widać było ani końca, ani perspektyw, że stak osłabnie. Diagnozy być nie mogło, lekarze domowi nie zjawiali się miesiącami. Dopiero po trzech tygodniach nieoczekiwanie odnalazłam naszego osobistego lekarza. Po zbadaniu i osłuchaniu mnie, powiedział: - Ma pani cynge!

Jak się okazało, chorowało już całe miasto. Jedyna kuracja - to obfitość witaminy C oraz rozgrzewające kompresy.

Przez całe lato i jesień, wśród wybuchów artyleryjskich, kaponady i gwizdu bomb, kontynuowałam pracę. Najpierw pisałam "Porównania homerowskie". Zakończywszy "Porównania" przed zimą, zaczęłam szukać tematu, który nie wymagałby książek i literatury. Zaczęłam spisywać swoje wykłady z teorii folkloru.

W łóżku myślałam wiele nad rozważaną od dawna pracą o problemach realizmu w starożytności. "Porównania homerowskie" powinny być stać się jej pierwszym rozdziałem, ostatnim zaś - "Pochodzenie intrygi fabularnej". Leżąc, zapisywałam w notatniku główne swe myśli o realizmie greckim, o istocie intrygi jako realistycznego podejścia do świata, o przeniesieniu środka ciężkości z religii i bogów na człowieka.

Tamara Nikołajewna Pietuchowa zdobyła dla mnie witaminę C i to mnie uratowała. Ona też po ślizgawicy, w urocznej ciemności zimowych wieczorów, po lodzie zamarznętej Newy nosiła dla mnie słoje "glukozy". Był to młdy syrop z ostrą esencją aromatyczną, straszne świństwo, sprzedawane w Akademii Nauk za lichwiarską cenę 150 rubli za litr.

Witamina C pomogła mi zdumiewająco - a ja przecież nic a nic nie wierzyłam w witaminy! Po 6-7 dniach moje nogi stały się lekkie, ruchliwe - ból minął. 29 marca obudziłam się z uczuciem, że jestem zdrowa, że czas pracuje dla mnie. A 31 zaczęłam po trochu wstawać. Nigdy nie zdarzyło mi się odczuwać takiej słabości w nogach. Jakże straszne było wstać! Z początku chodziłam o kuli i lasce, później posługiwałam się laską jedynie na ulicy.

Wstałam, mój Boże, wstałam! Nie potrzebowałam opieki!

Trwała świetlista, olániewająca wiosna. Niebo od krańca do krańca z czystego błękitu, lánującego i triumfalnego. Była to jeszcze wiosna podszyta zimą, z mrozami i trafiającym się z rzadka

śniętkiem. Ale słońce wydawało się gorące. Promieniowało, świeciło, zalewało miasto. Ulice były bezludne, czyste i suche. Miasto przeobrażało się jak za sprawą prawdziwego chrześcijańskiego Przemienienia. W bezludziu i ciszy milczała sama za plecami; cienie męczenników stawały przed oczyma niczym śmierć na krzyżu i owa niewidzialna obecność niedawnych cierpień pogłębiała jiszę i pustkę. Ludzi na ulicach prawie nie było. Podwórza - puste.

Wraz z ewakuacją zakładów i fabryk zmieniło się w Leningradzie powietrze. Stało się świeże jak na prowincji, dźwięczące ciższą. Śmiertelny ból przekształcił się w wiosenną urność. Wielki kołowrót wszechświata pojechał i krzepił, obiecywał przemianę również ludzkich spraw.

Leningrad, 26 czerwca 1942  
Otrzymano w Czystopolu 18 lipca 1942

Drogi Boris! Korzystając z okazji, posyłam ci kartkę. Trudno mi pisać do ciebie. Czy możesz sobie wyobrazić, że Dante /dopóki Wergili je śniadanie/ siada sobie skrobnąć liścik? Cóż ci rzec, by ci nie szarpać nerwów? Nic. Albo tak. Nie miałam pojęcia, jak tłumaczyć sobie twoje ośmiomiesięczne milczenie. Telegrafowałam do Żeni do Taszkientu, lecz nie otrzymałam odpowiedzi. Wreszcie wydarzenie: w czerwcu nadszedł twój list z 25 marca i wreszcie adres. Nie sądziłam, że Szura jest w Moskwie. Na Nowy Rok wymieniłyśmy pozdrowienia z Lidką; wszyscy zdrowi. W lutym dostałam od niej telegram z obawami o ciebie i Szurę; odpowiedziałam jej, biedaczko, dopiero po trzech miesiącach /leżałam z cynką/ i wówczas sypnęły się podziękowania i życzenia od dalszych krewnych - naturalnie, zawiadawiałam na chybił trafił, że jesteście zdrowi, tylko porozumieć się trudno. Tobie odpowiadałam na kartce pilnym telegramem. Jak dotąd nie ma odpowiedzi, choć kończy się dwutygodniowy termin. "Reszta jest milczeniem". Moja katedra wraz z pracownikami jest w Saratowie, dokąd mnie wzywają i gdzie są dobre warunki, ale boję się ciągnąć tam niedołążną mamę w osiedziesiątym drugim roku życia. Czy długo przetrwamy, nie wiem. Serdecznie całuję ciebie, Zinę i Leonidka.

Czystopol, 18 lipca 1942  
Otrzymano w Leningradzie 3 sierpnia 1942

Droga Olu! Kartka twoja przysłała teraz w takiej sytuacji, że odpowiadam bez chwili zwłoki. Niedziela, siódma rano, dzień wolny. To oznacza, że wieczorem będzie u mnie Zina, a o dziesiątej rano przyjdzie Leonidek. Przez resztę tygodnia są oni w domu dziecka, gdzie Zina jest siostrą-intendentką. Jest świeży, deszczowy poranek, na moje szczęście, bo inaczej z powodu klimatu kontynentalnego byłby afrykański upał, a ja nie mogę spać, gdy jest silne słońce. Wstałam o szóstej, ponieważ w naszym rejonowym hydrancie, z którego noszę wodę, często psują się rury, a poza tym wodę dają tylko dwa razy dziennie w określonych godzinach. Trzeba złapać moment. Usłyszałem przez sen przesłanie wiadomości, które wypełniły ulicę. Każda gospodyni ma tu korowysła, całe miasto jest ich pełne.

Mam jedno okno na drogę, za którą jest duży sad, nazywany "parkiem kultury i wypoczynku", drugie zaś - na zarosłe rumiankiem podwórze sądu ludowego, dokąd często prowadzą wynędzniałych

więźniów ewakuowanych do tutajszego więzienia z innych miast i gdzie wydzierają się na cały głos, kiedy sądzony bywa ktoś z tutajszych.

Droga pokryta jest gęstą warstwą czarnego błota wylającego spomiędzy kocih łbów jezdni. Jest tu wyjątkowo fantastyczna ziemia, czarnoziem tej klasy, że wydaje się być zmieszany z pyłem węglowym, i gdyby dać taką ziemię ludności zdyscyplinowanej i pracowitej, która wiedziałaby, co może, co chce, i czego ma prawo żądać, wszelkie zadania społeczne i ekonomiczne doczekałyby się rozwiązania i w tej Nowej Burgundii zakwitłaby sztuka typu Rebelaisego lub Hoffmannowskiego "Dziadka do orzechów". Zobaczyłem przez okno listonoszkę wchodzącą na ganek sądu i dostrzegłem, że wrzuciła kartkę do naszej skrzynki.

Wziąłem się teraz za list bez żadnych przeszkód dzięki porannej porze, ciszy i dookolnej malowniczości. Telegram od ciebie był dla mnie zrozumiałym wstrząsem, płakałam ze szczęścia. Lecz z pewnością długo jeszcze nie mógłbym przezwyciężyć onieśmialenia i zadziwienia miarą tego, co przyszło wam znieść i długo nie mógłbym ci odpisać, bo żadne okrzyki nie wydałyby mi się wystarczające, żeby to wyrazić.

Kiedy zajeżdżałem tu w końcu października, miałem czasem nadzieję, że traficie do Żeni do Taszkientu. Zapytywałem ją o was. Ale chodzi o to, że i od samej Żeni nie dostałem ani słowa przez pierwsze cztery miesiące, a listy stąd przychodziły tylko do końca stycznia. Przypomina mi się, że pisałem do ciebie przed wyjazdem z Moskwy albo zaraz po przyjeździe do Czystopola i wydało mi się, że znasz adres Ziny /Czystopol, dom dziecka Litfondu/. Najważniejsze, że zapewne w głębi duszy nie dopuszczałem do siebie myśli, że jesteście w Leningradzie, podobnie jak tobie nie chciało się wierzyć, że Szura jest w Moskwie. I wreszcie, na koniec: dopiero w marcu przekonałem się dowodnie, że poczta z odciętego Leningradu dociera tutaj, że zdarza się to w naturze. Ale nawet wtedy zdało mi się zuchwałstwem próbować pisać na zwykły wasz adres - zabobonny strach przed tym, że wasze mieszkanie może opuszczać za sprawą samego przypuszczenia, iż może tam być, jak dawniej, ktoś, kto otworzy listonoszowi. I szukałem informacji o was przez Sergiusza Spasskiego, a także przy pomocy mieszkającego tutaj leningradczyka Szkapakiego skrykowałem się zapytać o ciebie na Uniwersytecie Leningradzkim. I tylko przypadkiem przyszła mi do głowy myśl najnaturalniejsza: żeby tak wysłać do nich najzwyczajszą kartkę.

No i to jest, koniec końców, wszystko. Trwa dobrze ci znane życie z tymi modyfikacjami, jakie przyniosła wojna. Dopóki mieszkałem w Moskwie, z chęcią i zainteresowaniem przyjmowałem wszystko, co było nowe i związane z nalotami i zbliżaniem się frontu. Niejedno widziałem i znosiłem. Było to nieprzebrane bogactwo materiału do rozmyślań, obserwacji i wyrażania siebie samego za pomocą słowa. Próbowałem też na różne sposoby wyrażać swe "ja", ale zawsze nie bez udziału owej /być może wymyślonej i wulnej/ prawdy i rzeczywistości, jaką uważałem za konieczną dla siebie - i niemal żadna z owych prób nie doczekała się realizacji. Tymczasem trzeba jakoś żyć.

Przywożłem tutaj wyraźne odczucie przewidywalności rzeczy, świadomości wszystkiego, co miało się stać, wresz z osobistą nutą

nieszadowolenia z siebie i zapiekłej irytacji. Przyszło powrócić znowu do wiekuiatych przekładów. Zimą spędziłem z pożytkiem przygotowując dla Goslitizdatu wybór Słowackiego, zaś dla Komitetu, da. Sztuki przetłumaczyłem Romea i Julię. Teraz jestem wolny. Żeby wrócić do Moskwy, trzeba mieć wezwanie rządowe. Udzielane są one niechętnie. Prosiłem przed miesiącem, żeby się o nie dla mnie wystarało.

Z pewnością minie jeszcze miesiąc, zanim je otrzymam. Pojadę wówczas do Moskwy z całym mnóstwem naturalnych uczuć, a przede wszystkim z ciekawością. Dopóki jednak jestem wolny, pilnie piszę, przepisuję i drę współczesny dramat prozą, który robię wyłącznie dla siebie, z czystej miłości do sztuki.

Coś mi wychodzi mi ten list do ciebie i czuję /a przeczuca takie nigdy nie kłamia/, że będziesz go czytać pełna chłodu i obcości. Wszyscy moi tutaj i w Taszkencie są zdrowi, ale, oczywiście, ledwie skóra i kości - schudli fenomenalnie. Dobrze przynajmniej, że chleba jest tu do syta, ale też to i wszystko. Starszy chłopak Ziny /z gruźlicą kości/ jest w sanatorium na Uralu, nie widziała go już dobry rok i wybiera się do niego. Lenia, któremu powiedziałem już dzisiaj, że dostałem kartkę od ciebie, pamięta cię z reszkorocznych opowieści. Ścisłam mocno ciebie i ciocię A-się. I cóż ty teraz zamierzasz począć?

Z nastaniem lata zaczęła się masowa, historyczna ucieczka z miasta. Wszyscy i wszędzie mówili wyłącznie o ewakuacji - nieznamym na ulicach i w tramwajach, w kolejkach po chleb i przydział. Wszyscy żyli tylko tą jedną sprawą. Wokół taszczone tłumoki. Ze zwykłym pośpiechem i bałaganem wyjeżdżały instytucje.

Zapisałam się do eszelonu Akademii Nauk i wzięłam za kolosalną pracę. Trzeba było przekopać całe mieszkanie po czterdziestu latach życia w tym domu, przekopać całe swe życie. Widok oszpeconego pokoju uspokoił mnie - łatwiej było mi teraz go porzucić.

Pośród walizek, tłumoków i kataklizmu odwiedzali mnie przyjaciele i znajomi, wszyscy rozgorączkowani, wszyscy jadący tym samym eszelonem. Była radość w tych spotkaniach, w stukaniu do drzwi, w głosach i uściskach ocalałych przyjaciół. Nie wszyscy pomarli!

Rodzice mojej uczennicy Czystiskowej, jadącej wraz z nami, zaoferowali samochód i pomoc przy transporcie na dworzec.

Tak więc, jechałyśmy. Wreszcie znalazło się wyjście! Życie zyskało sens. W pokojach potęgował się chaos. Rosły tłumok ze tłumokiem. Mama piekła bułeczki na drogę. Drwa, nafta, mąka: mój Boże, cóż to była za rozkosz marnować je i niszczyć, przestać raz wreszcie lękać się o nie!

Sasza musiał mi teraz oddać wszystko, co dlań przygotowała. Oto walizka dla niego, a w niej wszystkie drobiazgi, jakie przewidzieć mogła moja miłość i nadzieja, oto pocztówki i ołówek stremantowy, jakich teraz nie dostanie się za nic, ciepły puszysty sweter, ciepłe rajstwy, szalik, ciepła koszula, rękawiczki... Oto resztki konserw dla niego.

Pakuje to wszystko i pakuje. Mamy trzy walizki, koszyki i z dziesięć tłumoków.

Wreszcie - 12 lipca. Zbiera się na burzę. Grom. Ulewny deszcz. Dwa samochody. W ciężarowym - rzeczy. W osobowym - my. Mama znosi świetnie podróż autem. Ja jestem przynębiona.

Koszmar sadowienia się w pociągu trwał cztery godziny. Przekazywałyśmy się do wagonu typu podmiejskiego mającego jechać do jednej ze stacji w pobliżu jeziora Ładoga, gdzie powinien był przybyć po dwóch i pół godzinie jazdy; tam należało przesiąść się na ciężarówkę, żeby dojechać na statek.

Uwiadliwśmy. Było to coś niewyobrażalnego: wagon pękający w szwach od olbrzymich tłumoków, które wciąż się ześlizgują i spadają na głowy.

Wracamy! - powiedziałam mamie. - Dopóki nie jest za późno, dopóki powrót jest możliwy! Mama uśmiecha się spokojnie.

Wreszcie - pożegnanie. Około ósmej wieczorem pociąg ruszył. Wszystko zostaje w tyle. Odjechalismy.

Ujechalismy trochę, potem stanęliśmy, później pojechalismy wstecz, jechalimy dziesięć minut z powrotem - i stanęliśmy. Minęła godzina, druga, trzecia. Zrobiło się ciemno. Nie ruszalimy się z miejsca.

Mówili, że na jeziorze sztorm i nie można przejechać. Powiadali tajemniczo, że to nie sztorm. Ci, którzy znali prawdę, milczeli.

Łażono. Potracano się. Byłam chora. Zacinając zęby, wparłszy się dłońmi w siedziisko, przetrzymywałam atak kolki jelitowej. Wyłamywałam palce. Ani mówić, ani ruszyć się nie mogłam.

Minęła noc wśród ciągłych peregrynacji i milczącego zamętu. Siedziałam na ławce drzemając. Bolały kości. Doskwierało całe ciało. O nie, trzydziestu takich nocy nie zniosę! Nad ranem byłam połamana, zbita i przepuszczona przez wyżymaczkę. Mama drzemała i nosiła "podróż" dzielnie.

Później jeszcze cały dzień. Ani wody, ani herbaty, ani wrzątku. Żadnych widoków na odjazd. Deszcz przeplatał się ze słońcem. Pod wieczór pogoda zrobiła się bardziej ponura. Postanowiłam plunąć na całą tę nieludzką bzdurę, wrócić do domu i zdechnąć. Było w tym wszystko: świadomość barbarzyńskich warunków transportu i wola znalezienia się w łóżku za każdą cenę. Byłam chora, ale na tyle zdrowa, by podjąć decyzję pod pretekstem choroby. Nic już nie mogło mnie zatrzymać.

Oddałam resztę naszego chleba konduktorze, która zaczęła zrzucać nasze rzeczy na tor. Wiatr, deszcz. Siedzimy na szynach pod parasolami. Czekamy na samochód. Widać było, że pociąg stoi przy fabryce porcelany, niemał w mieście.

Wieczór, ale od rana, od wczoraj, nie dano żadnego jedzenia, ani herbaty, ani wrzątku. Zardroszczą nam, Patrzą na nas ze łzami zardrośności.

I wreszcie przyjeżdża Czistiaków. Osobiście tasczy z powrotem nasze walizy i ładuje na ciężarówkę.

Wróciłyśmy. Pośród wielkiego chaosu i nieładu, świece i porzucanych tłumoków porównuje rozłąkę i powrót.

Zacząły się starania o ponowny przydział kartek żywnościowych. Na drugi dzień po powrocie mama nagle zasnęła. Dostała ścieklej temperatury. Leżała, płonąć, bez pamięci, ja zaś byłam naderczco słaba. Chwała Bogu, że były to dwa dni: a gdyby tak nieszczęście?

Pociąg nasz stał ciągle w tym samym miejscu przez cztery doby. Potem odjechał.

Gdy tylko skończyła się swakuacja, dała się odczuć wewnętrzna



przemiana. Miasto zrobiło się wyludnione i niemal intymne - dla pozostających rozpoczął się proces ponownego urządzania sobie życia. Oczekiwałam nieustannie, gdzieś w głębi, wieści od Borii; skrywana nadzieja na pomoc i ratunek bezwładnie połączyła się w tym umyśle z imieniem brata i przyjaciela, który po prostu nie wiedział, że choć żywe, jesteśmy we władzy śmierci. Lecz kiedy przeczytałam jego list z Czystopola z opisem pejzażu, zrozumiałam swój błąd. Nit, nie ma skąd, nie ma od kogo czekać na ratunek! List mówił obiektywnie o ospałości duchowej i znudzeniu, o moralnym zakłopotaniu. Podobnie, jak w początkach rewolucji, w liście pojawiały się wiadra i wylierała zeń dusza wytarta jak stara moneta.

Leningrad, 7 sierpnia 1942

Otrzymano w Czystopolu 24 sierpnia 1942

Drogi Boria! Jakże jestem szczęśliwa, że cię wreszcie odnalazłam! Nie czyn już więcej takich przerw. Gdybyś tak odpowiedział od razu na mój telegram! A ja telegrafowałam, szukając cię, do Szury, ale odpowiedzi nie dostałam i od niego. Twój list przyszedł szybko, w dwa tygodnie. Piszesz, że wywoła on we mnie chłód i dystans, że ci się nie udał. Zrobiło mi się po nim smutno i pusto, ale nie z mojego powodu, lecz z twojego. Nie wszystko mogłeś i chciałeś napisać. Ale forma /nie bzdurna forma w sensie literackim/ tego, co wypowiedziane i tego, co tak łatwo przesilowane - przybliżyła mi cię niczym wewnętrznym teleskopem. Życie dla ciebie jest wtedy, kiedy nic ci nie trzeba, poza wyrażeniem siebie, a i to lepiej wsadzić w naftalinę do przazłego sezonu, bo ciężkie to i wzbudza lęk. Gdy są jeszcze siły wewnętrzne - lęk, że wkrótce zeschną się w zniechęceniu; gdy się milczy - lęk, że to już koniec. Ale nie, to głupstwo! Nie masz wcale pojęcia, jak żywotna jest dusza, jak trudna jest zagłada, węzełka zagłada - wcale nie łatwiej jest zginąć, niż się uratować; i w tym konieczny jest udział, uczestnictwo, więc zginąć, to swego rodzaju sukces. Silna, silna jest krew! A ty - jesteś krwiodawcą. Poletysz, wyczerpany, na leżankę i do wieczora odżyjesz. Ze mnie żaden przykład, skoro mowa o miłach, jakim obdarzono ciebie. Ale i dla mnie straszna była nie zagłada cielesna: zdawało się, że wyschnie dusza. Ale nie! Jedna kartka pełna prawdziwego artyzmu, dwie-trzy linijki autentycznej myśli twórczej i wszelki duch... tyjemy! I zaraz budzi się strach i próśny jak popiół odrażliwiająca pseudo-rzeczywistość: a czy jest ona złudzeniem czy też ożyje i utoczy się krwią - oto jest pytanie. Nieszczęściem moim, jednym z najgorszych, jest, rzecz jasna, optymizm, który mnie koniec końców zgubi: nie jest on z góry powziętą, teoretyczną ideą, ale zbyt intensywną afirmacją życia. Jednakże, nawet z pominięciem optymizmu, prawdą jest, że śmieje się ten, kto się śmieje ostatni - a bądź co bądź, nie jesteśmy jeszcze na śmietniku; niech więc będzie błogosławiony ów śnieżny całun, pod którym dojrzewa plon. Chaos: nie przypadkiem zaczynały odeń, nie wzięwszy się z powietrza, wszystkie toczące naszą walkę ze światem nardy. Jak się wydaje, zabieramy się za ten akt poczucia. I zobaczysz, urodzimy się - spójrz, ile wokół nowego, jak się rozprzestrzenia. Byle by tylko zachować duszę.

Bote, wcale nie to chciałam napisać. Każda linijka droga, a ja zabazgrałam już połowę listu.

Byłam rozczarowana, że nie zareagowałeś na wieść o oksfordczykach. Wylażakam przecież ze skóry, by wcisnąć ją w depeşę. Powinieneś wiedzieć, że na Nowy Rok wysłałam im pozdrowienia, na które momentalnie przysłała odpowiedź. Nagle w lutym zapytanie Lidki o was, pełne straszego lęku. I na nie właśnie /zroszum! / nie odpowiadałam trzy miesiące. Ach, cóż to były za trzy miesiące! Wybrałszy dzień, w którym nogi mogły mnie unieść, a jeszcze nie zaczęły się ostrzał z ciężkich dział, pokulałam na Pocztę Główną. Zakomunikowałam, co mogłam, że wszyscy jesteście zdrowi, tylko porozumieć się trudno i że ty jesteś /jak sądziłam/ w Taszkencie. Następnego dnia nadeszły podziękowania, błogosławieństwa i szczęścia...

Miasto nasze jest czyste, jak żadne jeszcze w historii. Jest absolutnie święte. Jest pasteryzowane. Ja zaś przechodzę wojenną próbę nie odrywając się od produkcji. Siedząc w swim pokoju potrzebuję odróżnić dwunastocalówki od osmiocalówek, wiem jak ustawić hamulce i gniazda cęksamów; nie powylę pocisków do zenitówki z granatami moździerzowymi, ani artylerii nadbrzeżnej z polową. Odróżniam pikowanie naszych bombowców od syczących jak żmije niemieckich i nie powylę już wrogię nalotu z rozpoznawczymi /niemieckimi/ samolotami. Mało tego: gdy gwiżdżą pociski i dom się chwiałe, poznaję po dźwięku wybuchów czy to nasz atak czy wroga. I tak jest z całą resztą - ale przywykliśmy już do frontu i zapomniałiśmy od dawna o tyłach. Zaczęłam się ich bać. Straszno byłoby mi stąd odjechać, niczym do jakichś straszdeł, rwetesu i ciąby. Oduczylismy się serdeczności i uśmiechów. Odwykliśmy od śmia i ludzi, od rynku i jadłospisów, od tego, co bywa planowane i co wymaga współpracy. Jeśli w dzielnicy jest woda i uliczny kran, wychodzimy więc i wycierać naczynia na róg takiej i takiej; czytamy Kotoszychina i Oleariusza pochyleni nad wyrwą w łonie jezdnii, szaflikami, czajnikami i saganami czerpiemy wodę - gwar, wrzaski, becuki na sianach, śliski lód, patra i gęsta kobieca ciąba w chustach i kołdrach; ale to marzec, luty. Latem swobodnie i lekko jest wyjść z miską mokrej bielizny i płukać ją na trotuarze. Karminy się dzikimi trawami i tym, co daje pastwisko; roznieśmy ogień i robimy ciepło grzejąc się pamiętnikami i podłogą. Proza okazuje się cieplejsza od wierszy, a na historii kipi czajnik, najlepszą zaś podłogą okazuje się parkiet. "Jutro" nie istnieje dla nas. Zapytałam, kiedy przyjdzie telegram. "Nie wiem, co stanie się z panią czy ze mną za 10 minut" - odrzekła telegrafistka. Wzrostko to nie jest, oczywista, życiem, lecz szeregiem surowych dni i rzeczy, kompłkacją futurystyczną, która w oczach filistrza zdaje się stertą walących się i krzyżujących absurdów do kwadratu tudzież Kwadrstowych absurdów; jest to nowa wersja przestrzemi oraz niebysławy aspekt czasu wraz z przyczynowością, jaka nie śniła mi się ni Heglowi, ni twemu pocziwemu, staremu warburczykowi.

Przy okazji coś, co zapomniałam ci rzec, jak długo listy nie tykały tematu śmierci. Otóż w literaturze światowej trwa konkurs opisów śmierci. Bardzo silni są Tolstoj i Maupassant: wyręcali na nice moją duszę. Jednakże potężny cios w serce, ostatnio, odczulałam nad "Listem Żelaznym", gdzie przedstawiasz śmierć Cohena. Jest to coś wstrząsająco celnego dzięki prostocie ukazania zera. Z ogromnym taktem i wnikliwością ograniczasz opis śmierci do te-

go, że pokazujesz puste lustro. Napełniasz Cohenem wszystko i kondensujesz Marburg niczym esencję, nie wspominając jednak, że kim jest on równoznaczny. I oto na samym koncu: a gdzie jest Cohen? Nie ma go. Umarł.

Nie potrafisz sacytować, lecz pamiętasz wrażenie. Szekspir uściłował dać w "Learze" tę zerową jakość, kiedy na zwierciadle brak oddechu Kordelii. Czyste zwierciadło przy ustach! Oto obraz ścierci. Artystyczny za sprawą metafory - a u ciebie nie ma nawet metafory, ukazane zaś jest owo "nic". Cohen nie jest po prostu wspomniany. Gdzie jest? Nie ma go. Nie pamiętam czy choćby wspominasz, że umarł. - Drogi mój, z jakąś chęcią i radością rozmawiam z tobą. W mieście pozostała tylko Liwzyc, jako lekarz; mieszka z mężem, na wpół pomylony - bardzo wielu jest takich i tłumaczy to prosta przyczynowa kantowska. Czyniłam wiele prób ucieczki przed więzami z dzieciństwa. A teraz z Liwzyc objawiło się wiele mądrości, prawdziwej i autentycznej. Bohstersko odwiedza nas co tydzień i są to wspaniałe dni. Jak powiedział niegdys Seadi, nie mam ja ni przyjaciela, ni bliskiego - Boria, Boria... Budowałam życie dla Sassy; gromadziłam niczym murarz cukier i konserwy, puszkę szalcu, waliski polarnego przyrodziwku, a nawet kartki i znaczki. Dlatego właśnie żyjemy i mogę wyśląć pocztówki i listy. Drugi rok obłączenia! Oto, dzięki czemu ocalałyśmy między grudniem a lutym. Później udręki skorbutu, moje krzyki i jęki z powodu nóg skurczonych w konwulsjach. Leżałam przez luty i marzec. Biedna mama! Wyobrażasz to sobie? Odmrozić sobie nogi i ręce w pokoju, w którym spaliłyśmy przy trzech stopniach mrozu, woda zaś zamieniała się w lód. Nerwy jej poszły w strzępy. Zauważała mnie. I nasz stan fizyczny! I jej starość! I te bóle ze współczucia. I ta jej niezłomna dusza, bez poprawki na życie, bez rabatu na człowieczeństwo!

Dopiero 12 lipca wreszcie wyjechałyśmy. Moja firma urządza w Saratowie. Czekały tam pokój w głównym hotelu, dobra własna stółka ze specjalnym przydziałem, praca, życie, pensja. Wyjechaliśmy zimą, w tęgie mrozy, kiedy ja leżałam. Wzywano mnie, oczekiwano, smuszano. Nie decydowałam się ze względu na mamę. A także dewastację. I świat książek! I pokój z lat dziecinnych! I wszystkie te irracjonalne rzeczy. Ale wreszcie wyjechałyśmy 12 lipca po wielkim - fizycznym i duchowym - pakowaniu manatków. Los nastąpił mi ważną personę od usbrojenia, która wyprawiła nas sutami z pomocą żołnierzy. A oto epilog. Załamalam się już na pierwszym etapie podróży. Mama trzymała się jak zuch i ocknęła się w niej światowa dusza. Wypadło przerwać podróż i sprowadzić mnie na powrót jako obiekt kuracji. Ten sam wojskowy odnalazł nas w szczerym polu /a ja marzyłam już o Czystopolu/ i odwiózł osobiście. Odpieczętowałyśmy drzwi... zwałyśmy sterty tłumoków... no i tak sobie żyjemy nie wiedząc, co dalej i co począć. Mama zaraz też padła z temperaturą koło czterdziestu, ale rychło odżyła, aczkolwiek powoli. Wydarzenia przewalały się. Wojskowy wyjechał. Do Saratowa daleko i niebezpiecznie. Zimować tu powtórnie - zguba. I tak siedzimy.

Nie lubię Rimskiego-Korsakowa. Jest nazbyt akademicki i zanadto muzycznie uładzony. Napisałabym do jego "Kitiety" nowe libretto. Zrobiłabym z niego miasto pasteryzowane, bez najmniejszego mikroorganizmu życia: nie byłoby tam ani ciężarnych kobiet, ani

dziecięcych głosów. Byłby to klosz, spod którego wypompowano powietrze - nie: czas. Jego przyszłość! A teraźniejszość? Wieczne oczekiwanie futurum pośród futurystycznego praesens.

I wobec tego ściskam ciebie i twoich. Całuję Zinę, Leniczkę i ciebie, najmilszego. Zakładaj, że jestem tutaj i pisz uwzględniający wszystko, tu. - Niczym palec między drzwi, trafiłszy w owe dni. Czy przeżyjemy? - Pracowałam, choć dorywczo, cały czas - pisałam gwoździ "czystej nauki". A jaką mam ochotę! Ale brak i siły i sił: wszystko spakowane.

Ściskam! Twoja Ola

Wielu miało halucynacje na temat jedzenia. Widzieli je, smakowali, myśleli o nim nieustannie i mówili też o nim. O, czyż nadszedł dzień, w którym skończy się ta tortura!

Głód zabijał nerwy, wolę i pamięć. Wszyscy byliśmy obłąkani, wzburzeni, wściekli; kobiety skomlały w sklepach, biły się nawzajem, szlochały i lamentowały, tarzały w hysterii; przepełnione tramwaje stanowiły straszliwe widowisko: ludzie tłamsili się wzajemnie, znieważali, wyli, wrzeszczeli, kaleczyli. Jednocześnie postępowało otepianie. Wielu nie potrafiło już zapłakać nawet w chwilach najboleśniejszych przeżyć. Wygasła pamięć.

Marzyłam o powitaniu Nowego Roku, a ściślej - o pożegnaniu starego. Przez cały miesiąc odmawiałam sobie wszystkiego, by zachować, uciułać to na Nowy Rok. W Nowy Rok nie nazbyt wierzyłam. Ale ślina straszny rok 1942 i świętowałam triumf życia. Zatem - przeżyliśmy go, przeżyliśmy - mama i ja. Wokół buszowała śmierć. Utraciliśmy drogich przyjaciół, spoglądałyśmy głodowi i śmierci w twarz. My, żywi, przeobrażaliśmy się duszą i ciałem. Wyczołgaliśmy się ostatnim wysiłkiem, już przysypani śmieciem i kamieniami, spod gruzów rozpadłego państwa. Ale wiara tliła się jeszcze.

Zrobiłyśmy porządki, mama i ja, zmieniłyśmy bieliznę. Ogrzewszy się i pojedłszy, poszłyśmy spać o ósmej. Była to dobra noc, świąteczna, cicha i ciepła. Noc bez nadziei, bez żalu i bez myśli.

I wreszcie styczeń rozpoczął swój atak. W wodociągu zamarła woda. Okropne było w styczniu wrozy chodzenie z wiadrami i dabanami do obcego domu, schodzenie do piwnicy, brodzenie w śliskim mroku wśród lodów i strumieni ciekącej dnem i nocą wprost na ziemię wody, a wreszcie ponowne wychodzenie na górę.

Mróz sięgał 28 stopni. Znowu to tnące zimno, skostniałe palce, lodowate pod stosem ubrań nogi i długie, męczące, ciemne poranki z oczekiwaniem na świt.

Byłyśmy u kresu. Patos mamięgo strachu, głodu i zamarzania był czymś potwornym. Podwójne męczarnie, za nią i za siebie!

- Sama tego chciałaś - mawiała zjadliwie mama. Od stycznia znnowy się naloty, obstrzały zaś trwały ciągle. Odbywało się to teraz na przemian. W gazetach nie informowano ani o nalotach, ani o głodzie, ani o dżungli życia codziennego, ani o obstrzałach. Zabrakło było pisanie o tym w listach i wspomnianie w rozmowach.

Człowiek podlegał przemocy, śmierci, wszystkim okropnościom wyniszczenia głodowego i walki z siłami przyrody i wszelkim niedostatkiem egzystencji porzuconej, lecz eksploatowanej przez państwo.

Tadeusz Nowak

## SIÓDMY PACIERZ AZJATYCKI

---

W tym czołgu anioł mieszka  
a w tamtym mieszka bóg  
Mówi anioł do boga  
twój orzeł moja reszka  
Za orłem i za reszką  
płonie w kopalni Wujek  
zimowy głóg

Podejść do głogu chłopcze  
ścięty salwą na pół  
Bóg pragnie z tobą mówić  
Anioła usta obce  
sypią na twoje nogi  
na głowę twoją sypią  
pacierza siny muł

Bóg z tobą mówić pragnie  
przez węgiel i przez muł  
Bóg ci przyniósł z Jastrzębia  
anioł przyniósł z Wybrzeża  
tablice dwie - trupiegi  
żebyś je przed odejściem  
na bosa stopy wzuł

1982 r.

# PIERWSZY PACIERZ DIABELSKI - BIAŁOMORSKI

Polarna mewa foka lis  
i wychodzący z zorzy ren  
Gaszono wapno - Białe Morze  
i w mech wmarznięty sen nasz Sen

Kołczasty drut rzemień sznurek  
ręce związane ręce ręce  
W ustach obrazek Ostrobramskiej  
pięciogroszówki orlik - obol  
i już nic więcej Już nic więcej

Obok pływają w oseełdcach  
w butach bez ostróg powiązani  
sławni wołojcy Ukrainy  
Matko Najświętsza Począjowa  
w rękach do kości zaciśniętych  
Foka nurkując między nimi  
sotnia za sotnią ich prowadzi  
na odpust inny inny inny

A między nimi bolszewicy  
gwiazda do czoła gwoździem wbita  
legitymacja w zębach szuta  
i na orderse słońce - Stalin  
Płyną trójkami do ataku  
pędzi taczanka po lodowcu  
i maxim w zorzy malinowej  
na chleb polarny kosi żyta

Polarna mewa foka lis  
i wychodzący z zorzy ren  
Gaszono wapno - Białe Morze  
i w mech wmarznięty sen nasz Sen

A karłowata brzośka - oddech  
siemi gdzie utajone usta  
wieczną zmarzlinę jedzą sennie -  
listek po listku w morze zrzuca  
A oni płyną powiązani:  
krs lodowcowa mgła wapienie

# JEDENASTY PACIERZ DIABELSKI - IMPERIALNY

Imperium jest chore Sinieją  
po lssach czerwone rakiety  
i czołgi się topią na wosk  
i zamiast bylinnych molojców  
po domach chleb rodzą kobiety

Imperium jest chore Z lotniska  
skrzydlate startują ikony  
i zamiast granatów dziadkowie  
gotują w szynelach tysięczne  
ziemniaków spieszonych szwadrony

Imperium jest chore I z łagrów  
wychodzą z harmonią ludkowie  
i uche gotują nad Wołgą  
i z pszenic kubańskich do syta  
ustami wymiona są krowie

Imperium jest chore Na budach  
psy czują gorącki tej zapach  
i zorza polarna odmarza  
i niedźwiedź ubrany w jej szubę  
jak człowiek podchodzi na łapach

i rybę nam niesie wyjętą  
z podobnej do dzwona głębiny  
i jemy z niej wszyscy I tylko  
ościami się dźwi nasz pradziad  
i synek truchleje nam siny

1983 r.

A.N.Klonow

## UCZONE BYDŁO

Tytuł tej rozprawki charakteryzuje sytuację uczonego w Związku Radzieckim. Nie chciałem obrzucić nim w s z y s t k i e h ludzi, którzy w naszym kraju zajmują się nauką, lecz czyniąc znadomość wymogom socjologii starałem się dokładnie opisać warunki życia i orientację psychiczną najbardziej rozpowszechnionego typu radzieckich uczonych. Jak się okaże dalej, wybrany przeze mnie termin posiada również poważne uzasadnienie biologiczne.

Nie będę zajmować się tutaj wszystkimi rodzajami działalności, jaką nasze władze uważają za "naukową". Według radzieckich danych oficjalnych liczba wszystkich "pracowników nauki" osiąga wiele setek tysięcy i zgodnie z ogólną tendencją, żeby każdy sukces był wymierny w liczbach, mówi się o tym jako o dużym osiągnięciu. Jednak przytkacząc większość ludzi zaliczanych do tej kategorii z nauką ma niewiele wspólnego.

Wiemal wszyscy pracownicy naszych instytutów stosowanych zajmują się działalnością, która na Zachodzie prowadzona jest przez laboratoria przykładowe i która polega na rutynowym badaniu materiałów i wypróbowaniu prototypów. Dla pieniędzy i prestiżu sprawiają sobie oni tytuły naukowe, które w naszym kraju wcale nie są świadectwem zdolności do myślenia naukowego. Pomną więc tu całą tę armię bezideowych wykonawców, którzy rejestrują lub wypaczają fakty zgodnie z zaleceniami władzy. Nie różnią się oni od innych radzieckich urzędników niczym oprócz, być może, pewnych pretensji do bycia inteligentami.

Nie będę też wspominał o wykładowcach szkół wyższych, gdyż dla nich praca naukowa jest, z reguły, jedynie obowiązkowa fikcją, o której przypominają sobie dopiero przygotowując coroczne sprawozdania. Ci "pracownicy frontu ideologicznego" są dobiarani i oceniani według kryteriów, które z nauką nie mają nic wspólnego. Wyjątek stanowi część wykładowców Uniwersytetu Moskiewskiego i Leningradzkiego, gdzie jeszcze tlą się ostatnie iskielki pasji naukowej. Ludzie ci są w takiej samej, a może gorszej, sytuacji jak pracownicy instytutów naukowo-badawczych, tzw. NII<sup>x</sup>.

A.N. Klonow: Pseudonim autora mieszkającego w Związku Radzieckim.

<sup>x</sup> Науčno-исследовательский институт - przyp. red.



Nie będą również poruszać sytuacji ludzi, którzy uprawiają humanistykę. W tej dziedzinie w naszym kraju autentyczna nauka jest właściwie zakazana. Każdy kierunek filozoficzny, każdy fakt z historii posiada jedynie obowiązującą interpretację, tak że cała humanistyka została przekształcona w coś na kształt tradycji teologicznej bez Boga. Oczywiście i my nasi ludzie poważnie zainteresowanych historią, filologią czy filozofią, oni jednak pracują jako lozowcy, pałace i stróże nocni lub zarabiają na życie pracą sezonową w brygadach "Sabarnikow". Obecna "głasność" zupełnie nie wpłynęła na opisaną wyżej sytuację, oznacza jedynie, że ci sami ludzie muszą wysilić się na trochę inne gadanie. Połotnie naszyca uczonych - "humanistów" również odkładam do bardziej szczegółowej analizy.

W tym szkicu będę mówił jedynie o uczonych uprawiających nauki ścisłe, techniczne i przyrodnicze. Jeśli mianem uczonego nazywam tych, którzy prowadzą samodzielne badania na poziomie porównywalnym z kryteriami publikacji w poważnych wydawnictwach zachodnich, to ich liczba w ZSRR wyniesie kilka tysięcy. Są oni zatrudnieni przede wszystkim w instytutach Akademii Nauk i częściowo w instytutach resortowych podporządkowanych ministerstwom.

Dalej opisywana będzie sytuacja tych właśnie uczonych, tak jak wyglądała ona pod koniec tzw. "okresu застоju" i jak wyglądała po dalszym, gdyż "pieriestrojka" i "głasność" nie miały żadnego, słabianego wpływu na warunki pracy uczonego. Wręcz przeciwnie, szlana procedura "atestacji" uczonych ułtwiła administracji rozprawienie się z ludźmi niewygodnymi, a wprowadzenie "rachunku gospodarczego" przyspieszyło rozpad dotychczasowych struktur.

x x x

Głównym czynnikiem determinującym położenie społeczne i orientację psychiczną uczonego radzieckiego jest z a l e t a n o s ć. I chociaż pod tym względem nie różni się on od ogółu obywateli radzieckich, zależność uczonego związana z ograniczaniem i niszczeniem jego twórczości przybiera szczególne formy, które zasługują na odrębne przebadanie. Można sądzić, że wpływ tej zależności społecznej na psychikę uczonych jest głębszy niż w przypadku dowolnej innej grupy społeczeństwa radzieckiego, może z wyjątkiem ludzi literatury i sztuki.

W Rosji nigdy nie było swobody akademickiej w zachodnim rozumieniu tego pojęcia, niemniej jednak na uniwersytetach i w Akademii Nauk istniały pewne elementy autonomii przejęte z Europy wraz z tymi instytucjami. Wszystko to już dawno zostało zniszczone. Biurokracja opanowała u nas naukę i oświatę przekształcając je w coś, co jest zupełnie niepodobne do europejskich pierwowzorów.

Kariera uczonego zaczyna się na ławie szkolnej, gdzie uczy się go specyficznych form uległości. Nauczyciele szkolni, będący już trzecim pokoleniem wychowywanych w tej uległości, nie rozwijają żadnej wiedzy i elastyczności umysłu. Sami na ogół nie są zdolni do żadnej samodzielności, boją się niestereotypowych pytań i trudnych zadań i dlatego ograniczają się do powtarzania podręcznika. W zdolniejszych uczniach nie zawsze zabija to pasję naukową, przyucza jednak do ukrywania myśli; nie wiadomo bowiem, jaki pogląd zyska aprobatę. Wstępując na wyższą uczelnię słodki ludzkie widzą

niejawne kryteria doboru: dyskryminację rasową, która preferuje "rdzenną narodowość" i zwraca się zwłaszcza przeciw Żydom, wpływ "opinii komсомolskich" i tzw. "zasług społecznych", protegowanie dzieci uprzywilejowanych rodziców, dochodzące do fałszowania wyników egzaminów i wreszcie jawne łapownictwo, to jest przyjmowanie na uczelnie za pieniądze lub usługi. Przebywając na uczelni student uczy się wybierać kierunki "z perspektywami" oraz wpływowych wykładowców, od których zależy czy pozostanie w aspiranturze albo otrzyma skierowanie do pracy w prestiżowej instytucji. Wierność własnym zainteresowaniom naukowym, brak umiejętności przystosowania się do uznawanych poglądów, upór w obronie swoich przekonań nieuchronnie prowadzi do skreślenia z listy studentów albo do skierowania na głuchą prowincję.

Skierowanie do pracy związane jest z tymi samymi rodzajami dyskryminacji, co i przyjęcie na uczelnię. W ten sposób każdy pracownik KII przechodzi przez podwójne sito biurokratycznej selekcji nie mającej nic wspólnego z selekcją kryteriów naukowych. Nic w tym dziwnego: instytucje naukowe zainteresowane wynikami naukowymi stanowią w Związku Radzieckim wyjątek, ponieważ działalność biurokratyczna opiera się głównie na fikcji. Jednak wyjątkowo, zwłaszcza w badaniach prowadzonych dla potrzeb wojska, ludzie zdolni mogą liczyć na pełną wyrozumiałość i bywa, że są popierani przez wpływowe osobistości. Można to określić za pomocą słowa z żargonu więziennego: "biał".

Jak widać, osobowość uczonego jest od samego początku jego kariery poddawana frustracji prowadzącej do oportunistyki i pokory. A "męskie" cechy charakteru - odwaga, nieustępliwość, inicjatywa i zdolności przywódcze są eliminowane i wyściszane. Skutki takiej tresury są jeszcze gorsze niż działanie kossarowej muzyki, gdyż w karierze wojskowego pokora wobec zwierzchników przeplata się z doszaloną agresją wobec podwładnych. A młody uczonego dopiero w późniejszym wieku może zostać czynnie przełożonym i w tej sytuacji nie ma na kim wyładować swojej agresji. Na dodatek utalentowani uczeni rzadko dążą do administrowania i wobec tego ich agresja przez całe życie jest tłumiona nie znajdując ujęcia ani w sferze zawodowej, ani - tym bardziej - w sferze społecznej. Pozostaje sublimowanie jej w pracy naukowej, lecz i tu czeka ich frustracja, przede wszystkim z powodu usankcjonowanej kradzieży wyników pracy naukowej.

Uczeni innych krajów rzadko zdają sobie sprawę z tego, że wyniki badań naukowych uczonych radzieckich często stanowią plagiat. Praca opublikowana pod nazwiskiem "wybitnego" uczonego, szczególnie jeśli piastuje on funkcję dyrektora instytutu, kierownika działu laboratorium - w większości przypadków - należy do któregoś z jego podwładnych. Jeśli praca została opublikowana jako "wspólna", to zazwyczaj "wybitny" uczonego, którego nazwisko otrzymują listę autorów, w najlepszym przypadku zna treść artykułu, a prawdziwymi autorami są pozostali. Często jednak taka "wspólna" praca stanowi dzieło jednego tylko ze "współautorów", a "dopisanie" pozostałych nazwisk jest rodzajem opłaty za protekcję. Młodzi uczeni uważają taką praktykę za coś, co się rozumie samo przez się i podporządkowują się jej tak samo bez słowa, jak początkująco aktorzy filmowi podporządkowują się zachciankom swojego bossa. Ten zwyczaj ze względu na swoje moralne następstwa jest gor-

a z y od prostytutki, tak jak w ogóle deprawacja moralna jest gorsza od fizycznej.

"Główny współautor" powinien przyswoić sobie, o tyle o ile, treść pracy, żeby móc o nią mówić na posiedzeniach, podczas spotkań z cudzoziemcami itp. W szczególności dotyczy to prac eksperymentalnych, kiedy przyswaja on sobie koncepcję eksperymentu, która oczywiście należy do innego współautora, a czasem została ukredytowana człowiekowi w ogóle w artykule nie wymienionemu. Prawdziwy autor pracy sam nie jest w stanie "wymalować" niezbędnych środków, a zwłaszcza aparatury, dzieli się więc pomysłem z zamiar za pomocą administracyjną. I właśnie do tego prawdziwego autora zwykło się odsyłać partnerów, gdy chodzi o szczegóły; w ogóle menedżerowie od nauki tym chętniej uchylają się od dyskusji nad szczegółami, im wyżej stoją w akademickiej hierarchii.

Opisywana praktyka dotyczy prawie wszystkich prac o charakterze stosowanym, a także znacznej części prac eksperymentalnych i nawet wielu teoretycznych. "Prawo plagiata" stosuje się zwłaszcza przy rozmaitych nagrodach, które przydzielane są według kolejności nazwisk. W zasadzie każda nagroda przyznawana jest całemu "zespółowi" kierowanemu przez dyrektora instytutu, kierownika wydziału itp., przy czym prawdziwy autor odkrycia naukowego /jeśli w ogóle jest to jakieś odkrycie/ może znajdować się w spisie nazwisk - lub nie.

Tak więc pierwszym faktem, który młody uczynek napotyka w swoim III, jest "przymus współzycia" ze swoim zwierzchnikiem. Jeszcze nie tak dawno tego typu praktyka była odbierana jako upokorząca i spotykała się z pewnym oporem, ale w ciągu ostatnich dwudziestu lat, w epoce "zastoju", stała się regułą. Oczywiście analogiczne zjawiska można spotkać również w krajach cywilizowanych, tam jednak nie mogą one stać się regułą, gdyż młodzi ludzie mają wybór, a zawołanie kierownika naukowego ogranicza strach przed skandalem, czyli przed opinią publiczną. Natomiast w ZSRR młody uczynek, który sprzeciwił się swojemu zwierzchnikowi, jest zwalniany z "opinią", która w praktyce zamyka przed nim drogę do pracy zawodowej, a jego koledzy, w trosce o własną karierę, nie zdobędą się na nic więcej niż prywatne rozmowy. Ogólna tchóralność środowiska daje gwarancję bezpieczeństwa łobuzom. Być może to właśnie jest najważniejszy efekt "represji" stalinowskich.

Innym faktem, z którym młody uczynek zetknie się w swoim III, jest n a r z u c a n i e t e n a t u b a d a n i a. Powinien on zrezygnować z własnych zainteresowań naukowych /choć mogły się one w nim ukształtować jeszcze w latach studenckich/ i po prostu włączyć się w nurt prac prowadzonych w "swoim" laboratorium. Jeśli młody człowiek ma możliwość wyboru, taki warunek wydaje się naturalny: nie powinien szczytnać pracy w instytucji, gdzie prowadzi się badania, które go nie interesują i nie można oczekiwać, aby laboratorium przystosowało się do jego upodobań. W takim sensie podjęcie pracy jest dobrowolnie przyjętym przez niego zobowiązaniem. Lecz w przypadku młodego radzieckiego uczonego wybór pracy rzadko bywa dobrowolny; po ukończeniu uczelni najczęściej jest przymusowo "przydzielany" do określonych instytucji i nie może uniknąć takiego skierowania pod groźbą sądu. Oczywiście w wielu wypadkach student, który dobrze wybrał sobie opiekuna roz-

prawy dyplomowej, ma możliwość kontynuowania pracy w instytucji naukowej, w której jego opiekun posiada dostateczne wpływy. Bardzo często owe wpływy okazują się czynnikiem decydującym przy wyborze specjalizacji na trzecim roku, toteż młodzi ludzie zaczynają od tego, że rezygnują ze swoich zainteresowań naukowych na rzecz potrzeb bytowych.

X X X

Tak więc początkujący uczoney wprzega się do cudzego wozu i ciągnie go przez wiele lat, niekiedy przez całe swoje naukowe życie. W instytucie zastaje określony układ sił i sztywną politykę kadrową. By się utrzymać i ustawić w tym systemie, musi on wiedzieć kto jest mocny i nauczyć się dogadywać z tymi ludźmi. Na pierwszy rzut oka wszystkie te okoliczności spotykamy również w krajach cywilizowanych. Tam jednak, przede wszystkim, ludzie dobrze ustawieni w instytucie bardzo często bywają również dobrymi uczonymi, u nas natomiast - prawie nigdy; czyli kto nie żyje dobrze z biurokratami "swojego" instytutu, ten zazwyczaj zamyka sobie drogę do kariery.

Istnieje okoliczność umykająca z pola widzenia cudzoziemców i z całą pewnością nie brana pod uwagę przy porównywaniu naszych i zachodnich uczonych: uzależnienie od kwaterunku. Po kilku latach pracy w NII młody uczoney może mieć nadzieję, że otrzyma od swojego instytutu mieszkanie /lub pokój w mieszkaniu "komunalnym"/<sup>x</sup>. Przydział "powierzchni mieszkalnej" zależy od widzimisię administracji, ponieważ "związki zawodowe" i "opinia kolektywu" są fikcją. Człowieka, który nie jest całkiem wygodny dla rządzącej w instytucie kliki lub po prostu niezbyt interesuje ludzi wpływowych, można pozostawić bez mieszkania dowolnie długo; "uzyskiwane" przez instytut mieszkania za każdym razem dostają inni. Przez cały ten czas młody uczoney musi gnieździć się przy rodzicach albo wynajmować pokój, a na to nie wystarcza pensji, więc poszukiwania chałtur zbijają jego zainteresowania naukowe. Na wynajęcie osobnego mieszkania w ogóle nie może sobie pozwolić, okazje takie trafiają się rzadko, a ceny są niewspółmierne do jego możliwości finansowych.

Przydział mieszkania kwaterekowego oznacza możliwość założenia rodziny. Formalnie obywatel radziecki nie potrzebuje zezwolenia na założenie rodziny, w praktyce jednak żona musi otrzymać zgodę na zamieszkanie w jednym lokalu z mężem lub męż - z żoną; takie zezwolenie nazywa się "meldunkiem", a upokarzający sens tego terminu trudno byłoby oddać w tłumaczeniu na języki światowe.

Na Zachodzie mieszkania mogą być drogie, ale jeśli człowiek ma stałą pracę zawsze może sobie pozwolić na wynajęcie. U nas natomiast człowiek przywiązany jest do mieszkania kwaterekowego jak pies do swojej budy. Obietnica przydziału mieszkania lub zmiany go na lepsze jest niezawodnym środkiem utrzymania człowieka w posłuszeństwie. Przy zwolnieniu z pracy mieszkanie często /ale nie zawsze! / pozostaje przy najemcy, jednak przejście do innej pracy jest bardzo skomplikowane. O tym jeszcze będziemy mówić.

<sup>x</sup> często spotykana w ZSRR kategoria mieszkań ze wspólną dla wielu rodzin kuchnią, łazienką i wc - przyp. red.

Awans zawodowy i pensja zależą od uznania dyrekcji. Jak w każdym systemie biurokratycznym awansuje zazwyczaj nie ten, kto sam potrafi coś robić, lecz ten kto potrafi "organizować pracę", czyli pokierować wysiłkiem innych. Widzieliśmy już, co to oznacza w kontekście publikacji naukowych. Ostatnimi laty nikomu już nawet nie przychodzi do głowy, że osoba kierująca jakąkolwiek jednostką naukową - działem czy laboratoriami - może być autorytetem w odpowiedniej dziedzinie. Zastanawiają się z kim taki człowiek jest związany, kto za nim stoi, jak długo może się utrzymać, jeśli utrzyma się NN. W ten sposób nasz system naukowy pozbywa się przetrzyków średniowiecznej "wszechnicy nauk i sztuk" i sблиża do współczesnego ideału czystej biurokracji.

Kariera uczonego oparta jest na jego stopniu naukowym, od którego do niedawna jeszcze bezpośrednio zależała pensja. Reformy "pieriestrojki" osłabiły tę więź, tak że obecnie człowiekowi niewygodnemu można długo nie podnosić pensji również po "obronie". Istnieją dwa stopnie naukowe - kandydat nauk i doktor nauk, pierwszy z nich mniej więcej odpowiada stopniowi doktora na Zachodzie, drugi miał początkowo oznaczać szczególnie wysokie kwalifikacje, ale w ciągu ostatnich dwudziestu lat bardzo się zdevalutował. Obecnie kandydatów nauk namnożyło się tylu, że tytuł ten całkowicie pozbawiony został prestiżu, a i doktorów jest co nie miara. W ostatnich latach stopień naukowy świadczy jedynie o p o w i ą z a n i a c h dysertanta, w szczególności o jego pozycji we własnym NII. Można nie mieć żadnych osiągnięć naukowych i otrzymać stopień za żalonną kompilację upichconą cudzymi rękami - takie są niemal wszystkie dysertacje na Zakaukaziu, w Azji Środkowej, na Ukrainie, a także wiele w Rosji. I można również nieć wspaniałe osiągnięcia bez żadnych szans na stopień naukowy. Szczególna trudności z otrzymaniem stopnia naukowego mają Żydzi, a już zupełnie niemożliwe jest uzyskanie stopnia przez ludzi niezależnych lub ludzi o odmiennych poglądach politycznych. A tak w ogóle, "problem żydowski" zajmuje w życiu naszych NII istotne miejsce, ponieważ mimo wielu wysiłków naszej polityki kadrowej Żydzi wciąż jeszcze stanowią większy procent populacji uczonych niż całej populacji kraju. Jest to efekt antysemitkiej polityki rządu carskiego, który zabraniał Żydom mieszkać poza specjalną strefą na południowym-zachodzie imperium, robił jednak wyjątek dla osób z wyższym wykształceniem. W ten sposób rząd carski pośrednio przyczynił się do wykształcenia Żydów, a rząd radziecki bezpośrednio temu przeciwdziała.

Radziecki uczone ma kłopoty ze zmianą miejsca pracy. Aby zmiana taka była możliwa, przede wszystkim jego mieszkanie nie może należeć do kategorii "służbowych", gdyż w tym przypadku zostanie wyrzucony na ulicę od razu po zwolnieniu się. Jeśli mieszkanie pozostanie przy nim, jak to się dzieje najczęściej, trzeba aby jego nowe miejsce pracy znajdowało się w tym samym mieście i stosunkowo niedaleko, gdyż inaczej będzie musiał poddać się ciężkiej i długotrwałej procedurze zamiany mieszkania, a i na to nie zawsze mu pozwolą.

Odchodząc z pracy człowiek otrzymuje tzw. "opinię", która zawiera nie tylko sformułowaną przez zwierzchników ocenę jego pracy zawodowej, lecz także obligatoryjne formuły potwierdzające jego

lojalność polityczną - co w naszych czasach oznacza po prostu dobre sprawowanie. Najważniejsza jest pełna symbolicznej wymowy formuła "pewny moralnie". Brak tej formuły lub adnotacja o "nie-dociągnięciach w pracy społecznej" stanowią specjalny sygnał dla innych instytucji, aby petenta nie zatrudniać. Teoretycznie dyrektor ma prawo go przyjąć, ale zazwyczaj przeczytawszy obowiązkową "opinię" i zauważywszy w niej "sygnał" dzwoni do poprzedniego miejsca pracy i wyjaśnia, co w rzeczywistości inkryminuje się temu człowiekowi. W wyniku tej tajnej dyplomacji nie dostaje się pracy pod byle pretekstem.

Po to, by otrzymać "opinię" zainteresowany musi zamówić jej projekt u kierownika pracowni, a następnie znieść go do organizacji partyjnej /nawet jeśli nie jest członkiem partii/, do związków zawodowych /nawet jeśli nie jest ich członkiem/ i zdobyć podpisy odpowiednich urzędników; po tym wszystkim musi przedłożyć dokument do podpisu dyrektorowi. Cała ta procedura jest niezwykle upokarzająca, ponieważ każda z tych instancji może samowolnie zmienić tekst już będący wyrazem widzimisię kierownika pracowni. Często się zdarza, że do danej osoby nikt nie ma zastrzeżeń, ale jej zamiar odejścia irytuje zwierzchników; i wtedy wysyłają w ślad za nim złą "opinię" po to, aby człowieka "ukarać". Zła "opinia" jest tym samym, co kiedyś "wilczy bilet". Zaskarżenie "opinii" jest praktycznie niemożliwe.

X X X

Opisana tu "polityka kadrowa" uformowała się nie od razu. Działy w niej dwa kryteria selekcji. W ciągu pierwszych dziesięcioleci władzy radzieckiej do nauki nie były dopuszczane jednostki wywodzące się z "burżuazji", a także z inteligencji. Aby dostać się na wyższą uczelnię należało odpokutować za grzech "pochodzenia społecznego": przepracować kilka lat w fabryce i zarobić na pozytywną opinię zakładowej komórki partyjnej. Wielu pokonywało tę barierę ucząc się znosić upokorzenia. Szczególnie ciężko było dzieciom osób, które w przedrewolucyjnej Rosji zajmowały wysoką pozycję w hierarchii społecznej; później ludzie ci zostali niemal całkowicie wymordowani. Z czasem kontrola "pochodzenia społecznego" przekształciła się w sprawdzian lojalności wobec zwierzchników. Po wojnie nie było już takie ważne to, czyj ojciec był "kułakiem" /czyli zamożnym chłopem/ lub "popem" /czyli duchownym/. Na pierwszy plan wysunęły się "opinie" wydawane przez instytucje lub "organizacje społeczne", czyli listy pochwalne za dobre sprawowanie.

Tak więc pierwsze kryterium selekcji - przekształcone za naszych czasów w dobór ze względu na uległość - odsiewa osoby niezależne, a ponieważ zazwyczaj talent idzie w parze z niezależnością, kadry naukowe wywodzą się przede wszystkim z ludzi przeciętnych.

Drugie kryterium selekcji, wprowadzone przez Stalina w czasie wojny z Niemcami hitlerowskimi, to dyskryminacja rasowa zgodna z nową, szowinistyczną orientacją dyktatora, która zastąpiła "proletariacki internacjonalizm" wyępionych bolszewików. Dyskryminacji podlegali, obok niektórych narodowości Krymu i Kaukazu, Żydzi i Niemcy, czyli te dwie narodowości, które wniosły ogromny wkład do rosyjskiej kultury. W odróżnieniu od jawnej polityki Hitlera

stalinowska dyskryminacja zawsze była niepisaną praktyką biurokratyczną; realizowano ją przez fałszowanie egzaminów i manipulację kadrowe. Pojedynczy przedstawiciele dyskryminowanych narodowości są zatrudnieni w instytucjach naukowych, a nawet otrzymują tytuły akademików i służą /w pełni świadomie/ wprowadzaniu w błąd cudzoziemców.

Cozyście jest, że również i to kryterium selekcji nie sprzyja efektywności pracy naukowej. Praktyka krajów cywilizowanych polega na tym, że każdy utalentowany człowiek, niezależnie od pochodzenia, jest wykorzystywany zgodnie ze swą specjalnością. Pojawia się więc pytanie, jaką korzyść ma reżim radziecki z tych dwóch kryteriów doboru kadr. Ale tak postawione pytanie jest niewłaściwe. Dlatego, że system biurokratyczny, nominalnie stworzony do produkcji czegoś - wszystko jedno towarów czy nauki - wcale nie jest napędzany wymogami efektywności produkcji. System biurokratyczny rozwija się według własnych praw wewnętrznych, tak jak żywy organizm lub lepiej jeszcze - jak złośliwy nowotwór. Szablon, który raz powstał podczas takiego rozwoju, może utrzymywać się dowolnie długo, niezauważalnie zmieniając się pod wpływem okoliczności. System został ujarzmiony przez własną historię. C-pisaliśmy wyżej, jak powstały oba kryteria selekcji kadrowej; do tego zasadniczo sprowadza się ich wyjaśnienie. A umrą one, jak się wydaje, wraz z systemem.

X X X

Jak widzieliśmy, główną rolę w kierowaniu instytutem odgrywa dyrektor i trzeba by wyjaśnić kim są dyrektorzy. Przed rewolucją Akademia Nauk nie była podzielona na instytuty. Podobnie jak inne akademie stanowiła społeczność uczonych korzystającą, co prawda, z opieki państwa, lecz swobodnie wybierającą swoich członków. Akademicy najczęściej byli profesorami uniwersytetów lub innych instytucji naukowych. Instytuty powstały w latach trzydziestych, a na ich czele stali zazwyczaj akademicy najbardziej kompetentni w danych dziedzinach. Wtedy tytuł akademika, mimo całej przypadkowości wyboru, zależał jednak od dorobku naukowego. Kiedy akademia ze społeczności uczonych przekształcona została w biurokratyczną instytucję, stopniowo ustanowiono porządek odwrotny: choć, jak dawniej, wymagane jest, by dyrektorem był akademik, najpierw mianuje się wygodnego dla władz człowieka dyrektorem instytutu, a potem jest on wybierany na akademika. A w ogóle wybiera się tego, kogo każą wybrać. Nie zaryka to jednak pola różnym intrygom, tak że akademicy mają zapewnione ciekawe zajęcia. Obyczaje obecnej Akademii opisał w opublikowanych pośmiertnie notatkach wybitny astrofizyk Szklowski - członek wielu zagranicznych akademii nauk, który wielokrotnie przepadał w głosowaniu do naszej. Publikacja tych bulwersujących notatek stała się możliwa dzięki obecnej "głasności", pozwoliła pewnej grupie akademików na publiczne rozliczenie się z inną.

Upadek Akademii dokonał się w momencie, kiedy polecono wybrać na jej prezesa niejakiego Marczuka. Gurij Iwanowicz Marczuk otrzymał w kręgach uczonych moskiewskich niechlubne przezwisko "Durij Iwanowicz". Cudzoziemcom wyjaśniam, że zamiana jednej litery upodabnia imię Marczuka do rosyjskiego słowa "durek", które oznacza człowieka głupiego, niezaradnego życiowo. Przewisko to jest

krawędzące, gdyż akurat pod tym względem Marczukowi nic nie brakuje. Wzdragam się cytować ten mało wybredny żart, ale - jak to się mówi - "słów z pieśni nie wyrzucisz". A przy okazji czytelnik rozpoznaje się z folklorem tworzonym przez opisywane tu środowisko. Wszyscy przesiadki przed Marczukiem mieli coś wspólnego z nauką i śledzą z nim nie nosił przewisła. Marczuk jest pierwszym uczonym, który a n i t r o c h ę nie był uczonym. Nie pozbawiony tymczasem zdolności, zrozumiał on, że sążownie się nauką to pośrednią i niepewną drogą do godności akademickich i wybrał drogę prostszą - sążownie się zwierzchnikami. W ten sposób zoptymalizował swoją karierę wykluczając z niej to wszystko, co nie należało do rzeczy.

O doskonałość jednak nie jest łatwo w żadnej dziedzinie, więc - póki co - nie wszyscy akademicy wyspecjalizowali się w zwierzchnikoznawstwie. Ciągłe jeszcze są wśród nich powolni uczeni, ale ci wymierają, a na ich miejsce przychodzą akademizowani dyrektorzy. Być może z czasem Akademia stałaby się jeszcze jedną ilustracją prawa Parkinsona - instytucją zamkniętą w sobie i zajętą wyłącznie rozwiązywaniem swoich własnych problemów. Na przeszkodzie stoi jednak uparcie istniejąca poza nami rzeczywistość obiektywna - świat zewnętrzny.

x x x

Przede wszystkim ze względu na świat zewnętrzny utrzymujemy pewien potencjał militarny, a do tego, mimo wszystko, potrzebni są uczeni. W dalszej części wrócimy jeszcze do tej głównej przyczyny przetrwania nauki w naszym kraju. Jednak, oprócz tego, prestiż naszego wielkiego mocarstwa wymaga, aby wysłać delegacje na rozmaite kongresy i konferencje. A za granicą przyjęło się, żeby delegacje reprezentowały nie "kierownictwo nauki", lecz naukę samą. Niełatwo jest to osiągnąć, gdyż członkowie delegacji przede wszystkim powinni być "pewni moralnie" w sensie nadawanym temu terminowi w opiniach służbowych, tzn. nie powinni wchodzić w żadne osobiste relacje z cudzoziemcami, nie powinni wygłaszać żadnych nie uzgodnionych wcześniej poglądów i w ogóle powinni zachowywać się jak nakręcane lalki. Uczni, którzy spełniają te warunki, są selekcjonowani przez organa KGB, żeby organa te nie naprężyły się za bardzo, listy odpowiednich osób ustala się na czas długi - o ile to możliwe - na zawsze. Dlatego też na spotkaniach międzynarodowych jeżdżą ciągle ci sami ludzie, a ponieważ kryteria bezpieczeństwa nie zawsze pokrywają się z naukowymi, zdarza się często, że w składzie delegacji radzieckiej nie ma nikogo bezpośrednio związanego z tematem obrad.

Za to każdej delegacji obowiązkowo towarzyszy informator KGB - "stukacz". Słowo to pochodzi od rosyjskiego czasownika stukat /pukać/ ... ale czytelnik - cudzoziemiec mógłby zadać pytanie, co to ma do rzeczy. A ma, ponieważ w każdej radzieckiej instytucji istnieje zamknięty pokój bez wizytówki i bez dzwonka, otwierany od środka n a p u k a n i e. Służy on do tajnych posiedzeń przedstawicieli KGB ze spełniającymi obowiązek patriotyczny członkami kolektywu. "Stukaczem" może być tłumacz albo sekretarz, ci zresztą i tak zawsze składają raporty po powrocie, najczęściej jednak w skład delegacji wchodzi nie gardzący tym rzemiosłem uczony mąż. Wielu z nich zaczęło "stukac" na samym początku swojej



kariery akademickiej i dzięki zdobytej w ten sposób reputacji mogło szybciej niż koledzy piąć się po szczeblach kariery. Dlatego też ludzie, którzy czymś u nas kierują, to najczęściej byli "stuzkacze". Nic dziwnego, że administratorzy radzieckiej nauki wzbudzają spontaniczną antypatię nawet u cudzoziemców, nieświadomych ich tajemnic służbowych.

Rzecz jasna, nie wszyscy nasi akademicy to donosiciele. Ten i ów sam wymaga śledzenia. Niektórym wybitnym radzieckim uczonym - a ciągu całej ich kariery nie pozwala się na wyjazd za granicę. Zdarza się, że taki człowiek na jakimś etapie swojego życia okazywał pewną niezależność. Czasami jednak zakaz wyjazdu jest po prostu niezrozumiały, gdyż osobnik, którego dotyczy, nie wydaje się w niczym lepszy od innych.

X X X

Opisane warunki stworzyły szczególny typ uczonego: z góry przepaszam wszystkich przedstawicieli starszej tradycji - będą określał ten gatunek terminem "uczone bydlę". Czytelnik może to uznać za obelgę, w rzeczywistości jednak chodzi o termin naukowy. Jak wyjaśnia Konrad Lorenz, oswajanie dzikich zwierząt odbywa się drogą eliminacji sztuk najbardziej krnąbrnych i wyselekcjonowania najpotulniejszych, przy czym redukowane są wszystkie typy zachowań nie letące w interesach hodowcy. Lorenz porównuje z tym procesy socjalizacji we współczesnych społeczeństwach ludzkich, w szczególności zredukowane typy zachowań współczesnej młodzieży i wydobywa uderzające podobieństwo strukturalne. W ten sposób termin "bydlę" oznaczający zwierzęta domowe okazuje się w pełni adekwatny w stosunku do każdego egzemplarza, ale - niestety - jest adekwatny w stosunku do społeczeństwa, które powstaje na naszych oczach. Jest on adekwatny zwłaszcza w odniesieniu do poszczególnych grup podlegających kierunkowej selekcji ze względu na potulność. Stąd - u c z o n e b y d ł o.

X X X

Śmiało możemy założyć, że i warunki utrzymania naszej nauki nie sprzyjają powstawaniu prac oryginalnych. Warunki m o r a l n e, które kształtują radzieckiego uczonego, zostały omówione powyżej; a coś można by powiedzieć o m a t e r i a l n y c h warunkach jego pracy?

Przede wszystkim nasza nauka jest sztucznie izolowana od międzynarodowej społeczności uczonych. Już wcześniej była mowa o tym, jak powołuje się delegacje na międzynarodowe spotkania. Ten tryb sprawił, że młodzi uczeni, którzy znajdują się właśnie na etapie włączania się w proces twórczości naukowej, są od niego odcinani. A i pozostali na ogół docierają do informacji ze znacznym opóźnieniem. Rzecz w tym, że obieg informacji naukowej w dzisiejszych czasach nabral w znacznym stopniu charakteru wynisny u s t n e j.

Przy dzisiejszym tempie rozwoju czołowych dyscyplin publikacje nie nadążają za wynikami; chociaż ukazuje się coraz więcej czasopism opóźnienia w druku artykułów szczegółowych wynoszą obecnie nie mniej niż rok, a często około dwóch lat. Jest prawdą, że znaczną pomoc stanowią odbitki i wydawane oddzielnie związane streszczenia. Jednak z krótkiego wykładu nie jest łatwo odtworzyć sobie treść pracy, mogą to zrobić jedynie specjaliści w danej węż-

skiej dziedzinie, pozostali nie nadążają za produkcją wydawniczą. W swiętym streszczeniu pozija się domowy, opis aparatury, nawiązania do poprzednich prac. Wreszcie przyzwyczajenie do tego typu publikacji zrodziło specyficzny styl literatury naukowej odbiegający zdecydowanie na niekorzyść od stylu klasycznego; charakteryzuje się on fragmentarycznością, pośpiechem, a czasem i niechlujstwem. Co więcej, przyzwyczajenie do swiętych publikacji doprowadziło również do ograniczenia objętości artykułów. O ile na początku wieku o objętości artykułu decydował sam autor, o tyle obecnie większość czasopism przyjmuje wyłącznie artykuły nie przekraczające 15-20 stron. Z mniejszą objętością idą w parze rozmaite typy "kodowania" tekstu, tzn. zapisu sformalizowanego, który w istocie jest snego rodzaju sztuczny język. Przy takich sposobach publikacji pomysły i wyniki naukowe najpierw są "kodowane" przez autora, a następnie czytelnik musi je "odkodować". Wydawanie książek przeciąga się jeszcze dłużej - nawet na Zachodzie z powodu pewnych wymogów produkcji masowej rękopis może przeleżeć w wydawnictwie dwa, trzy lata.

Wszystkie te przyczyny zmusiły uczonych do korzystania z bezpośredniej ustawy wymiany myśli. W świecie, dzięki szybkiej i stosunkowo taniej komunikacji, przy braku przeszkód w podróżach sgraniczonych, uczeni z różnych krajów pracujący w tej samej dziedzinie spotykają się kilka razy do roku i mogą wykorzystać informację naukową niemal natychmiast, nie czekając na druk. Ci, którzy pozostali są uczestnikami w tej bezpośredniej wymianie, zostają o kilka lat w tyle i na ogół nie mają możliwości dogonienia swoich kolegów.

Ponieważ radzieccy uczeni bardzo rzadko bywają na konferencjach naukowych i ponieważ z reguły jeżdżą nie ci, którzy mogą aktywnie uczestniczyć w obradach, nauka nasza została niemal całkowicie oderwana od światowej. Na dodatek podróże zagraniczne wiąże się w naszym kraju z upokarzającą procedurą, której ludzie niezależni unikają i z dodatkowym poniżeniem wskutek poczucia nędzy, gdyż dewizy wygospodarowuje się na potrzeby rozjeżdżającego się po świecie kierownictwa.

Jeśliżym medium łączącym nas z nauką światową pozostaje literatura. Jednak nawet w Moskwie i Leningradzie kupowana jest tylko nikoma ilość niezbędnych czasopism i książek. Na zakup informacji naukowej nie mamy dewiz! A przecież wystarczyłoby na to nieznaczna część środków wydawanych rok rocznie na zakup zboża. Najlepsze co można zrobić, to wyjałowić mózgi. Ale tego nie da się chyba wytłumaczyć naszym władzom - przypomina się aforyzm Leca: "Ci, którzy zjedli wszystkie rozumy, powinni zaskarżyć wszystkie brzuszy".

Mieliszne, ciągle jeszcze sprowadzane pozycje trafiają do sieci naszych "bibliotek naukowych", które utraciły wszystkie cywilizowane cechy. Personel tych bibliotek składa się z ludzi słabo przygotowanych, a kierownictwo - ze zwykłych aparatczyków. Prenumerowane są raz te, raz inne czasopisma, nikt nie pilnuje zbierania kompletów i zbiory czasopism są jak dziurawe sito. Jeśli uda się sprowadzić jakąś książkę, krąży ona kanałami bibliotecznymi dwa lata. Zresztą czasopisma również przychodzą po wielu miesiącach, o ile w ogóle przychodzą. Nasz system informacji nau-

kowej, zorganizowany przed rewolucją według najlepszych europejskich wzorów, stał się sztywny.

Na domiar złego nasi uczeni nie uznają języków obcych. Języków uczy się i w szkole i na wyższych uczelniach, ale nikt ich nie zna; jest to jeszcze jeden system Parkinsona, którego cel nikogo nie obchodzi. Ważne jest tylko, żeby przeznaczeni do tego ludzie - armia wykładowców, najrozmaitszych metodyków nauczania i wielopiętrowe kierownictwo pedagogiczne - wywiązywali się z odpowiednich formalności i otrzymywali zapłatę. Nasi uczeni mogą od biedy przeczytać ze słownikiem artykuł z własnej dziedziny, a w rozmowie z cudzoziemcem wyrzucają z siebie niepowiązane angielskie słowa, choć częściej gestykują i produkują nieartykułowane dźwięki. Wszyscy oni są przekonani, że języki obce są ogromnie trudne i stanowią specjalną dziedzinę wymagającą całego życia. Przed rewolucją i jeszcze w latach dwudziestych znajomość języków obcych uważana była wśród uczonych rosyjskich za coś, co się rozumie samo przez się. Po tym jednak przyszły czasy, kiedy pobyt za granicą traktowano jako przestępstwo, cudzoziemców należało unikać jak zarazy, a i znajomość języków obcych lepiej było zataić, żeby się czymś nie wyróżnić.

W ten sposób nasza nauka odcięta została od świata.

#### X X X

Basę materialną nauki tworzą, rzecz jasna, przyrządy i wyposażenie laboratoryjne. Wszyscy nasi specjaliści w dziedzinie nauk eksperymentalnych wiedzą, że na aparaturze radzieckiej pracować się nie da. Aby uzyskać rezultaty porównywalne z zagranicznymi, trzeba posiadać porównywalną technikę. Jednak import aparatury ograniczony jest do minimum ze względu na brak obcych środków płatniczych. Tutaj znów, jak i w przypadku literatury naukowej, nasze władze poświęcają rozum dla brzucha. Japończycy po wojnie postępowali akurat odwrotnie - odmawiali sobie wszystkiego, żeby przetrwać zacołanie - i efekty też mają inne.

W tych uprzywilejowanych instytucjach, które mimo wszystko kupują aparaturę zachodnią, środki na nią otrzymują faworyci kierownictwa: instytutowi wooni ludzie biją się o nie używając wszelkich urzędniczych forteli. Jest oczywiste, że w takich przypadkach zdolności naukowe nie odgrywają żadnej roli, zresztą nie są one zwyciężcom potrzebne. Zwiędnięszy importowaną aparaturę /nierzadko jest to seryjna produkcja firm zachodnich/, nasi feudalowie nauki miłośnicie pozwalają pracować na niej swoim wasalom, a następnie podpisują się pod artykułami.

W pewnych przypadkach materiałów niezbędnych do pracy naukowej wcale nie ma w sprzedaży. Dotyczy to np. preparatów biochemicznych produkowanych w małych ilościach przez czołowe instytuty zagraniczne na potrzeby własne i wymianę. Jest oczywiste, że nie dostaną ich ci, którzy nie mogą nic zaproponować od siebie. Instytuty radzieckie, które nie zdołały utrzymać się na poziomie najnowocześniejszych badań, zaspokajają się czymś gorszym, np. preparatami węgierakimi, ale i tych nie starcza dla każdego.

Specjalną kategorię wyposażenia naukowego stanowią komputery. Nowoczesne komputery musły importować, ponieważ radzieckie nie są bardzo nadają się dla przedsiębiorstw, nie wspominając już o

celach naukowych. Jednak sprzedaż najnowszych komputerów do ZSRR z powodów oczywistych jest zakazana i musimy zadowalać się komercyjną produkcją sprzed 10-15 lat. Nawet takie maszyny stanowią kontrabandę, zdobywa się je z wielkim trudem, zazwyczaj przez pośredników, za bajonskie sumy. Sprzętu tego mamy bardzo mało, otrzymują go jedynie uprzywilejowani, prawie zawsze instytuty wojskowe, gdzie dostęp mają doń jedynie najważniejsi z feudałów nauki. Maszyny te, za granicą uznane za przestarzałe i - na ogół - już wycofane z produkcji, pozostają dla uczonych radzieckich przedmiotem sennych marzeń.

X X X

Przedstawiliśmy tu przyczyny upadku naszej nauki: dyskryminacja pod kątem lojalności i pochodzenia, zbiurokratyzowane zarządzanie nauką, izolacja od świata i zacońanie techniczne. Skutki nietrudno sobie wyobrazić. Obecnie pozycja nauki radzieckiej w światowej społeczności naukowej jest mało znacząca. Najgorzej wygląda stan nauk eksperymentalnych, gdzie tylko w bardzo rzadkich przypadkach możemy współzawodniczyć z zagranicą, natomiast w całym szeregu specjalności, które wymagają np. nowoczesnych komputerów czy preparatów biochemicznych po prostu wypadliśmy z gry. We wszystkim, co dotyczy techniki staliśmy się outsiderami i z psychologicznego punktu widzenia trudno sobie wyobrazić typ człowieka bardziej nieszczęśliwy niż uczony-eksperymentator. Jest on zdecydowany uciec ze swojej ojczyzny i ucieknąć, gdy tylko nadarzy się okazja. Nie wiem, jak to powiedzieć po rosyjsku, po angielsku nazywa się to "brain drain".

W kontaktach oficjalnych cudzoziemcy są bardzo grzeczni i fakt ten wprowadza w błąd nasze władze. Jak mi opowiadano, na jednym z kongresów poświęconych genetyce zarobił oklaski "biologiczniczurinowiec" Giuszczenko, który z tego powodu uznał swoje wystąpienie za sukces. "Cóż w tym dziwnego - komentował opowiadający tę historię - proszę sobie wyobrazić, że na kongresie zjawia się referent n a g o l a s a - czyż nie ściągnie to powszechnej uwagi?" Jednak w kontaktach mniej oficjalnych koleśdzy zagraniczni nie są tak powściągliwi. Kiedy zapytano uczonego japońskiego, o ile lat opóźniona jest nasza technika komputerowa, odpowiedział bez ogródek: for ever.

Stosunkowo lepsza jest sytuacja teoretyka, który pracuje przy pomocy ołówka i papieru. Warto jednak odnotować, że wszystkie nowe kierunki fizyki teoretycznej powstały za granicą, a nasi fizycy jedynie przyswajają sobie i czasem rozwijają to, co przeczytali w obcych czasopiśmiech. Ze względu na tę zależność fizycy nie mają już złudzeń. Im więcej środków ostrożności podejmuje się w celu ochrony naszych instytutów fizycznych, tym mniej jest tam co chronić i nasi zagraniczni koleśdzy zdumieni są komiczną powagą procedur przypominających Japonię sprzed rewolucji Meiji.

Nawet w dziedzinie matematyki, w której Rosja niegdyś zajmowała czołowe miejsce, straciliśmy swoje pozycje. I tu również od dawna już nowe pomysły i idee przychodzą z zewnątrz, choć ciągle jeszcze od czasu do czasu jakiś nie dobitny przez urzędników działak uzyskuje godne uwagi wyniki.

Cudzoziemcy, częściowo tylko znający nasze warunki, zachodzą głowę, jak uczonym radzieckim w ogóle udaje się coś zrobić.

Wszystko, co osiągnięto do tej pory, tłumaczy się inercją szkół naukowych. Dopóki mieliśmy jeszcze uczonych wychowanych przed rewolucją albo w latach dwudziestych i dopóki ludzie ci zajmowali stanowisko w instytutach i w uniwersytetach, była jeszcze możliwość rzetelnego wyboru aspirantów i asystentów i, co najistotniejsze, przestrzegano kryteriów oceny pracy naukowej. Obecnie jednak wszędzie rozpanoszyła się działalność pseudonaukowa, której nie ogranicza żadne sprzężenie zwrotne. Ponieważ jednak mimo wszystko istnieje świat zewnętrzny, koniec r a d z i e c k i e j nauki jest nieunikniony.

x x x

Po cóż więc nasze władze tolerują istnienie nauki? Przede wszystkim z powodu ignorancji. Na Zachodzie słabo znają naszych przywódców przypisując im wiedzę oraz świadomość, której ludzie ci mieć nie mogą. Są to urzędnicy specjalnie przystosowani do walki konkurencyjnej wewnątrz aparatu partyjnego. Poza tym środowiskiem są bezradni i zdają się na ekspertów, których nie potrafią dobrać. Ludzie zasiadający w Biurze Politycznym nie rozumieją, rzecz jasna, co to jest nauka, po co jest potrzebna. Słyszeli jednak, że nauka była zawsze i jest nadal we wszystkich krajach i z tego powodu sądzą, że powinna być również w naszym kraju. Słyszeli prócz tego, że nauka ma coś wspólnego z produkcją i wojskowoscia i choć nie wiedzą, co mianowicie, boją się całkowicie ją zlikwidować, pamiętając nie tak dawną konfuzję wokół genetyki i cybernetyki. **O b e c n i e** władze partyjne nie zajmują się już niszczeniem całych dyscyplin naukowych pozostawiając to Akademii Nauk. Ignorancja władz bywa nawet korzystna dla nielicznych ocalałych uczonych, ponieważ wiele rodzajów badań nie mających bezpośredniego wyjścia do produkcji kontynuuje się ze względu na zakładane "wdrożenie". Pamiętam szczegóły, by nie narażać tajemnic tych uczonych.

Bespośredni wpływ nauki na życie gospodarcze jest u nas niewielki, albowiem wszystkie, co bardziej sensowne, rozwiązania są w ten czy inny sposób kopiowane z zagranicznych razem z zawartą w nich myślą techniczną. Istnieje jednak dziedzina, w której jesteśmy skazani na własne siły - to technika zbrojeniowa. Tutaj i tylko tutaj uczonej radzieckiej odgrywa naprawdę poważną rolę społeczną. Instytuty, które pracują na potrzeby wojska są lepiej zapatrzone w importowane wyposażenie, ale ich polityka kadrowa jest jeszcze głośniejsza niż gdzie indziej. Instytuty te zajmują się głównie podrabianiem zachodniej techniki militarnej według publikowanych /rzecz jasna, przestarzałych i niepełnych/ opisów i - w pełnym przypadkach - według skradzionych wzorów. Władze są przekonane o absolutnej wyższości techniki zachodniej i najoźreściej wprost zakazują badań oryginalnych. Kto lepiej ściąga, ten jest lepszym uczonym. Jest w tym jądro zdrowego sensu, gdyż taka postawa odzwierciedla przeszłe doświadczenia naszego systemu biurokratycznego. Biurokraci nie lubią ryzyka.

Jest kilka nieco lepszych instytutów, w których ongiś zebrali się poważni uczeni. Kiedy zmuszono ich do zajęcia się tematyką wojskową, postanowili ratować swoje zainteresowania naukowe i zaczęli wypłacać się za prawo uprawiania nauki oddając część swego czasu wojsku. Dyrektor takiego instytutu, zwykle sam były uczonej,

działa jak Janus o dwu obliczach: jedno zwraca ku władzom zapewniając, że wyciska siódme poty ze swych uczonych niewolników, druga umizguje się do swich podwładnych udając, że ich rozumie i broni. Pewne instytucje i laboratoria wytargowały małe przywileje, np. możliwość trzymania u siebie niewielkiej liczby Żydów. Ludzie z takich instytucji są szalenie dumni z liberalnych porządków panujących w ich szarazkach. /Sądzę, że termin ten znany jest czytelnikowi, na wszelki wypadek jednak przypomnę: za Stalina nazywano tak ogrodzone drugą kolczastą instytucje, w których więźniowie pod kontrolą NKWD wykonywali projekty wojskowe. To samo trwa do dziś, tyle że wykonawcom zapewnia się pewne ulgi oraz uważa się, że są wolni/.

Jest jedna okoliczność, która czyni tę wojskową naukę czymś poważnym. Kiedyś narody zacofane nie mogły zagrozić Europejczykom: rachunek strat zawsze wypadał na ich niekorzyść. Wraz z pojawieniem się broni jądrowej sytuacja uległa zmianie: wystarczy możliwość **J e d n e g o** trafienia. Nie wolno lekceważyć tego, co nasi uczeni zamajstrowali w swoich szarazkach; jeśli stratedzy z Kremla wystrzelią na Nowy Jork dwa tysiące przestarzałych rakiet ze staromodnymi ładunkami jądrowymi i jeśli choć jedna z nich trafi do celu, to Ameryka **J u ż** przegrała tę wojnę. Nawet przestarzała broń jądrowa jest straszliwa. To istne narzędzie Sądu Ostatecznego. Dzieło radzieckich fizyków. Przypomnę ich nazwiska.

Bombę atomową zaprojektowali **d l a S t a l i n a** Zeldowicz i Chariton. Stalin w tym czasie przygotowywał trzecią wojnę światową, której zarzewiem miał się stać konflikt koreański. W kraju zaś szycował nową falę terroru, która miała zniszczyć resztki cywilizowanego społeczeństwa w Koreji. Zeldowicz i Chariton przeżyli całe życie w chwale i sławie, zawsze ciesząc się szacunkiem swoich zagranicznych kolegów. Sacharow robił dla Stalina bombę wodorową, gdy ten był już szalencem i wolno wątpić czy rozumiał sens swoich postępów. Oczywiście Sacharow był wtedy zupełnie młodym człowiekiem. Oczywiście całe jego dalsze życie jest pokutą za to, co zrobił.

Ale wczoraj słyszałem przez radio, jak witał go pewien amerykański uczyony, który określił Sacharowa szacownym mianem "ojca radzieckiej bomby wodorowej", jak gdyby w grę wchodził czyn patriotyczny analogiczny do czynu Tellera - a następnie wychwalał go jako bojownika o wolność. Byłem zdumiony takim krótkowzrocznym entuzjazmem.

W aspekcie intelektualnym symetria jest wątpliwa, ponieważ Sacharow, z wczesną wiedzą o możliwości pewnego osiągnięcia, za ledwie powtórzył odkrycie zrobione przez innych. Amerykanin przez uprzejmość o tym zspomniał. Symetrii nie ma również w aspekcie moralnym. Prawdopodobnie amerykański uczyony wychowany był w tradycji religijnej, a przecież z punktu widzenia religii Sacharow powinien być widziany jako skruszony grzesznik!

Między naszą radziecką a amerykańską nie ma symetrii, ani intelektualnej, ani moralnej - jak nie ma ich między społecznościami, w których się narodziły. Do takiego wniosku, jak sądzę, nieuchronnie dojdzie czytelnik tego szkicu.

Przetłumaczyły

Jolanta Chojak  
Zofia Zeron

# PRZEKROCZYĆ GRANICĘ STRACHU

## rozmowa z Igorem A. Mielczukiem

Jerzy Chmielewski: Pana życie obfitowało w niewiarygodne doświadczenia trzech epok politycznych. Studiował Pan w czasach stalinowskich. Pracę naukową rozpoczął Pan za Chruszczowa. Pod rządami Breżniewa zyskał Pan sławę...

Igor Mielczuk: ... i straciłem grunt pod nogami.

J.Ch.: Zaczniemy więc od pytania: co to były za czasy, wczesne lata pięćdziesiąte? Jak wyglądało radzieckie językoznawstwo po "zdemaskowaniu" Żarza?

I.M.: Czasy były wariackie. Jeszcze w ostatnich dniach sierpnia 1950 r. wystawiałem w Wojenkomacie jako ochotnik kłócąc się, żeby mnie puścili do Korei, na wojnę przeciw podłym amerykańskim imperialistom. No, ale na szczęście nic z tego nie wyszło, więc zapisałem się na Uniwersytet Moskiewski. To był właściwie przypadek, ponieważ wówczas Żydów na wyższe uczelnie z zasady nie przyjmowano. Na naszym roku, liczącym 350 osób, było chyba czworo Żydów. W tym córka generała NKWD, który przypuszczalnie maczał palce w zbrodni katyńskiej. Nazwisko się zgadza - Szwareman, widziałem je później w publikacjach patriotów polskich za granicą. Ina dziewczyna była porządna, wycierpiała się za swojego ojca, ale to już inna historia. Była też również córka dyrektora stalingradzkiej Fabryki Czołgów, Rubinczyka i jeszcze jedna dziewczyna, z tej samej ważnej rodziny, Lina Kagałowska, teraz mieszka w Stanach Zjednoczonych, to też jest osobna historia...

J.Ch.: ... to znaczy obowiązywał numerus clausus?

I.M.: I tak pozostawało aż do ostatnich lat, jeszcze po moim wyjeździe. Korzy przyjąć były bardzo surowe. Słyszałem od wielu osób, że wykładowcom na uniwersytecie dawano spisy podejrzanych o żydowskie pochodzenie, nawet gdy z dokumentów wynikało, że są Rosjanami, i kazano stawiać im oceny niedostateczne. Ja znam osobiście kilku wykładowców, którzy się na to nie zgodzili i których usunięto z pracy. Jeden z nich, Władimir Senderow, trafił nawet do więzienia, bo nie tylko odmówił, ale zebrał dane o takich przypadkach i opublikował za granicą. Tak że do tej pory nie mogę się nadziwić, jak ja w ogóle zacząłem studiować. To był absolutny cud... Stoję więc sobie w hallu starego Uniwersytetu, jeszcze nie zaczęto budować nowych gmachów, i patrzę na gazetkę ścienną, gdzie wisł wycięty z gazety artykuł Stalina o językoznawstwie. Większość

studentów I roku, a mieliśmy wtedy po 17 lat, nigdy w życiu nie słyszała o Marrze, ani o językoznawstwie. Mnie jednak to ciekawiło od dawna i bardzo dużo na ten temat czytałem. Czytałem "Dzieła sebrsne" Marra i podręcznik Reformatskiego, bardzo wówczas popularny. Przeczytałem też artykuł Stalina, z zainteresowaniem, choć nie bardzo mi się podobał cały szum wokół niego. Miałem mieszane uczucia, uważałem za niesmaczne, że tak wielkiego człowieka, Stalina mianowicie, stawia się w kłopotliwym położeniu nazywając jego prosty i przekonujący tekst "genialnym odkryciem". Co tu wychylać, myślałem sobie, przecież to trywialne. Stalin ma rację, ale tak przecież powinno być od początku. Chwała Bogu, wróciliśmy do normalnych czasów, po co to gadanie. I wtedy, jakimś dziwczykiem, która stała obok, rozdarła się na mnie: jak to, ty się śmiejesz?! - potem zrobili ją sekretarzem Komsomołu na naszym roku. Dopiero w domu zrozumiałem, że ten śmiech mógł mnie kosztować życie. No, ale uszło mi to jakoś. Dostałem się na Uniwersytet i zacząłem chodzić na wykłady. Wszędzie stukanie, na drzwiach gabinetów przybijano nowe tabliczki. Były dziekan Czewodanow, którego właśnie wyłano ze stanowiska ponieważ był marrystą i zastąpiono kimś innym, stał w Audytorium Komunistycznym - piękny budynek w starym stylu - i ze łzami w oczach tłumaczył się, jak to on był głupi, jak to zmarował życie zawierzywszy niesłusznym, burżuazyjnym ideom i dopiero teraz łuska mu z oczu spadła. Teraz wie, gdzie leży prawda. To samo robiło po nim wielu innych, których nazwisk nawet nie pamiętam. Minęło tyle lat. Mnie to wszystko wydawało się absolutnie dwiadczone. Nie wieściło mi się to w głowie, żeby profesor, który dwadzieścia lat wykładał coś na uniwersytecie, który w to wierzył, w jednej chwili uznawał się publicznie za wariata. No i powiedziałem głośno co o tym myślę. Powiedziałem, że kto jest durniem dzisiaj, musiał być durniem zawsze. Znaczący, że na Uniwersytecie Moskiewskim całe lata wykładali idioci. Nic złego się ze mną wtedy nie stało, przez całe studia nie wywalił mnie do NKWD ani razu. Ale też przez sześć lat studiów nie dostałem stypendium, choć miałem same najwyższe oceny. Były tam stypendia normalne, a były również za szczególne wyniki. Jednocześnie raz kandydowałem do takiego stypendium i nic. Wiele lat potem, od wspaniałego człowieka, który był wtedy członkiem partii, ślawny lotnik frontowy, dowiedziałem się, że komitet partyjny za każdym razem zgłaszał sprzeciw.

J.Ch.: Wróćmy jednak do językoznawstwa. Rosja miała przecież wspaniałą tradycję w lingwistyce, przed Marrem. Co się z nią stało? Jaka była nauka, do której Pan wszedł? Jaki był stan wiedzy, który Pan zastał?

I.M.: Muszę od razu się zastrzec i bardzo mocno podkreślić, że mówię z własnego, bardzo subiektywnego, punktu widzenia. Widzę to co chcę widzieć i po prostu nie dostrzegam niczego innego. To jest osobisty pogląd człowieka bez pamięci zakochanego w językoznawstwie. I z tego punktu widzenia, kiedy zaczęłam studiować, żadnego językoznawstwa w Rosji nie było. Wszyscy prawdziwi językoznawcy zostali fizycznie zlikwidowani, jak Poliwanow, rozstrzelany w 1938 r., albo doprowadzono ich do takiego rozpadu psychicznego, że zeszli na psy. Keonelson, wspaniały, utalentowany ję-



zykonnawca, był wtedy na zesłaniu i zabływał dopiero 25 lat później, w latach siedemdziesiątych. Kuzniecowa, inny wybitny uczoney, uroczy człowiek. miał na uniwersytecie tylko szczegółowe wykłady z rusycystyki i pozostawał w cieniu. Skończyłem studia ani razu go nie zobaczywszy, mimo że byłem bardzo aktywnym studentem i wsadzałem nos absolutnie wszędzie. To pokazuje, jakie miejsce i rolę zajmował Kuzniecowa. Nie chcę jednak, żeby to było odebrane tak, że nie było w Rosji ani jednego dobrego językonnawcy. Dobrym językonnawcą był na przykład Reformatki, ale nigdy nie nauczał na uniwersytecie. Profesorem uniwersytetu w Leningradzie był np. wspaniały Chołodowicz.

J.Ch.: A Winogradow?

I.M.: Winogradow to bardzo skomplikowana i dziwna postać. W latach młodości był atakowany i właściwie nie istniał naukowo. W okresie posarrowskim wrócił do łask i stał się czymś w rodzaju urzędnika od nauki. Mam do niego stosunek ambiwalentny. Jego książka o języku rosyjskim napisana jest wzorowo i należy do klasyki językonnawczej, ale postawa naukowa Winogradowa w ostatecznym rezultacie przyniosła wielkie szkody. Winogradow nie rozwijał nauki, przynajmniej tak jak ja uważałem to za słuszną. ... Więc chociaż dobrych lingwistów na światowym poziomie można było znaleźć, nie było językonnawstwa jako nauki. Na uniwersytecie na przykład językonnawstwa nie wykładano. Ja czegoś takiego nie studiowałem. Mieliśmy coś, co się nazywało "Wstęp do językonnawstwa stalinowskiego". To był specjalny przedmiot, trwał cały rok. Zachowałem sobie zeszyty z lat pięćdziesiątych. Przywiozłem je nawet do Kanady. Czasem zabawiam nimi swoich gości. Nikt mi nie wierzy, że tak było, ale to prawda. I dopiero potem był półroczny kurs "Wprowadzenie do językonnawstwa". To wszystko. Faktycznie więc lingwistyki nie studiowałem, w żadnym wydaniu. Nazwiska Jakobsona, de Saussure'a, Trubieckiego, Bloomfielda - luminarzy nowoczesnej wyłali językonnawczej Zachodu - po prostu nie padały. Historia językonnawstwa kończyła się gdzieś na Pedersenie, a więc w początkach XX wieku, na językonnawstwie porównawczym. Akurat w tej dziedzinie mieliśmy wybitnych specjalistów, ale gramatyki porównawczej nie wykładano. Były oddzielne kursy, na przykład sankrytu. Chodziłem też na zajęcia do ledwo żywego Sobolewskiego, miał coś koło dziewięćdziesiątki i wykładał starogrecki. Interesujący ludzie byli, ale trzeba ich było szukać ze świecą, w oficjalnej sianie zajęć nie figurowali. Lingwistykę odkryłem już po skończeniu uniwersytetu.

J.Ch.: Czyli zaczął Pan na spalonej ziemi...

I.M.: Tak. I znova uratował mnie przypadek. Zaprzagnąłem dostać się na Iberystykę. I, jak nie wiedzieć czemu jestem przywiązany do Polski, tak też zupełnie przypadkowo zrodziło się we mnie przywiązanie do Hiszpanii. A że jestem w gorącej wodzie kąpany, nie wysłać co ja później z tym będę robił, zapisałem się na Iberystykę. Byłem szczęśliwy, że mam możliwość studiowania kultury, języka, etnografii, geografii. Językonnawstwa żadnego tam nie uprawiano. Dość powiedzieć, że za słynnego lingwistę uchodził tam niejaki Budagow, zupełne zero pod każdym względem - i jako profes-

sor i jako uczoney. Ten jednak przynajmniej nosił mankiety i wył ręce po wyjściu z klozetu. Pan się śmieje, ale w tym królestwie zidiociałego chamstwa człowiek, który idąc puszczając przodem kobietę i mówiąc studentom "dzień dobry" wydawał nam się inteligentem. Więc, mimo że ten Budagow był durkiem i niczego dobrego dla nasuki nie zrobił, jestem mu wdzięczny, że chodził ubrany jak człowiek, a nie jak brudny cham. Był bowiem u nas niejaki Semarin, wykładał literatury zachodnie. Miał na sumieniu kilkadziesiąt osób, po prostu donosił, za co go później nawet wyrzucono z partii. Ten ryczał po chamsku na podwładnych. Budagow był kulturalny, za co mu chwalił. No i kiedy tak studiowałem ibarystykę, zaszły dwa zdarzenia, które zmieniły moje życie. 9 stycznia 1954 roku, to bardzo ważna data, Paul Garvin, młody uczoney, Żyd węgierski, który z Czechosłowacji uciekł był do USA oraz Amerykanin Peter Sheridan wykonali pierwsze doświadczenie z przekładem maszynowym. Komputer przez nich zaprogramowany przetłumaczył z rosyjskiego na angielski około trzystu zdań. Wyniki eksperymentu niezwłocznie opublikowano i bardzo znany radziecki matematyk oraz cybernetyk, profesor Aleksiej Andriejewicz Liapunow postanowił, że coś podobnego trzeba będzie zrobić także w ZSRR. Ten Liapunow pochodził ze starej szlachty, znakomita rodzina, uwikłana w akomplikowane właśnie między Polakami i Rosjanami w początkach XVII wieku. Część rodu stała po stronie Polaków, więc była uważana za zdrajców, część znów była po stronie carskiej. Ta rodzina zawsze odgrzywała znaczącą rolę w dziejach Rosji. Aleksander Liapunow - kompozytor, Borys Liapunow - wybitny matematyk. Jednym słowem, stara rosyjska inteligencja arystokratyczna, bardzo ciekawa warstwa w kulturze Rosji. No i tenże Liapunow, znając francuski od dzieciństwa, zajął sobie, żeby zrobić przekład maszynowy z francuskiego. Kazał swojej asystentce Oli Kuzaginie znaleźć studenta filologa mówiącego po francusku i wziąć się do roboty. Wybór padł na mnie zupełnie przypadkiem. Mieliśmy wspólnego znajomego, nazywał się Dima Urnow, szekspirolog. Niedobry człowiek, ale miał jedną dobrą cechę, uwielbiał konie. Całe życie spędzał na hipodromie i w stajniach. Był mistrzem sportów konnych. Zawsze czuć go było końskimi potami i nawozem. Poza tym lajdak. On przyjaźnił się też z Tanią Wencel z bardzo wybitnej rodziny. Irina Grekowa, znana pisarka, to jej matka, a może ciocia, już sam nie wiem. I tak oto, zupełnie przypadkowo, znalazłem się w niesamowitym środowisku. Odkryłem dla siebie całkiem nowy świat. Ja nie miałem rodziny. Jestem sierotą. Środowisko, w którym wyrosłem, to niższe warstwy miejskie. Do tej pory mówię po rosyjsku z południowym akcentem. Nikt mnie niczego nie nauczył. Można powiedzieć, że wychowałem się na ulicy. A tu nagle - sama śmietanka inteligencji moskiewskiej, plus Liapunow, który mnie olśnił i który wciągnął mnie do pracy nad lingwistyką formalną i przekładem maszynowym.

J.Ch.: Czyli wszedł Pan w środowisko, którego istnienia Pan nie podejrzewał obserwując swoich uniwersyteckich wykładowców...

I.M.: i co najważniejsze, w bardzo specyficzny klimat umysłowy. To mi niezwykle odpowiadało. Jakby się do tego urodził. Logika, precyzja wyślenia, były mi bardzo drogie. Matematyk w szkole uważał, że popełniam zbrodnię idąc na filozofię, a nie na me-

tematykę lub fizykę. Byłem doskonałym uczniem i z matematyki i z fizyki. No i nagle okazało się, że wolna pogodzić moje zdolności i zainteresowanie językami. Więc zacząłem się zajmować przekładem maszynowym. W ciągu roku z okładem zrobiliśmy z Olą Kulaginą sprawnie działający system przekładu z francuskiego. Przed nami, trochę tylko wcześniej, był system angielsko-rosyjski, ale dawał gorsze wyniki. Jak na owe czasy, maszynowy produkt radzieckiej, którymi dysponowaliśmy - "Striela", coś jak kalkulator kieszonkowy dzisiaj, to był prawdziwy sukces. Nasza praca otrzymała nagrodę na konkursie osiągnięć studenckich w Moskwie i to otworzyło przede mną drogę do nauki.

J.Ch.: Chciałbym teraz, żeby pomógł mi Pan zweryfikować taką oto tezę. W językoznawstwie radzieckim po murrayście zaczęło coś z rodzaju deprywacji. Nie wolno było uprawiać badań nad historią języka rosyjskiego, badań serio w dziedzinie socjolingwistyki, semantyka ciągle była dziedziną źle widzianą, a strukturalizm wyklęty. Wobec tego nastąpił wspólny rozkwit językoznawstwa matematycznego, ściśłego. Czy podziela Pan pogląd, że ta deprywacja, która zresztą przyniosła wielką korzyść lingwistyce rosyjskiej, jest skutkiem wypaczonych stosunków społecznych?

I.M.: Dokładnie tak. Rzecz w tym, że cybernetyka i lingwistyka formalna były uważane za zbrodniczą brednię imperialistów. Dzięki temu, że znalazłem się w rękach Liapunowa, wymknąłem się językoznawcom, którzy nigdy by mi nie pozwolili tym się zająć. Za plecami Liapunowa stało wojsko i rząd. Jedni i drudzy uważali, że trzeba stawiać na wszechstronne zastosowanie komputerów, więc kiedy Liapunow zgłosił projekt automatycznego przetwarzania języka, wolno mu było wszystko. Jaemu osobiście zawiązywałem pracę w Akademii Nauk. Po drodze jednak miałem kłopoty. Uniwersytet skończyłem w 1956 roku, w 1957 dostałem aspiranturę. Wtedy wyklisła historia z Pasternakiem. Mojego szefa Iwanowa wyłano z Uniwersytetu. Przyjęli go w 1955 i zaraz wyrzucili. Iwanow był indoeuropeistą, jedynym wówczas w ZSRR specjalistą od chetyckiego. Napisał pierwszą dysertację o tym języku. Spotkaliśmy się na ostatnim roku moich studiów. Miałem być jego pierwszym aspirantem. Jego usunięto z Uniwersytetu, a mnie z aspirantury, ponieważ ująłem się za nim i napisałem protest do ministra szkolnictwa wyższego.

J.Ch.: Co takiego zrobił Iwanow?

I.M.: Publicznie obraził człowieka, który napisał na niego donos. Rodzina Iwanowów przyjechała się blisko z Pasternakiem. I kiedy wszczęto nagonkę na pisarza, w prasie pojawił się artykuł-donos na Iwanowa. Napisał go niejaki Kornelij Lucjanowicz Zielinski, akadynad Polak, bardzo utalentowana kanalia, który sykał sobie rosyjski przydomek Iobielij<sup>2</sup> polucjanowicz Wazielinikij. Wstrętny typ. No i on właśnie publicznie wystąpił z oskarżeniem, że Iwanow popiera Pasternaka. Następnego dnia Iwanow przy lu-

dziesch zaszedł mu drogę. Znali się od dawna. Kornelij wyciągnął do niego dłoń, jak zwykle, ale taśten założył ręce za plecy i powiedział: "donosicielom ręki nie podaję". W tłumie ludzi. Naza-jutrz Kornelij zreferował sprawę w Komitecie partyjnym i zaczęła się dzika kampania. Wszystkie ściany zawieszono tekstami potępiającymi młodego wykładowcę, który nawet jeszcze nie był docentem. Jednogłośnie decyzją rady naukowej usunięto go z Uniwersytetu Moskiewskiego.

J.Ch.: I wtedy napisał Pan protest...

I.M.: Tak, do ministra szkolnictwa wyższego. Tłumaczyłem, że to znakomity wykładowca, unikalny specjalista, że drugiego takiego u nas nie ma, że to ogromna strata dla uczelni, że polityka to jedno, a wykład i kształcenie językoznawców to drugie, i tak dalej. No i w rezultacie mnie też wyrzucono. Gdyby Liapunow mnie nie wyratował, po prostu przepadłbym. Moje życie potoczyłoby się inaczej. Jednak Liapunow też przecenił swoje siły. Początkowo chciał mnie zatrudnić u siebie, w Instytucie Matematyki Stosowanej. Zajmowano się tam różnymi tajnymi zleceniami. Przede wszystkim trajektorie rakiet. I tam mnie nie przyjęto. Nie bacząc na bardzo poważne naciski Liapunowa, bądź co bądź dyrektora, oddziału, czyli bezpieczeństwa, kategorycznie sprzeciwił się mojemu zatrudnieniu. Sprawa była jasna. Nie chodziło o to, że jestem Żydem, ponieważ Żydów tam było bardzo dużo, tylko o politykę. Aczkolwiek w tamtym czasie byłem jeszcze po trochu stalinowcem, marzyłem żeby wstąpić do partii. Byłem też rosyjskim i radzieckim patriotą, uważałem ten kraj za swój, chciałem pracować z politykiem dla ZSRR, choć dostrzegałem jego wady. Nie musiałem kochać władzy, tak sobie mówiłem, władza to nie kobieta, ale byłem z nią w zgodzie, w swoim mniemaniu. Pisząc protest do ministra, miałem go za rozumnego człowieka, który wysłucha mojej opinii. No i naciąłem się.

J.Ch.: A jednak dostał się Pan do Akademii Nauk...

I.M.: Do Instytutu Językoznawstwa Liapunow wepchnął mnie na siłę. Oni mnie tam nie chcieli. Ale przeciwko człowiekowi takiego kalibru, on przecież był na froncie, miał generalski mundur obwieszony medalami, nic nie mogli zdziałać. Kazał - przyjęli. Nie wiedząc, co ze mną zrobić, stworzyli nowy sektor. Nazywało się to sektor strukturalnego językoznawstwa stosowanego. Na mojego szefa wyznaczyli Reformatskiego. Wtedy wykladał on językoznawstwo w Instytucie Literatury Świstowej im. Gorkiego, albo w Instytucie Pedagogicznym. Nic nie znaczyli, tak jakby go nie było. Ni stąd, ni zowąd mianowali go naczelnikiem, a ja zostałem jego pierwszym i na długo jedynym podwładnym. Po trzech latach pojawiła się Lidia Jordanśka, świeżo upieczona absolwentka. W Akademii nie brakowało mi niczego do szczęścia. Byłem młody, pełen energii, pracowałem iie chciałem i gdzie chciałem. Słabo odbierałem to, co działo się dookoła. A działo się, bo oto pewnego razu, w Moskwie, podeszła do mnie jakaś kobieta, bardzo piękna, już niemłoda, prawdziwa dama, w polskim typie, "honorowa", o wyniosłym, niedobrym spojrzeniu. Witaa się ze mną, przedstawia, nie znałem jej nazwiska wcześ-

niej, i powiada: - Pan jest podobno idealistą? - W jakim sensie - pytam. Co to ma znaczyć? Ona mi na to mówi, że pracuje w leningradzkim oddziale Instytutu Językoznawstwa i właśnie niedawno wzięła u siebie zebranie partyjne dla pracowników, na którym iz oznajmiono, że w Moskwie siedzi taki to i taki, bardzo szkodliwy i niebezpieczny człowiek. Człowiek! Ja wtedy miałem 24 lata, żadnego stopnia naukowego, dwie ogłoszone prace - i oto tam, w Leningradzie, zwołują specjalne zebranie partyjne, na którym wyjaśniasz się wszystkim członkom, że w Moskwie uwilił sobie gniazdo groźny idealista, podkopujący fundamenty radzieckiego językoznawstwa. Ta kobieta, bardzo głupia zresztą, ale jednak coś ludzkiego się w niej kołatało, podeszła do mnie, żeby się przekonać, co ja, szczególnie niebezpieczny człowiek, takiego zrobiłem. Prowadzący zebranie nie czytał żadnego z moich artykułów, więc ona nie mogła się nadziwić, że ktoś, kto jeszcze niczego nie opublikował, może być aż tak szkodliwy. Podzieliła się swoją wątpliwością z prelegentem i ten poradził jej, żeby najlepiej sama sobie obejrzała tego okropnego człowieka. Więc jednak coś się wokół mnie działo. Ale ja o tym dowiadywałem się ostatni.

J.Ch.: Czyżby więc w epoce chruszczowskiej stosunki w zespołach naukowych i uczelniach tak niewiele się zmieniły od czasów Stalina?

I.M.: Nie, jednak się zmieniły. Może nie od razu, ale jednak powoli się poprawiało. Weźmy na przykład Instytut Języków Obcych, który do 1957 roku był miejscem, gdzie w jednej połowie szkolono radzieckich szpiegów i dyplomatów, a w drugiej nauczycieli, mężczyzn prawie tam nie było, dla szkół średnich. Otóż w tym Instytucie żadnej nauki nie uprawiano. Jego dyrektor, Wiktor Juljewicz Rozencwejg, był wspaniałym człowiekiem, ale przy swoim żydowskim nazwisku i obcym urodzeniu - urodził się za granicą - niczego nie mógł zdziałać. I nagle, niemal z dnia na dzień, udało mu się stworzyć w tymże instytucie laboratorium przekładu maszynowego, które odegrało w moim życiu kolosalną rolę. Sprawy ruszyły z kopyta. A ponieważ do laboratorium przyjmowano bardzo rozgarniętych studentów, w oka mgnieniu, Bóg raczy wiedzieć skąd, zjawili się młodzi wykładowcy, których nikt wcześniej nie znał. To samo na uniwersytecie. Tam nie od razu, bo tuż przed odejściem Chruszczowa, utworzono katedrę Strukturalnego Językoznawstwa Stosowanego i ona to wypuściła w świat wszystkich, którzy od tej pory jakos się liczą - około 40 osób. Ktokolwiek jest dziś osobą znaczącą w radzieckim językoznawstwie, ukończył ten właśnie kierunek.

J.Ch.: Czy stanowiliście krąg przyjacielski?

I.M.: Nie, wszyscy dopiero zostali przyjaciółmi. Wspólne zainteresowania bardzo nas zbliżyły. Biyskawicznie powstała grupa ludzi młodych i w średnim wieku, których połączyły głębokie więzy przyjaźni. Minęło 12 lat od mojego wyjazdu z ZSRR. W tym czasie nie widziałem nikogo z nich. To, że tu, do Polski, zjechało się kilkunastu Moskwičan, żeby się ze mną zobaczyć, jest bardzo wymowne. To się narodziło właśnie w tamtych latach. W tamtych latach bowiem szły olbrzymie zmiany w szkolnictwie i w życiu nau-

kowy. Najpierw pojawiły się nowe publikacje, preprinty. Tego przedtem nie było. Myszy od dawna mieli wielkie kłopoty z drukowaniem. Oficjalne organy nie chciały nas drukować, bo po staroemu kierowali nimi bardzo niedobrzy ludzie. Swoje łamy udostępniło nam za to nowe pismo "Problemy kibernetyki", wydawane przez matematyków. Tam mieliśmy dostęp zawsze. A Wiktor Rozenwejg potrafił wyczerować w swoim instytucie coś w rodzaju "czarnej dziury" - serie "Problemy robotycznej grupy po przykładu strukturalnej lingwistycznej". Miało to nakład 100 egzemplarzy, ale dawało szansę szybkich publikacji i tworzyło atmosferę jakby trochę amerykańską. Wcześniej taka rzecz nikomu nie przyszłaby do głowy. Właśnie dzięki tej serii zbudowaliśmy nasze kontakty z Zachodem, z Polską przede wszystkim. Powstało miejsce gdzie mogliśmy gościć Annę Wierzbicką, Elżbietę Janus i innych. Potem, kiedy przyjechałem do Warszawy, podchodzili do mnie różni ludzie mówiąc, że słuchali moich wykładów, gościli u mnie w domu... Byli też Niemcy, Węgrzy, Czesi. Zaczęło się prawdziwe życie naukowe.

J.Ch.: Gdzie to życie się toczyło? W domach, w górach - Pan jest przecież alpinistą? Jaki był jego klimat?

I.M.: Były dwa takie ośrodki. Jeden to laboratorium przekładu masywnego w Instytucie Języków Obcych, wokół Rozenwejga i pod jego kierownictwem. Rozenwejg zorganizował kilka szkół letnich. W warunkach radzieckich potrafił zdobyć pomieszczenia, pieniądze i tam mogliśmy przyjeżdżać, nawet ludzie znanaci, z dziećmi. W dzień pracowaliśmy po 10 godzin jak obłąkani, a wieczorami chodziliśmy na tańce, było nam ze sobą dobrze. Półtora miesiąca spędziliśmy razem jak jedna wielka rodzina. Nie dlatego, żeby nam ktoś kazał, albo pisał. To była rozkosz tworzenia, prawdziwa niezależność do pracy. Zbieraliśmy się także w laboratorium Rozenwejga. Ono było najważniejsze. Wszystko wyrosło stamtąd. Potem pojawiły się inne seminaria, mniej liczne, na przykład na Uniwersytecie, wokół Aleksandra Kibrika. Ten Kibrik, zresztą syn znanego malarza, szybko się wtedy wybijał w językoznawstwie. Jego seminarium działało w ramach Katedry Stosowanego Językoznawstwa Strukturalnego. I tu bardzo pozytywną rolę odegrał szef tej katedry, Zwiegincow, zresztą człowiek bardzo niesympatyczny i zero jako uczyony. Był bardzo ostrożny, jednak poglądy miał prawidłowe, szarł z podniesionym czołem. Stworzył tę swoją katedrę i przyjął najlepszych ludzi, jakich wtedy można było znaleźć, pomagając im w ten sposób wyżyć. Sam jestem mu bardzo zobowiązany, bo kiedy mnie wylano z aspirantury, to zarazem unieważniono wszystkie egzaminy, które już pozdawałem. Żeby ukończyć aspiranturę, trzeba było zdać około pięciu egzaminów. Ja zdałem osiem. Tyle, że przy ich składaniu naruszone zostały zasady formalne. Egzamin trzeba bowiem zdawać w pomieszczeniu katedry, w tym i tym pokoju. A ja kilka egzaminów, na przykład staroormiański, zdawałem w domu u egzaminatora. Kusikjanc, główny specjalista od staroormiańskiego, był już bardzo stary i trudno mu było dojechać, więc komisja zebrała się u niego w mieszkaniu. To było niezgodne z przepisami. I nie dość, że wyrzucono mnie z aspirantury, to unieważniono egzaminy pozbawiając mnie tego wszystkiego co już zrobiłem. Zaliżali mi tylko egzamin z marksizmu, jedyny w ciągu całego mojego życia, z którego dostałem trójkę. Chociaż bardzo się starałem...

J.Ch.: ... za trudne dla Pana?

I.M.: Pokłóciłem się wtedy z egzaminatorką, która kazała mi wymienić tytuły rozdziałów z książki Lenina "Co robić?" Ja jej na to, że doskonale pamiętam logikę książki, który rozdział następuje po którym, ponieważ jest to związane z treścią. Treść mogę wyłożyć, ale uważam, że wycieniać nazw rozdziałów nie muszą i że to się kłóci z podejściem samego Lenina... Zwiegincew więc, który mnie osobiście nie lubił, nie było między nami żadnego ciepła, wżwał mnie i powiedział: jeżeli ja napiszę dobrowolne wypowiedzenie, on poświadczy swoim nazwiskiem wszystkie egzaminy i potwierdzi, że odbyły się w pomieszczeniu katedry. To było fałszowanie dokumentacji! Zwiegincew dużo ryzykował, ale mógł być pewien mojej uczciwości. Przecież o sprawie wiedzieli inni. Trzeba było obajść ponownie wszystkich egzaminatorów i poprosić ich o drugi podpis... On to zrobił. Był to człowiek bezspornie porządny.

J.Ch.: A kiedy znalazł się Pan już poza Uniwersytetem zaczęło się rysować coś, co później nazwano szkołą Mielczuka...

I.M.: Lepiej to nazywać Moskiewską Szkołą Lingwistyczną. Rzeczywiście, odgrywałem tam dość ważną rolę, nie w tym sensie jednak, żeby to tak nazywać. Ja właściwie nie miałem prawdziwych uczniów. Kogo mógłbym uważać za swojego ucznia, dosłownie? Prawdę mówiąc nikogo, a przykładowo - Lenę Sawinę, Kolę Percowa i Lidę Jordzańską, swoją toną. Ja po prostu nie umiem mieć prawdziwych uczniów. Lubię żartować z sobą, a później niech już się taki człowiek rozwija na innej stopie ze mną. Szkoła jednak taka czy inna, istotnie powstała. Myślę, że jej ośrodkiem administracyjnym był Wiktor Juljewicz Rosencwajg. On to zapewniał całe zewnętrzne funkcjonowanie, spotkania, publikacje, wyjazdy, sekretarkę, maszyny, papier - wszystko to bez niego byłoby niemożliwe. Strona ideowa miała trzy filary: Alek Żółkowski, teraz jest w Los Angeles, Jurij Apresjan, który przyłączył się trochę później, ale był bardzo aktywny, i ja. Były też inne ośrodki, które nie w pełni się z nami zgadzały, ale z którymi mieliśmy bardzo przyjazne stosunki. Na przykład w Instytucie Słowianoznawstwa bardzo szybko, jeszcze za czasów Chruszczowa, wyrósł sektor typologii strukturalnej języków słowiańskich z Toporowem i Iwanowem. Do nich dołączył Żeliszniak, zupełnie genialny językoznawca. Podobny ośrodek, choć na mniejszą skalę, powstał w Instytucie Informacji Naukowej, ze Szrejderem i Uspienskim. Nazywało się to sekcja języków naturalnych. Była tam Paduczewa, która miała uczniów przeciętnych wprawdzie i niewiele z nich pozostało, ale jednak w znacznym stopniu wpływających na ogólną atmosferę. Bardzo wysoki był poziom seminariów naukowych. Wprowadzono zwyczaj, wysłać, że to był mój pomysł, żeby publikacje były czytane po kolei przez wszystkich kolegów. Ja pierwszy zacząłem puszczać w obieg swoje artykuły, świetnie pamiętam ostrą rozmowę z Winogradowem, wówczas dyrektorem pisma "Woprosy Jazykoznanija". Miał się tam ukazać mój artykuł, a na końcu były słowa podziękowania ludziom, którzy to przeczytali i zgłosili uwagi, ze dwadzieścia nazwisk. Redakcja nie chciała tego wydrukować; nie za takiego zwyczaju i koniec. Dotarłem do Winogradowa i zacząłem go przekonywać, że tak być powinno, wreszcie ustąpił, pod warunkiem

te podziękowanie pójście do przypisów. Byłem więc jednym z pierwszych, którzy wielali zasady kolektywne w życiu naukowym. Pracyczynie się takte do tego, że zaczęły powstawać zespoły robocze. Dużo bardzo publikowaliśmy do spółki z Żółkowskim i Apresjanem. Dwie prace napisałem z Leną Sawiną, kilka z Kōlā Percowem. Zibrik pomógł mi dostać się do ekspedycji naukowej, która przebywała na Kamczatce... Taka atmosfera panowała aż do mojego wyjazdu. O tym, co było później, wiem bardzo mało.

J.Ch.: W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych językoznawstwo strukturalne zdawało się godzić w same korzenie ideologii marksistowskiej. Zarzut idealizmu, który Panu postawiono, kiedy Pan jeszcze rączkował w nauce, nie był przecież przypadkowy. Jak stróż ideologii patrzyli na poczynania waszego środowiska? Czy zarzuty o idealizm wisiały w powietrzu czy sformułowano je explicite?

I.M.: I tak, i tak. Zabawne to, jeżeli wziąć pod uwagę, że marksizm ogłosił się ideologią materialistyczną. Przecież to co myśmy robili, a mianowicie próby formalizacji języka i transmisji funkcji mózgowych na maszynę, było tak bardzo materialistyczne, że trudno sobie wyobrazić skrajniejsze ujęcie. W tej sytuacji oskarżał nas o idealizm - no, to już można tylko rozłożyć ręce i wytrzeszczyć oczy. A z drugiej strony, bardziej idealistycznej filozofii niż marksistowska nie umiem sobie wyobrazić. Oni wręcz ignorują rzeczywistość. Jest taki cudowny zwrot zaczerpnięty z radzieckiej prasy: klewienicznickije fakty<sup>1</sup>. Tego się nie da przełożyć na ten język! Totet ilekroć w dyskusjach z zaciętymi marksistami, twardogłowymi, których u was nazywają "beton", piękne słowo, schodziło się na niewygodną płaszczyznę, zaraz ci zarzucano, że dobierasz fakty. To standardowy zarzut marksistowski. Oni nie chcieli słyszeć o żadnych faktach. Sami zaś ciągle nas oskarżali o idealizm i im ściślejszy miśtem kontakt z Liepunowem, tym bardziej nas dociskano. Pojawiły się artykuły, w których zarzucano nam przemyt ideologii idealistycznej. Wspaniale pamiętam taką oto historię. W 54 albo 55 roku, na samym początku ery chruszczowskiej, w "Trudach Instytutu Językoznawstwa" pojawił się artykuł Miry Guchman, okropnej kobiety, początkowo marrystki, później stalinistki, pod tytułem: "Reskcyjnā istota idealistycznago językoznawstwa Leonarda Bloomfielda". Autorka oskarżała Bloomfielda, że "idealistycznie" zapisuje wyrazy rosyjskie stosując "e" tam, gdzie winno być "o". On naturalnie posługiwał się zapisem morfologicznym - ona nie miała o tym bladego pojęcia. Zabawne, prawda? A na końcu była konkluzja: "taką oto filozofią otumania się amerykańskich chłopców posyłanych na śmierć do Korei". I to się ukazało już po przewrocie, za Chruszczowa! Minęło znowu trochę czasu i na początku lat siedemdziesiątych wydano książkę Bloomfielda "Język" z przedmową Miry Guchman, w której można było przeczytać, że Bloomfield to wielki uczoney.

<sup>1</sup> oszczercze fakty (przyp. red.)



J.Ch.: Czy taka atmosfera obłączenia ideologicznego bardzo utrudniała pracę?

I.M.: Wie pan, mnie wystarczyła atmosfera, która panowała wewnątrz naszego środowiska. Ale pewne dolegliwości były. Do ostatnich prawie lat nikt z nas nie miał doktoratu. Jura Apresjan został doktorem dwa lata temu! Wszyscy dookoła bronili dysertacji, takich czy innych, jeździli w delegacje za granicę, dawano im dolary na zakup książek. Spośród nas nikt tak nie żył, obywateliśmy się jakoś. Do głowy nam nie przychodziło, żeby się domagać. Ja na przykład dostałem od królowej angielskiej zaproszenie do British Academy. Przesłałem je działowi zagranicznemu Akademii Nauk, a oni wyrzucili do kosza. Zrobiło mi się nieprzyjemnie, ale przebolełem.

J.Ch.: Czy breżniewszczyzna była przełomem na gorsze od razu, czy pogarszało się stopniowo?

I.M.: Była. Ale takiemu człowiekowi jak ja, który żyje w osobnym świecie i nie bardzo znała na to co dookoła, wiele spraw umykało. Do żywego poruszył mnie dopiero proces polityczny Siniawskiego i Daniela w 1966, drugim roku breżniewszczyzny. Tym bardziej, że ja znałem Daniela osobiście. Jego żona, Larisa Bogoroz, była lingwistką. Później wyszła za Marczenkę, żeby owdowić... Ten proces był strasznym wstrząsem. Po demaskacjach Chruszczowa coś takiego wydawało się już nie do pomyslenia. Ten prasowy, ohydny artykuł, w których wylewano wiadra pomoy, zrobiły na nas wielkie wrażenie. Znamienne, że pierwszy protest w tej sprawie obmyślił i zorganizował człowiek bardzo ostrożny, Eryk Champiro, nasz starszy kolega. Pochodził z Armenii, z małego narodu Ajsari, dużo w życiu wycierpiał. Champiro postanowił napisać bardzo wstrząsliwy i bardzo proradziecki list do KC partii, w imieniu narodu radzieckiego, a nie w imieniu wrogów władzy radzieckiej - po pierwsze, że to niesprawiedliwe, po drugie szkodliwe dla rządu, po trzecie szkodliwe społecznie i tak dalej. Omówił ten list ze mną, od razu zgodziłem się podpisać. O liście wiedziało jeszcze parę osób. Podpisała Nataszka Ješkowa, całkowicie apolityczna starsza pani /doskonała specjalistka/, podpisał Sannikow, człowiek również jak najdalszy od polityki. Nigdy bym nie pomyślał, że zechcę w tym uczestniczyć, ale to byli ludzie o bardzo wrażliwym sumieniu. Chociaż podpisywać listy i obnosić się z petycjami nie było w ich stylu. Posłaliśmy ten list do KC. Nazywał się "List Sześciu". Trzeba powiedzieć, że represje były bardzo miękkie. Ciągano nas na posiedzenia rozmaitych komitetów partyjnych, rozmawiano bez końca, ale nic nam nie zrobili. Tyle że przestano nas drukować. Zwracano mi jeden artykuł po drugim i kwita. Potem była Czechosłowacja i tu na stół poszły wszystkie karty. Zaczęły się osławione "pięciominutowki nienawiści", jak u Orwella. Zbierano cały sektor na masówkę. Każdy wstawał i mówił: "Popieram operację przeciwko czeskim rewizjonistom". Wreszcie zdarzyło się najgorsze, to co radykalnie zmieniło moje życie. Na Plac Czerwony wyszło dziewięć osób, jeden z nich był moim przyjacielem, Kostia Babicki, który też pracował w Instytucie Językoznawstwa. Akurat wtedy Jura Apresjan, Lida Jordanska i ja byliśmy w górach, na Ałtaju. Tam eksplodował prymus raniąc mnie w kolano. Dlatego wróci-

liśmy do Moskwy później, akurat w tę niedzielę, kiedy oni demonstrowali na Placu Czerwonym. Dowiedzieliśmy się o tym po fakcie. To uchroniło mnie przed podjęciem decyzji - stchórzyć i nie pójść albo pójść i stracić życie. Nikt z tamtej dziewiątki do normalnego życia nie wrócił. Kostia postąpił zmysły, przesiedział w więzieniu około roku, a potem zesłano go z Moskwy na 4 lata. Został stolarszem w jakiejś spółdzielni nad Wołgą. O żadnej pracy naukowej nie mogło już być mowy. Innych zniszczono podobnie. Co by było ze mną, nie wiem. Przy moim charakterze skończyłbym tak samo. Niezłamałbym ze zdrową psychiką nie przetrzymał. Ale, chwała Bogu, zostałem uwolniony od decyzji. Apresjani takte. Oczywiście pisaliśmy potem różne protesty, chodziłem na wszystkie rozprawy, pod salę sądową, bo do środka nie wpuszczali. I od tego momentu wszystko się wyjaśniło. Myszy stali po jednej stronie barykady, po drugiej byli oni.

J.Ch.: Jak to się odbiło na warunkach pracy naukowej?

L.M.: Wszelkie możliwości normalnego życia naukowego wygasły. Nie było mowy, żeby nas gdziekolwiek drukowano, w żadnych organizacjach akademickich. Nie dawano też zgody na wysyłanie rękopisów za granicę. Zaczęłam to robić nielegalnie, przekazując je cudzoziemcom. Podkreślałam, to były rękopisy naukowe. Działalnością polityczną sensu stricto nigdy się nie zajmowałam. Chodziło o wydrukowanie w Hiszpanii albo w Ameryce Południowej artykułu o hiszpańskich fonemach półdźwięcznych. I tyle. Apresjani natomiast co dwóch latych wyrzucili z pracy. I wszystkich innych, którzy mieli coś wspólnego z tą sprawą.

J.Ch.: To był rok 1972...

L.M.: Tak. Wszyscy ci ludzie, jeden po drugim, zaczęli tracić pracę. Na przykład Nataszka Jeszkowa. Zmusili ją do samopoznania. Powiedzieli, że jeśli wyrazi skruchę i wycofa swój podpis, wszystko się da załatwić. Dla niej praca była kwestią życia lub śmierci. Ona i kilka innych bardzo nieszczęśliwych i godnych liłości kobiet, Lidia Nikołajewna Bułatowa na przykład, ugięło się. Potem i tak wyrzucano je z pracy. Wszystko to urządził człowiek nazwiskiem Leon Skwarcow. Mnie przy tym nie było, bo to był inny Instytut. Ale była moja żona, kobieta nieprawdopodobnie cicha, nigdy nie zabierała głosu. Tym razem na widok Skwarcowa nie mogła się opanować. Zawołała: "Ty swołooz, Lowka!" Po czterech dniach straciła pracę, mimo że miała małe dziecko. Ja wtedy mogłem wyjść do Skwarcowa i powiedzieć mu to samo, ale nie poszedłem. Znalazłem za to miejsce dla Jury Apresjans w firmie "Inforselektro", dzięki matematykom. A Jura dobrał sobie współpracowników...

J.Ch.: ... i stworzyli enklawę?

L.M.: Tak. Jeszcze raz. Ale to była już całkiem mała enklawa. Niedostrzegalna z zewnątrz. Życie koleżeńskie prawie zamarło. Mnie na przykład zabronili przychodzić do laboratorium Rozenowej. Zakazali mi wstępu na Uniwersytet. Ludzie, którzy chcieli mnie słuchać, znaleźli miejsce w lesie i tam prowadziliśmy dyskusje naukowe.

J.Ch.: W prywatnych mieszkaniach wolno było się spotykać?

I.M.: Tak, ale takich dużych mieszkań nie było. Mieszkałiśmy przeważnie w podzielonych pokojach ze wspólną kuchnią i łazienką. Wiem, że Alek Łolkowski zorganizował u siebie w domu seminarium na temat strukturalnego podejścia do literatury i sztuki. Już po moim wyjeździe, w latach osiemdziesiątych, rozpowszechniały się w Moskwie seminaria domowe z fizyki i matematyki. Ja wyjechałem, kiedy to się dopiero zaczynało. Więc my uciekaliśmy w lasy, pod Moskwę. Tyrusało się na sobotę i całe dwa dni toczyliśmy zazarte dysputy. Ze mną było dość zabawnie. Organizowano mi wykłady w Instytucie Pedagogicznym i nawet w Instytucie Lumumby, ale bez nazwiska. Wszyscy wiedzieli, kim jestem, ale zajęć oficjalnie nie zapowiadano, a odbywały się w pół do dziewiątej wieczorem. Wtedy była gwarancja, że nie pojawi się nikt z kierownictwa. Nawet mi za to płacono na podstawie człowieka. Pieniądze brał kto inny i później mi je oddawał. Szechanowicz, który wykładał dla filologów też tak pracował nielegalnie kilka lat. A studenci chodzili na te wykłady z własnej chęci, bez przymusu. Trzeba to było ukrywać, a oni i tak zdawali egzaminy.

J.Ch.: Jak zapadła decyzja o emigracji? Czy dojrzała w Panu długo, czy była aktem rozpaczki?

I.M.: I tak, i tak. Jestem człowiekiem o silnej woli i dobrze się kontroluję. Toteż, żeby taki akt rozpaczki mógł dojść do skutku, trzeba go było starannie przygotować. Nie pozwoliłbym sobie, żeby mnie poniosło. Tymczasem dookoła robiło się coraz duszniej. Szechanowicz z początku wykładał w szkole, potem nawet to przestało być możliwe. Z początku w Instytucie Językoznawstwa pozostawiono tego i owego, potem wszyscy przywoici odessli. Wreszcie poszedł na emeryturę Reformatski, a właściwie odstawiono go i na jego miejsce pojawił się sektor pułkownik KGB, Kotow, który do tej pory zawiaduje naszym sektorem w Instytucie. I życie stało się po prostu nie do wytrzymania. Zmuszono mnie do robienia mnóstwa rzeczy, z którymi się nie zgadzałem, przeciwko którym się buntowałem, które pochłaniały moją energię. Kazano mi na przykład pisać podobne recenzje o nic nie wartych dysertacjach osób protegowanych przez kierownictwo. Albo inny przykład. Miała się odbyć konferencja ogólnokrajowa, na którą kazano mi napisać jeden z głównych referatów. Dwa dni przed konferencją wyrzucono mnie z programu i zamalowano moje nazwisko na plakatach. To zrobił Kotow. Nie wziął pod uwagę, że miałem wygłosić dwa referaty, drugi wspólnie z Ołgą Kulagina. Ona była gdzieś w delegacji i na trybunę wyszedłem sam. No i opowiedziałem całą historię, a na sali był tłum kilkusetosobowy. Kotow, który przewodniczył, chciał mnie ściągnąć z mównicy, ale on jest niskutki i drobny, więc syknąłem: "tylko podejź, to ci dam po pysku!" Dotarło do niego, że nie żartuję i wycofał się. A ja powiedziałem, co chciałem, nawet ten referat, który mi zdjęli z programu też wygłosiłem. Ale tak tyć się nie dało. Najazd na Czechosłowację miał dla mnie okropne skutki, jeszcze długo potem. Miałem tam wielu znajomych. Niektórych nigdy nie zdążyłem zobaczyć, zaliśmy się tylko z listów. Był taki Vladimir Wilner, orientalista. Prowadziłyśmy częstą korespondencję. I nagle moje listy zaczęły wracać nie rozpieczętowane. Byłem Rosjaninem! Przeżywałem to

bardzo ciężko. Tu, w Polsce, też mi się zdarzyło parę bolesnych przygód. Jechałem na wykład, słabo znałem drogę i na Placu Dzierżyńskiego pytam młodą kobietę łamaną polszczyzną: gdyby mi pani powiedziała... gdzie będzie Plac Zamkowy. - A, nie, nie - mówi, oczywiście słyszała, że zaciągam z rosyjska - musi pan jeszcze daleko jechać i potem znowu zapytać. - Zapatrzonny w jej czarujący uśmiech dojechałem na koniec miasta i spóźniłem się na wykład. Tak było nie jeden raz. Podchodzili do nas ludzie bardzo wrogo nastawieni, spotkało to też Jurę Apresjana. Wyjaśniałem kim jesteśmy i konczyło się uściskiem dłoni. Prawda, ci ludzie bywali podpici. Ale ja to rozumiem. Uraz mi pozostał, bo kiedy dziś byliśmy na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, wolałem nie mówić po rosyjsku... Cóż robić? Miałem poczucie, że jestem osaczony. Na każdym kroku. Codziennie mnie spotykała jakaś nieprzyjemność, z zupełnie nieoczekiwanej strony, a jak nie mnie, to moją rodzinę albo przyjaciół. Mój nastrój stawał się coraz gorszy. Byłem przyzwyczajony do życia w atmosferze miłości. Szukałem jej, gdzie się dało. Kochałem kobiety, rodzinę, przyjaciół. I nagle stwierdziłem, że nienawidzi dookoła mnie, i we mnie też, jest więcej niż miłości. Po nocach śniły mi się nie piękne dziewczyny, tylko nienawistna morda mojego szefa, szpicla z KGB. Czulem, że zsmieniam się w zwierzę. Nienawidziąc żyć nie wolno. Przestały mnie cieszyć dzieci, góry. Cały czas żyłem jakbym był zaciśniętą pięścią. Chciało mi się wyć. A to dla mnie wcale nie jest charakterystyczne, nie jestem agresywny z natury... I w takim stanie ducha przelała się ostatnia kropka. Miałem szczęście poznać Sacharowa. Bynajmniej nie z racji polityki. On interesował się modelowaniem psychiki, jako fizyk. I nasi wspólni znajomi powiedzieli mu, że jest taki to a taki językoznawca, który zajmuje się podobną problematyką. Dali mu moje prace, bardzo mu się spodobały i poprosił o rozmowę. Z ogromną radością stawiłem się na spotkanie. On mi się strasznie spodobał, ja jemu też najwyraźniej, bo po jakimś czasie chciał, żebym mu pomógł w rozwowie z korespondentami zagranicznymi, potrzebny był tłumacz. Zgodziłem się. I tym samym można powiedzieć, przekroczyłem granicę strachu. Zupełnie mi do głowy nie przyszło odpowiedzieć Andriejowi Dimitrijewiczowi, że boję się w białej, słoneczny dzień, w centrum Moskwy, tłumaczyć rozmowę z obcymi korespondentami, chociaż mógł tam przyjąć każdy i chociaż sama rozmowa była akurat o człowieku, którego pobito po spotkaniu z Sacharowem. Takie przypadki zdarzały się wtedy dość często... Jedna rozmowa, druga, dobry tłumacz, Sacharow poprosił mnie jeszcze. I jakoś w tym samym czasie aresztowano Sergieja Kowalowa, fizyka, którego znajomego ze wspólnych seminariów. Zamknęli go, bo pomagał tacie litewskiego rybaka Kuderki, który uciekł za granicę. To osobna historia, bardzo skomplikowana. Oskarżyli go też o współudział w wydawaniu "Kroniki tiekuszczych sobytii"<sup>1</sup>. Za to smno aresztowano później Szechanowicza. Kowalów dostał osiem lat więzienia, mimo że już w czasie procesu był ciężko chory. Podejrzano raka jelita grubego. Władze uparły się, żeby operację przeprowadzić nie w normalnym szpitalu, tylko w szpitalu więziennym.

<sup>1</sup> "Kronika Wypadków Bieżących" - wydawnictwo samizdatowe (przyp. red.)

Kowalow i jego rodzina nie szadzali się, bo były takie wypadki, Gałanskaj na przykład, że w warunkach więziennych ludzie umierali na rwykły wyrostek. No i ja, nie będąc przyjacielem Kowalowa, co najwyżej jego kolegą, choć bardzo go szanowałem, na prośbę jego najbliższych przyjaciół zabrałem się do zbierania podpisów pod petycją, żeby władze poszły po rozum do głowy i zgodziły się na operację w normalnym szpitalu. Przecież on nie był osądzony na śmierć, tylko na osiem lat więzienia! I okazało się, że nikt spośród członków Akademii, nikt ze świata uczonych nie zgodził się podpisać. Nawet Engel'and, jego ukochany nauczyciel. To było dla mnie niepojęte. Chodziło o życie człowieka. Żadnych politycznych sformułowań w petycji nie było. Czyste, sprawiedliwe miłosierdzie, nawet z radzieckiego punktu widzenia. I tu zrozumiałem, że nie mam prawa milczeć, bo wziąłbym udział w mordzie. Kowalow miał krewotoki codziennie, były już przetrzuty. W tym czasie mieszkał w domu Łarysy Bogoraz, która pojechała na zesłanie za Marczenką, żeby być blisko niego. Oddała nam swój dom, tam trzeba było całą zimę palić w piecu, żeby nie zmarzło. Więc zimą mieszkaliśmy z żoną i dziećmi w jej domu, koło Kaługi. Tam dostałem wiadomość, że w Moskwie przebywał mój kolega z Kanady. Mimo ciężkiej grypy zdecydowałem się natychmiast. To była jedyna szansa. W kraju mnie nikt nie usłyszy. Jeżeli wyślę protest za granicę, a na czołwieku mogłem polegać, usłyszą mnie na pewno. Wróciłem do Moskwy i napisałem list do "New York Timesa". O dwóch ludziach: Kowalowie i Sacharowie. Napisałem, że czcigodni uczeni, którzy boją się zabrać głos w obronie ciężko chorego człowieka, Kowalowa, bez najmniejszych skrupułów wieszają psy na Sacharowie wypominając mu, że ma 5 samochodów, że ukradł państwowe pieniądze, zarzucając mu niestworzone rzeczy - a to jest absolutnie nieposzlakowany człowiek, to jest człowiek święty... Napisałem ten list, dałem kolede z Kanady, no i dopiero mnie usłyszeli. Właśnie dlatego, że nie byłem dydyntem, właśnie dlatego, że nie byłem nigdy przedtem represjonowany, aresztowany. Zrobił się szum. Po dwóch miesiącach wyrażono mnie z Akademii. Znalazłem się na ulicy. Zaczęłem dawać lekcje języków, nielegalne, bo oficjalnie nie było mi wolno. Nie miałem dyplomu nauczyciela języków obcych. Uczylem więc w domach. Ludzie specjalnie szli do mnie, żeby mi płacić. W tej formie mi pomagali. To było wcale przyjemne zajęcie, z pożytkiem dla mnie i dla moich uczniów. Zarabiałem lepiej niż jako starszy pracownik naukowy w Akademii Nauk. Lida, moja żona, też pracowała nienajgorzej zarabiając. Ale ponieważ moje dochody były nieoficjalne, zaczęli mnie wyzywać na milicję i żądać żeby podpisał, że jestem pasywnym społecznym. Jak Brodski. A to w najlepszym razie znaczy wysiedlenie z Moskwy, bez sądu. Mając takie przyznanie milicja może zesłać z miasta dokądkolwiek. I koniec. Powrotu nie ma. Kontaktów z cudzoziemcami, sposobu, żeby cię ktoś usłyszał, nie będzie. Do tego mogli jeszcze posadzić na trzy lata, na pięć, albo zwyczajnie zatłuc. Tak jak zatłukli Kostię Bogatyrjowa. To się zdarzało już przedtem. Lida traciła rozum ze strachu, wychodziła po mnie do metra, kiedy wracałem do domu późno, co nie zawsze było dobre, bo nie zawsze wracałem sam. Ona uważała, że jak będziemy we dwoje, dwojga nie zabiją... Więc wyjechać nie widziałem żadnego. Wyjechać nie chciałem. Przerabiał

mie to, miałem wokół tyłu ludzi, z którymi się zrosłem. Jak ich zostawić? Miałem syna z innego związku, przecież nie daliby mu paszportu...

J.Ch.: A kraj, co Pan czuł do swojego kraju?

I.M.: Wie pan, o nas mówiono, że my, Żydzi, nigdy nie kochaliśmy ojczyzny, nie rozumieliśmy Rosjan. Ale Wala Turczyn, z którym byłem w Moskwie bardzo blisko, współpracownik Oli Kulaginy, matematyk, czy Jura Oriow, fizyk, o mało co życia nie stracił w więzieniu, też wyjechali. A to stuprocentowi Rosjanie, głęboko zakorzenieni w rosyjskości. Bo z ojczyzną jest jak z miłością do innego człowieka. To druga strona tego samego. To pragnienie kontaktu w ustalonej formie. Miłość do ojczyzny znaczy: chcesz być z nią i chcesz, żeby ona uznała cię za swojego obywatela. Ja miłość do Rosji utraciłem, ponieważ wykopano mnie stamtąd jak świnie, kopniskiem w zad. Wyjechałem nie dlatego, żeby się przestraszyć. Wyjechałem, bo w całym tym ogromnym kraju nie znalazł się nikt, kto przemówiłby choćby jedno słowo, nie za mną nawet, ale za Sacharowem. Jeden Jura Apresjan, mój przyjaciel, pisał protesty, no i przysięgli dysydenci. Ale spośród ludzi zwykłych, neutralnych politycznie, nikt się za nimi nie ujął. To znaczy, że cała ta kolosalna warstwa uczonych, w którą wrosłem, o której myślałem, że mnie akceptuje, lubi, okazała się obojętna. Ja bym to przeboleł, gdyby chodziło tylko o mnie, ale Sacharow, Sacharow - jak to było możliwe?!!!

J.Ch.: Nie za dużo Pan oczekiwał od swoich kolegów?

I.M.: Odpowiem pośrednio, inną historią. Już po moim wyjeździe umarła mi siostra. Na raka. Męczyli ją do ostatniej sekundy życia, nie puszczali do mnie i nie przyjmowali do szpitala. To był przypadek nieuleczalny. Taka osobliwość Związku Radzieckiego... Niemcy też zabijali ludzi. Potrafię sobie wyobrazić, że moją siostrę zabijają jako Żydówkę, albo jako wroga Rzeszy. Ale trzy, są chore na raka kobietę w domu, nie puszczają jej do szpitala, kazać, żeby umierała powoli, bez pomocy lekarskiej, bez środków przeciubólowych - tego sobie wyobrazić nie mogę. I nie było winnych. Nie było nikogo konkretnego kto wydał takie polecenie. Ot, wina systemu. Mówię panu, że Polska to jest ostatnie miejsce, gdzie ludzie jeszcze potrafią pojąć co to takiego ten system radziecki. Dalej na Zachód człowiek, który połowy życia nie spędził pod jego panowaniem nie potrafi go zrozumieć. Słowa są tu bezradne. To gorzej niż u Kafki. Kafkę można zrozumieć, ale systemu radzieckiego niepodobna.

J.Ch.: Znalazł się Pan na Zachodzie, w obcym środowisku, ale naukę mógł Pan już uprawiać w innych warunkach. Jak Pan sobie radził? Czy zachodnie środowisko naukowe lepiej sprzyjało Pana usposobieniu czy znalazł Pan też nareszcie swobodę tworzenia?

I.M.: Bezsprzecznie. Nie mam żadnych wątpliwości. Znalazłem super swobodę. Mogę robić wszystko, czego dusza zapagnie. Mam obowiązek sześciu godzin zajęć tygodniowo. Tematy wybieram sam. Żadnych programów nad sobą, żadnej kontroli. Ja jestem najwyższym autorytetem, ja decyduję, co to jest semantyka, co powinni robić moi

studenci. Mam pięć miesięcy w roku wolnych i świetnie zarabiam. Do tego dochodzą wszystkie techniczne udogodnienia, komputery itd. I w tym sensie otrzymałem całkowitą swobodę twórczości naukowej. Przez 10 lat życia w Kanadzie opublikowałem więcej niż przez całe poprzednie życie w Rosji. Ale nie byłoby porządku powiedzieć tylko tyle. Jasne, że na Zachodzie udało mi się zrealizować to, co rozpocząłem w Rosji. Mój zachodni dorobek nie świadczy o najlepszych warunkach... A teraz, co to takiego środowisko naukowe na Zachodzie? Jest to coś zupełnie innego niż w Rosji. W pewnym sensie takiego środowiska naukowego jak w Rosji na Zachodzie nie spotkałem. Nie żyję w izolacji. To byłaby przesada, nie jest to też pustynia. Żyję na obrzeżach terytorium, gdzie człowieka od człowieka dzieli wielka przestrzeń i gdzie funkcjonuje z rzadka bardzo wygodny transport, ale nikt nie ma szczególnej chęci odwiedzać innych. Można, jeśli tego zapragniesz, ale mało kto to robi. Każdy człowiek tworzy swój odrębny świat. Chcesz pisać - pisz. Chcesz wydawać - wydawaj. Kto przeczyta, ten przeczyta. W Niemczech przeczyta jeden, w Polsce przeczyta wielu. W USA na pięciu różnych końcach kraju przeczytał ten i ów i dał o sobie znać. Innych nic to nie obchodzi. Kiedyś wyobrażałem sobie, że tak właśnie powinno być. I bardzo się tego bałem. Okazało się jednak, że mi to wcale nie przeszkadza. Okazało się, że takiej potrzeby nasyconego bliskimi kontaktami życia naukowego jak w ZSRR już nie mam. Żyję samowystarczalnie. Mam mało radości. Ale nie mam też żadnych przykrości. Jest równomierna, przemyślana egzystencja, wszystko co robisz, robisz na własny rachunek, całkowicie za to odpowiadasz, jesteś panem samego siebie. Jeżeli poprosisz, pomogą ci, ale nikt sam się nie waleesa, ani z ciekawości, ani z przyjaźni. Ja się do tego życia przyzwyczaiłem. I teraz uważam je za jedyne właściwe. Trzy tygodnie w Polsce to święto, ale nie można świętować ciągle. Czy chciałbym znów żyć w atmosferze takiego nieustającego, nasyconego święta, bardzo trudno jest mi odpowiedzieć. Zdaje mi się, że nie. Trochę dlatego, że mam swoje lata, a trochę dlatego, że człowiek w normalnych warunkach politycznych i społecznych za normalne uważa właśnie takie życie. W Rosji tyliśmy inaczej, bo gdziekolwiek się ruszyć, czuliśmy na sobie nieznośny ciężar. Soki z nas ciekły od tego ciężaru i żeby się jakoś ratować, zbijałyśmy się razem. Lokciami rozpychałyśmy napor z zewnątrz. Gdy takiej presji nie ma, ludzkie więzi słabną. Widzę to bardzo wyraźnie. Jeżeli byłoby mi dane zorganizować swoje życie całkiem według woli, chciałbym mieć nieograniczone politycznie i materialnie możliwości spotykania się ze swoimi przyjaciółmi i kolegami, przede wszystkim z Rosji, a potem z Polski i z innych krajów. Tylekroć, ilekroć oni i ja tego zapragniemy. Wtedy uważalibyśmy, że żyję jak sam Pan Bóg. Teraz żyję nie jak Pan Bóg, ale jak normalny, szczęśliwy, samowystarczalny człowiek Zachodu. I na nic się nie uskarżam.

J.Ch.: Nasze pismo jest rzecznikiem idei wspólnoty komunikacyjnej w obrębie Europy Środkowej. Chodzi o to, żebyśmy przewyżczyli złe dziedzictwo winionych epok i przestali wysłać w kategoriach swój - obcy, a zaczęli doszukiwać się, mimo granice polityczne i w jakimś stopniu kulturowe, wspólnych interesów i języka -

uczni, pisarze, intelektualiści, artyści, opozycjoniści. Czy taka wspólnota komunikacyjna jest Pana zdaniem utopią czy ma jakieś szanse zaistnieć?

I.M.: Myślę, że nie sudił pan tego pytania przypadkiem wiedząc, że swoje życie poświęciłem zbudowaniu jednolitego języka, którym mogliby się komunikować lingwiści. Uważam, że jest to zadanie nadzwyczajnej wagi. Cała moja praktyka i doświadczenie życiowe przekonują mnie, że 90% konfliktów między ludźmi, zawodowych, a nawet osobistych, bierze się z nieporozumień. Każdy człowiek zakłada, że jego partner, rozmówca lub przeciwnik wychodzi z tych samych przesłanek, a tak prawie nigdy nie jest. W efekcie rozmowa toczy się na dwóch nie przecinających się płaszczyznach, co prowadzi do straty sił, czasu i najważniejsze - potencjału ducha ludzkiego. Ludzie dochodzą do przekonania, że żyją całkowicie wyizolowani od innych. Tymczasem to jest nieprawda. Gdyby mnie ktoś zapytał co ja robię przez całe życie, odrzekłbym: próbuję zbudować system umożliwiający porozumiewanie się lingwistów. Oczywiście samo w sobie nie może to pomóc socjologom albo prawnikom międzynarodowym w rozumnym określeniu takich pojęć jak "prawa człowieka" czy "naród". Nie jest to jeszcze fundament porozumienia w ogóle, ale na pewno jeden ze szkieletów wielkiego gmachu.

J.Ch.: Czy widzi Pan przyszłość jako uniwersalizm oparty na wspólnym języku ludzkiego myślenia?

I.M.: I tak, i nie. Ja uważam się za zwolennika rzeczy uniwersalnych na poziomie logicznym. Zakładam, że w świecie rzeczy realnych uniwersalia nie występują. Staram się wydzielać pojęcia językowe kierując się tą właśnie zasadą. Co to jest podmiot, na przykład? To jest taka grupa imienna, która okazuje się najbardziej uprzywilejowana w swoim języku. I te ostatnie słowa - w swoim języku - zakorzeniają uniwersalną definicję w rzeczywistości. Czyli na poziomie realizacji różnicę, w głębi tożsamość. Cały świat staram się tak właśnie interpretować.



# Andrzej Bogusławski

## UCZENI UCZONYM ZGOTOWALI TEN LOS

W 100-lecie początków murrayzmu i z  
50-lecie śmierci Eugeniusza Poliwanowa

W roku 1988, dokładnie 25 stycznia, minęło 50 lat od chwili, kiedy został rozstrzelany, prawdopodobnie jako rzekomy "szpieg japoński", jeden z najwybitniejszych językoznawców i orientalistów, w szczególności japonistów i turkologów, radzieckich, krytyk "murrayzmu" - profesor Eugeniusz Dmitriewicz Poliwanow. Przeżył on o niewiele ponad trzy lata jednego ze swych nauczycieli uniwersyteckich, a także starszego kolegę akademickiego, z którym prowadził przez pewien czas korespondencję naukową i który go cenił bardzo wysoko, zmarłego w roku 1934 językoznawcę i kaukazologa o wielkim dorobku naukowym, akademika Mikołaja Jakowlewicza Marra. Marr umierał mając 69 lat, Poliwanow - tylko 46.

Państwowi mordercy, realizatorzy "wielkiego terroru", przeciwni bujne, a nie do końca spełnione, życie niepospolicie utalentowanego uczonego, którego prace, zapewne noszące w swych istotnych częściach nawet znamiona geniuszu, dały m.in. początek głośnym osiągnięciom teoretycznym Romana Jakobsona w dziedzinie fonologii /co sam Jakobson wyraźnie podkreślał/, a także w jakimś sensie zwiastowały idee rozkwitającej w ostatnich dziesięcioleciach tzw. fonologii generatywnej /bezpośrednio wywodzącej się ze słynnej pracy Jakobsona o koniugacji z roku 1948/. Dodajmy, że owi mordercy przeciwni także aktywność Poliwanowa jako oddanego członka partii komunistycznej /ograniczoną już zresztą wcześniej, podobnie jak jego działalność naukowa, represjami "umiarkowanymi", takimi jak daleko posunięte utrudnienia w publikowaniu prac/.

Oskarżenie Poliwanowa o robotę antyradziecką było fałszem /został zrehabilitowany w roku 1963/, ale nie było pomyłką. Była to tylko krańcowa forma wpisanych w system stalinowski represji wobec wszelkich objawów niezależności od aktualnie ukształtowanych struktur władzy; w tym wypadku represji spadających przez z górą dwa dziesięciolecia na tych językoznawców, którzy ośmielili się unikać podporządkowania oficjalnemu wcieleniu marksizmu w językoznawstwo, jakim została już w latach dwudziestych /złazacza w drugiej ich połowie/ obwołana tzw. "nowa teoria języka" /"nowo-je uczenie o języku"/, znana też pod krótszym mianem "murrayzmu", "teoria" wyłaniająca się z publikacji i wystąpień Marra, a następnie jego adherentów oraz wykorzystujących autorytet i pozycję Marra arrywistów.

Rocznicowe przypomnienie, jakie zamierzam tu podjąć, nie bę-

dzie dotyczyć szczegółów dorobku Poliwanowa, ważnego dla ekspertów w bardzo specjalnych dziedzinach oraz losów tego uczonego, lecz właśnie fenomenu, którego ofiarą padł, bardziej zaś jeszcze kluczowej dla tego fenomenu postaci samego Marra.

Marryzm i "arekcejszewski reżym", jaki zaprowadzili w językoznawstwie radzieckim jego proponenci /w ten sposób miał pod koniec życia napiętnować ich rządy sam Stalin/, nie był oczywiście tworem odosobnionym w nauce radzieckiej. Stoi on w jednym rzędzie z bardziej znanym /choćby ze względu na charakter i znaczenie dyscypliny/ władztwem Łysenki, Lepieszynskiej i innych w biologii radzieckiej, ze "żdanowizmem" i podobnymi zjawiskami, które wycisnęły tak fatalnie piętno na całej kulturze radzieckiej epoki stalinowskiej. Socjologiczna istota marryzmu nie jest szczególnie tajemnicą. Jak gdzieś indziej, chodziło tu o obracający się wokół pewnej aberracji, naideologizowany ruch pseudoteoretyczny, wykorzystywany przez centrum dla pełnej totalitaryzacji społeczeństwa, a jednocześnie przez całe gromady ludzi "z głową na karku" dla celów grupowo- i indywidualno-karierowiczowskich.

Osobliwością marryzmu był właściwie tylko fakt, że paradoksalnie, został on potępiony i rozgromiony /w roku 1950/ przez tego, na którego ołtarzu, z punktu widzenia tego ołtarza chyba z dobrym sensem, składał swe ofiary, tzn. przez Stalina. Była to naturalnie przypadłość raczej incydentalna. Pod koniec życia Stalin chciał się kreować na koryfeusza w kolejnych dziedzinach wiedzy /językoznawstwo nie było ostatnią: po nim przyszła jeszcze kolej na ekonomię polityczną/, a szkolne banały na temat rzeczy tak wszystkim bliskiej, jak język, tak niespecialistycznej, nadały się do tego celu znakomicie /banały te przemieszane były zresztą ze sformułowaniami pustymi, niezdarnymi lub ryzykownymi, jak na przykład teza o kursko-orłowskiej kolebce współczesnego ogólnego języka rosyjskiego/. Jednocześnie, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, odegrały tu rolę antymarrystowskie interwencje gruzińskich ziomków Stalina związanych ze starą tradycją językoznawczą, wśród nich zwłaszcza profesora Czikobawa /którego podręcznik, niemal archaiczny, stał się natychmiast jedną z głównych ksiątek językoznawczych w uczelniach radzieckich/. Nie trzeba dodawać, że ostatnie lata życia Stalina i parę lat po jego śmierci wypełniły w językoznawstwie radzieckim niewiele lepsze od marrystowskich rządy administratorów "stalinowskiej nauki o języku": o torze mogły przyprowadzić praktycznie we wszystkich publikacjach językoznawczych owego okresu nie kończące się panegiryki na cześć Stalina, przetwarzanie jałowej sieci "teoretycznej", kompletne osterwanie od żywej problematyki i dorobku językoznawstwa światowego.

Marryzm był jedną z wielu gnilnych narośli wytworzonych przez tę niesłychanie wybujałą formę choroby totalitarnej, jakiej uległ organizm społeczeństwa radzieckiego.

Aspektem szczególnym tej narośli, który nas tu będzie interesować, jest udział w jej tworzeniu się autentycznych uczonych, choć odpowiedzialność. Ogólnie rzecz biorąc, znana jest ta smutna, a zarazem jakoś dziwna prawda, że tryby totalitaryzmu chwytają i obywatela oraz znakomicie spożytkowują również środowiska akademickie i poszczególne uczone.

W naszym wypadku chodzi o senega Marra. Jaka była jego rola w

lossach językoznawstwa radzieckiego? Czy jest kolejnym przykładem apręgnięcia uczonego dużej miary w służbę złej sprawie? A w obliczu tragicznej śmierci Poliwanowa nasuwa się pytanie, trzeba przysnąć, brutalnie: czy na Marrze ciąży jakaś część winy za tę niepośtetowaną stratę dla nauki radzieckiej i światowej?

Rozpocznijmy od krótkiego szkicu biograficznego.

Marr /ur. 1865/ był synem Szkota, kierownika szkoły rolniczej, a także założyciela dużego ogrodu botanicznego w Kutaisie, i pięknej Gruzinki ze wsi Guria, z którą zresztą miał z powodu trudności językowych niewiele rozmawiał. Sam próbował uczyć Mikołaja, rzecz ciekawa, języka francuskiego, a nie angielskiego. Odmarił go wcześniej, w osmych roku życia Mikołaja. Matka klepała po śmierci męża biedę. Jedynie rzucające się w oczy zdolności młodego chłopca, potem gimnazjisty, pozwoliły mu po różnych kłopotach skończyć gimnazjum /które zresztą przedłużył, na zasadzie specjalnego uporu, tylko po to, by doskonale opanować grekę/, a następnie dostać się na Uniwersytet Petersburski; miał do studiów językoznawczych, zwłaszcza kaukazologicznych, przygotowanie świetne: 3 lat chłopięcych wyniosł praktyczną znajomość języka gruzińskiego, ormiańskiego, tureckiego /dłuższy czas mieszkał z matką niedaleko granicy tureckiej i bawił się z tureckimi rówieśnikami/, później wyuczył się dobrze języka rosyjskiego, łaciny, greki, francuskiego. Co się tyczy kłopotów, o jakich wspominałem, wiązały się one przede wszystkim z wyraźnymi objawami niezrównowadzenia; sam Marr wspomina w pewnym miejscu, że w gimnazjum zerwał z wiarą wpajaną mu przez bardzo pobożną matkę, a następnie w przystępie jakiegoś szału zrzucił i deptał ikony w klasach.

Na Uniwersytecie studiował Marr naraz język ormiański, gruziński, arabski, perski, turecki, hebrajski. Wcześniej też rozpoczął pracę badawczą nad wieloma językami. W roku 1888 23-letni student czwartego roku opublikował w gazecie "Iweria" kilkunastnicowy artykuł w języku gruzińskim pt. "Natura i właściwości języka gruzińskiego". Ten właśnie młodzieńczy artykuł można uznać za początek "marryzmu". Była to mianowicie pierwsza próba sformułowania pomysłu o pokrewieństwie języka gruzińskiego z językami semickimi, pozysiu, z którego wyrosła potem cała "teoria jafetycka" uczonego, a w ślad za tym nieszczęsna "nowa teoria języka". Nauczyciel Marra, arabista profesor Rozen przepowiedział zupełnie fiasko pomysłu /nb. tuż przed śmiercią, w roku 1908, miał na ten temat inne zdanie/. Atmosfera uniwersytecka ogólnie nie sprzyjała afiszowaniu się Marra ze swą ideą.

Po ukończeniu Uniwersytetu Marr chciał wrócić na stałe lub na dłużej do stron rodzinnych. Ale zarówno polityka rusyfikacyjna władz, jak i konflikty z Ormianami i Gruzinami z powodu jego poglądów historyczno-językowych i historyczno-literackich /miano mu za złe wykrywanie wpływów perskich/, spowodowały, że Marr musiał się udać ponownie do Petersburga. Objął tam, zresztą również wśród konfliktów, katedrę języka ormiańskiego na Uniwersytecie.

Lata dziewięćdziesiąte, a następnie okres przedrewolucyjny w wieku XX wypełnia Marrowi intensywna praca naukowa w zakresie głównie badania i publikowania zabytków starogruzkańskich i starormiańskich, etymologii gruzińskiej, ormiańskiej i innej, po części historii literatury Kaukazu oraz archeologii tego obszaru /wykopaliska w Ani w Armenii/.

Marr nie rozstał się jednak ze swą ideą pokrewieństwa języ-

ka gruzińskiego z językami semickimi. W kilka lat po obronie odpowiednika naszej pracy doktorskiej, w roku 1908, publikuje pracę pt. "Podstawowe tablice do gramatyki języka starogruzińskiego ze wstępnym komunikatem o pokrewieństwie języka gruzińskiego z językami semickimi" /w języku rosyjskim/. Od tego mniej więcej czasu datuje się coraz śmielsze rozwijanie i propaganda myśli "jafetyckich", tzn. myśli o pokrewieństwie licznych języków kaukaskich i ich nawiązaniach do wciąg nowych i coraz odleglejszych języków, a wreszcie hipotez na temat rozwoju języków i społeczeństw w ogólności wykorzystujących także obserwacje z zakresu kultury materialnej i duchowej, religii itd.

Po rewolucji październikowej, w latach dwudziestych, mającemu już bardzo wysoki status akademicki /lista jego publikacji pod koniec życia przekraczała liczbę 400/ pochlebcy podsuwają opinię, wedle której jego idee na temat języków, kultur i rozwoju społecznego są zgodne z marksizmem, a nawet mogą być traktowane jako właściwe rozwinięcie marksizmu w zastosowaniu do języka. Zostaje rzucony termin "nowa teoria języka". W całym ZSRR rozpętano kampanię przeciwko tradycyjnej "komparatystyce barzauzyjnej", zwłaszcza indoeuropeistyce. Między lojalnością wobec ustroju a wyznawaniem "nowej teorii języka" zostaje postawiony znak równości. Już w latach dwudziestych powstaje Instytut Jafetycki Akademii Nauk ZSRR, gdzie prowadzi się prace kaukazologiczne odpowiadające Marrowi; ale Instytut ten staje się też centrum indoktrynacyjnym w znacznym szerszym zakresie.

W roku 1933 mija 45 rocznica opublikowania studenckiego artykułu Marra. Rozpoczynają się obchody jubileuszowe. Akademia Nauk inicjuje wydawanie wielotomowych "Wybranych prac" Marra. Apoteoza Marra i nasilenie propagandy wokół marrayzmu sięga zenitu. W roku 1934 Marr umiera. W niczym nie zmienia to pozycji marraystów, tzn. rozlicznych profesorów-politruków od "nowej teorii języka". Dochodzi do czystek personalnych w instytutach i na uczelniach oraz licznych represji. Los może najbardziej wymownego i prostolinijnego krytyka, potępionego na łamach wychodzącej wówczas encyklopedii, Poliwanowa, został przesądzony.

Co można powiedzieć, oczywiście w wielkim skrócie, o zawartości "jafetyzologii" i "nowej teorii języka"?

Nazwa "języki jafetyckie" została ukuta przez Marra z odwołaniem do biblijnej historii trzech synów Noego: Sema, Chama i Jafeta. Chodziło mu o zasugerowanie hipotezy o pokrewieństwie języków semickich, chamickich i przynajmniej części języków Kaukazu, wśród których upatrywał bliższe pokrewieństwo, zaczynając od gruzińskiego i ormiańskiego /ten ostatni jest językiem indoeuropejskim i przez indoeuropeistykę nie jest w żaden sposób łączony z gruzińskim/. Dla tych właśnie języków przyjął Marr nazwę "jafetyckich". Na Kaukazie jednak nie poprzestawał. Poszukiwał dalszych języków jafetyckich. Zaliczał do nich przede wszystkim język babiloński, etruski, język werszyjski w Pamirze; od pewnego czasu zaczął mówić jako o rzeczy ustalonej i niesłychanie doniosłej, że to tej samej rodziny należy język czuwaski i że w ślad za nim trzeba wysłędzić o włączeniu do obrazu języków turko-tatarskich. Dalsze powiązania dostrzegał również z językami indoeuropejskimi /zwanyimi przezeń "prometeidzkimi"/, japońskim i innymi. W końcu był skłonny przyjąć tezę zbliżoną do Trombettiego /z jego teorią tzw. "monogenezy języków"/ o łańcuchu ogarniającym cały świat.

Tego rodzaju wizja wiązała się z teorią radykalnie mieszanego charakteru wszystkich języków; Marr podkreślał, że idzie on w tym dalej niż przedtem Schmidt lub Schuchardt. Języki powstają przez nakładanie się różnica chronologicznie warstw pochodzących, być może, niekiedy z niesłychanie odległych czasów i terytoriów. Zasadniczą rolę przy tym mają odgrywać symbole totemiczno-plemienne związane z koleją z procesami podbojów, ustalania się klas rządzących i niewolnych itd. Przy takim podejściu Marr bardziej rozluźnił rygory zestawień materiału z różnych języków. Stanowczo odrzucał coś, co uważał za przeżyty dogmat klasycznej indoeuropeistyki i komparatystyki, mianowicie tezę o rozstrzągającej roli obserwacji gramatyczno-morfologicznych dla ustalenia pokrewieństwa. Twierdził, że fakty leksykalne powinny być uwzględniane w tej samej mierze oraz że szczególna rola powinna przypadać rozstrząsaniem funkcjonalno-znaczeniowo-ideologicznym.

Ogólna opinia specjalistów głosi, że mimo wielkiej erudycji Marra jego dowody na istnienie rodziny "jafetyckiej" są zbyt skąpe. Wiele jego konkretnych etymologii to rażące błędy, w których pomija się na rzecz skojarzeń zewnętrznych fakty ustalone przez historię poszczególnych języków /tak że jakaś zestawiana forma współczesna powinna być zastąpiona zupełnie odmiennym jej wcześniejszym stadium, co by jednak hipotezę Marra zawieszło w powietrzu/. W sumie niewiele zostało z rozległych konstrukcji genealogicznych Marra. Jego zaś idea o ważnych dla wszystkich języków czterech pierwotnych znakach totemicznych, które nazywał on A, B, C, D, a także których brzmienie pierwotne przybliżał za pomocą sylab SAL, BER, JON, ROSZ /upatrywanych potem pod najbardziej oddalonymi postaciami w najrozmaitszych wyrazach/, stała się symbolem niemal obłędu Marra.

Do tych wizji genealogiczno-językowych Marr dołączył wyśli językowo-historiozoficzne i językowo-socjologiczne brzmienie bardzo po marksistowsku.

Wyliczę główne punkty. Język ma charakter klasowy; od dawien dawna różne klasy mówiły różnymi językami, przejmowały języki od siebie, mieszały je. Język należy do nadbudowy i wyraża różną świadomość społeczną, zależnie od charakteru klasowego. Pierwotnym językiem był język rączny; język dźwiękowy rozwinął się bardzo późno, wraz z powstaniem potrzeb klasowych /znaki totemiczne/. Język rozwija się skokami i reprezentuje różne "stadia", które odbijają się w języku w postaci określonych warstw elementów; niektóre stadia mogą być pominięte, "przeskoczne" w rozwoju /tak na przykład język niemiecki oceniał Marr bardzo pozytywnie jako taki, który przeszedł szybko od stadium archaicznego do stadium pozwalającego mu obsługiwać potrzeby współczesne/. Przyszłość, dla której należy pracować, to epoka języka zunifikowanego, jednolitego dla całej ludzkości i naturalnie powiązanego z ustrojem komunistycznym triumfującym na całej Ziemi.

Wróćmy teraz do głównego interesującego nas tu problemu, problemu odpowiedzialności.

Istnieje opinia, zgodnie z którą Marr był po prostu człowiekiem cierpiącym na pewnego rodzaju dewiację umysłową, opisaną przez rodzaj manii. Za całe sło marryzmu odpowiedzialiby wówczas jego pomniejsi propagandyści i administratorzy. Przeczy temu jednak argument tych, którzy, jak akademik Orbeli, wybitny orienta-

liście radziecki, również chcą całą winą obciążyć otoczenie Marra; wskazują oni na wątpliwości, jakie żywił Marr na temat swej jafetydologii i jakimi się dzielił oraz na to, że o "nowej teorii języka" chętnie nie mówił w ogóle /por. K.N. Juzbaszjan, Akademię K. N. Juzbaszjan, Moskwa 1954, s. 152-153/. W liście do Polizenowa z 18 grudnia 1924 Marr przyznawał, że włączenie jego "oczek w głowie", języka czuwaskiego, do rodziny jafetyckiej ma w sobie "coś nieprawdopodobnego". O zwykłym szalenstwie, o ułomności intelektualnej trudno jest więc mówić.

Więc może być Marr zamkniętym w wieży z kości słoniowej wybitnym uczonym, oddanym wyłącznie swym czystym badaniom, niezależnie od tego, komu mogłyby sprzyjać, któremu po prostu zdarzyło się mieć pewne ryzykowne lub nawet całkiem niedoważone pomysły lingwistyczne i historiozoficzne? Jego bezinteresownie rzucane myśli miałyby być niecznie wykorzystane przez marrystów kryjących się za plecami nie bardzo świadomego tego, co się wokół dzieje, koryfeusza.

Niestety, lektura oryginalnych tekstów Marra przekonuje, że wataśkowie czy inkwizytorzy "nowej teorii języka" w każdym razie bogli z zupełnym powodzeniem wskazywać jako na Torquensdę - na swego mistrza. Mistrz ten był uczonym i najpewniej w żadnym stopniu nie był policjantem; ale dawał on policji - niezależnie od intencji - potrzebne teksty ideologiczne i wręcz polityczne, i to teksty mało różniące się co do istoty od mnóstwa enuncjacji tego typu, z jakimi wieliliśmy w tym okresie do czynienia w różnych częściach społeczeństwa radzieckiego, w tym radzieckiej społeczności nukowej. W tych tekstach p u b l i c z n y c h na zadanie wątpliwości miejsca nie było. Trudno jest się oprzeć myśli o analogii - choćby oddalonej, na pewno nie wyczerpującej - wszystkim - między naszym wypadkiem a casusem miłośnika architektury, Speera.

Nie ma tu miejsca na bardzo obszerną prezentację. Ograniczę się więc do kilku, maś nadzieję, dostatecznie wymownych przykładów wypowiedzi Marra.

"Teoria jafetycka na osiągniętym przez nią etapie rozwoju całkowicie zlewa się z marksizmem, schodzi więc jako jego nieodłączną część, a w pewnych dziedzinach jest konieczna przy konkretyzacji jego tez ogólnych, tożsamy z jafetydologicznymi, na materiale nie tylko językowym, i stanowi podstawę nie tylko dla wniosków teoretycznych dotyczących nauki akademickiej, lecz także dla identycznych z marksizmem wniosków polityczno-organizacyjnych dotyczących pracy społecznej...". /"Jafetydologia w Leningradzkim Uniwersytecie Państwowym", N. Ja. Marr, Izbrannyye raboty, Leningrad 1933, s. 268/.

"Teoria jafetycka... stanowi narodowo-proletariacką antytezę feudalno-burżuazycznej tezy wielkopanstwowej. I ojczyzną tej nowej teorii jest nie uniwersytet i nie Akademia, lecz życiowe warunki społeczno-ekonomiczne poza jakimkolwiek murami z ich materią konsumenta i klasowością walki. Ujawnione na sposób lingwistyczny, nie dające się złagodzić przeciwnieństwu starego, in-  
 teuropejskiego językoznawstwa i językoznawstwa nowego, jafetyckiego to tylko odbicie materialno-życiowej antytezy współczesnych przeciwności społeczno-ekonomicznych; sygnalizuje ono obecnie, tak jak proces językotwórczy w przeszłości, walkę klasową ujawnioną przez marksizm, którego częścią staje się nowa teoria języ-

ka, jest dziecięcym współczesności i musi wzywać do nieślabnącej twórczości naukowej, do tworzenia nowych wartości naukowych i nowej bezklasowej kultury ogólnoludzkiej i do jej podstawowej na razie diwigni społecznej, nie ślabinącej walki klasowej kierowanej przez proletariat w samej naszej produkcji. Ani małoduszny odwrót, ani ugody pojednanie. Naprzód, młodsi towarzysze, nasi następcy!" /tamże, s. 272/.

"... na własnie zakończonym zjeździe kierowniczej w warunkach dyktatury proletariatu partii, XVI wszechzwiązkowym zjeździe partii komunistycznej, tow. Stalin nienagannie sformułował politykę językową w naszym kraju, co więcej - w skali światowej. Ja, zwykły pracownik naukowy, osmielam się zaatetstować sformułowanie najodpowiedzialniejszego pracownika politycznej organizacji partyjnej, oczywiście tylko z punktu widzenia swojej językoznawczej specjalności naukowej, i twierdzą, że sformułowanie tow. Stalina z zadziwiająca wyrazistością i w sposób niezwykle głęboki przedstawia jako wytyczną o charakterze politycznym tę tezę, do której teoria jafetycka doszła dzięki perspektywom absolutnie przedtem nie istniejącej ogólnej teorii języka w skali światowej... /"Polityka językowa teorii jafetyckiej i język udmurcki", tamże, s. 274/.

"Lingwistyka indoeuropejska jest krwią z krwi i kością z kości obumierającego społeczeństwa burżuazyjnego, zbudowanego na ucisku narodów Wschodu przez narody europejskie prowadzące swą worderczą politykę kolonialną" /"Teoria jafetycka", Nowyj Wostok 1924, V, s. 1/.

"Naturalnie nowa teoria językoznawcza ... w procesie swego rozwoju znalazła się w sytuacji żołnierza na pierwszej linii frontu ideologicznego... teoria "jafetycka" stała się w tej walce światowej celem najwścieklejszych i najzłośliwzych napaści, tym wścieklejszych, z im większym powodzeniem rozwiązuje podstawowy problem językoznawczy ... a niekiedy po raz pierwszy rozwiązuje zadania postawione przez twórców marksizmu-leninizmu, teoretyków-praktyków tej rewolucyjnej filozofii - Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina" /"Język i współczesność", Izwestija Gos. Akademii Istrii Materialnoj Kultury 60, 1932, s. 33/.

"Nowa teoria języka za masę innych problemów teoretycznych, rozwiązanych lub znajdujących się na drodze do rozwiązania albo wreszcie przedstawianych do rozwiązania i mających nadzwyczaj istotne znaczenie dla aktualnych zagadnień naszego budownictwa. Na przykład, zagadnienie propagandy antyreligijnej: czy można prowadzić ją z powodzeniem ignorując osiągnięcia nowej teorii języka? Twierdzą, że nie". /tamże, s. 34/.

"Nowa teoria języka ... stanowi nie dającą się niczym zastąpić na froncie naukowo-kulturalnym mało wykorzystywaną szturwą broń proletariatu w bezlitosnej walce klasowej, jaką przeżywamy... Kto mię ociąga z natychmiastowym zastosowaniem nowej teorii, a tym bardziej stwarza przeszkody w jej stosowaniu, ten hamuje wzrost masowej świadomości zadań naszego budownictwa socjalistycznego. Czas słownych popisów minął również w odniesieniu do języka". /tamże, s. 36/.

Wniosek, jaki nieodparcie nasuwają takie lektury, jest ten, że Marra od odpowiedzialności moralnej za to, co się działo w językoznawstwie radzieckim w ciągu paru dziesięcioleci, całkowicie odciążyć się nie da.

Z perspektywy czasu losy językoznawstwa radzieckiego związane z murrayzmem jawią się nam jako niewielki fragmencik rozległych zbiorowych szaleństw XX wieku, szaleństw tylekroć przeradzających się w zbrodnię. Przypomina się tu westchnienie udrczonego Niemca z łagru na północy Rosji, którego budzącą respekt i podziw postać opisał Herling-Grudziński: "O Herr Gott, wie gross ist dein Tiergarten".

X X X

**Postscriptum.** Już po napisaniu tego, co przedstawiłem wyżej, Jadwiga Wajszczak umożliwiła mi zapoznanie się z książką "Wostok - Zapad. Issledowanija. Pieriewody. Publikacii" /Moskwa 1988/ wydaną wskutek zupełnie przypadkowej zbieżności niemal dokładnie w 50 lat po śmierci Poliwanowa a zawierającą obszernie "Wspomnienia o N.J. Marrze" wybitnej przedstawicielki radzieckiej filologii klasycznej, Olgi Michajłowny Frejdenberg. Jest to tekst przedstawiony przez nią w końcu grudnia 1937 roku na posiedzeniu Instytutu filologii klasycznej Uniwersytetu Leningradzkiego /Poliwanow był już wówczas aresztowany: w 33 dni później zginął/. Tekst ten stanowi zasadniczo apologię Marra; uczona stara się też w nim spłacić dług wdzięczności wobec Marra i za inspirację naukową /była jedną z entuzjastek przynajmniej części jego idei, a zarazem jego wielbiicielką/ i za pomoc życiową i przyjaźń.

Czy lektura wypowiedzi Frejdenberg zmienia coś w obrazie przed chwilą naszkicowanym? Nie. Raczej wzbogaca wieloma interesującymi szczegółami to, co stanowi jego istotę. Trzeba dodać, że opracowująca tekst Frejdenberg N.W. Braginska zdarsza /w przypisach/ odwołała się z roku 1937 z ponad dziesięć lat późniejszymi pamiętnikami, w których autorka mówi o Marrze z wielką goryczą i, jak się zdaje, mniej "dialektycznie". Koresponduje to w wymowny sposób z wybuchającymi w wielu miejscach samych "Wspomnień" sprzecznościami, takimi jak: "... hołdował najwyższymi wartościami nauki i życia społecznego, a zarazem kochał blichtr i tombak ... imponowały mu klasa i tytuły, którymi pogardzał". "Tradycji Marr nienawidził, swoich poprzedników i współczesnych wprost nie znosił. /.../ - Spalić! - krzyczał w czasie jakiejś rozmowy. - ... Spalić wszystkie książki! Zniszczyć wszystkie autorytety!". "Wrogowie wykorzystywali jego wysoką ideowość społeczną; pisał dziesiątki opinii, w których wynosił pod niebiosa przeciwników i beztalencia, by tylko pomóc człowiekowi" /jakże to przypomina znaną frazę Gribjedowa: "Jak nie porodził rodnomu człowieczku?"/ W przywoływanych przez Braginską pamiętnikach Frejdenberg znajdujemy notatkę idącą znacznie dalej. Oto przykłady: "Fragmencik arcydzieła uciskającego imienia przytłaczającego moją indywidualność naukową. Jego bliska, jego kamaryla, nicosi, które forował ze szkodą dla nauki /.../, obłudą pochlebstw i despotyzm - wszystko to wywoływało we mnie rozdrażnienie, wstyd ..."; /w związku z ponad dziesięciokrotnym zwracaniem jej przez redaktora tekstu skłonu do "Poetyki"/ ... śladano ode mnie całkowitej rezygnacji z własnego oblicza naukowego na rzecz Marra i jego szkoły. Polemika z Marrem była zakazana..."; /o późniejszym okresie życia Marra/: "Marr nigdy nie był na zajęciach swego instytutu. Wciąż uczestniczył w jacychś posiedzeniach, ściślej, pokazywał się. Goniąc za popularnością i pragnąc słynąć jako działacz społeczny wycofywał się z o-



becności na spotkaniach naukowych i z kierowania nimi, a za to siedział na zebraniu "w sprawie walki z chuliganstwem". Wciąż myśląc o jednej rzeczy, o swojej teorii, kupował względy władzy swoją "działalnością społeczną" robioną tylko na pokaz". I jeszcze raz przeciwstawia: "... chytry, próżny, śądny władzy, niesprawiedliwy, zdumiewał duchową naiwnością, wysoką prostotą /.../, brakiem skatania jakąkolwiek interesownością i małostkowością". O jednej rzeczy nie ma mowy nigdzie: o demencji.

# ZAWSZE KTOŚ BĘDZIE PAMIĘTAŁ

## Rozmowa z Horstem Bienkiem

EUROPA: Opublikował pan list otwarty do Gorbaczowa, który został również przetłumaczony na polski<sup>x</sup>. Jesteśmy bardzo ciekawi, czy znalazł on jakiś bezpośredni lub pośredni oddźwięk.

HORST BIENEK: Jak dotąd w ogóle nie.

E.: Ale pan był w międzyczasie w Związku Radzieckim?

H.B.: Nie.

E.: W Monachium doprowadził pan do spotkania radzieckich dysydentów i oficjalnych, publicznych postaci. Czy fakt ten był jakos komentowany?

H.B.: Nie. Właściwie było to tak. Wszyscy uchodzący od Siniawskiego po Wojnowicza mieli już u nas swoje wieczory. Po raz pierwszy zorganizowałem tydzień pisarzy rosyjskich w lutym 1988 roku, tzn. pisarzy radzieckich, ale my mówimy "rosyjskich". Oni sami nie mówią już np. "Leningrad" tylko "Petersburg". A byli to w końcu pisarze z najwyższego oficjalnego szczebla, jak Wozniesienski, Anatol Pristawkin, Bella Achmadulina. Byłem z tego bardzo dumny, że jako pierwszy doprowadziłem do spotkania podczas kolacji, po odczytach, między mieszkającymi w Monachium dysydentami i emigrantami, czy powiedzmy uchodźcami - dla mnie emigranci to ci, którzy opuścili kraj dobrowolnie - a ludźmi ze szczebla oficjalnego. Pomyślałem sobie, że jeśli ktoś nie chce przyjść, czy jest mu głupio, albo obawia się trudności w Związku Radzieckim, to nie musi. Efekt był taki, że wieczorem sala była pełna. Dysydenci i ludzie "góry" obejmowali się nawzajem, ponieważ wszyscy oni byli kiedyś przyjaciółmi. Razem studiowali, razem wydawali swoje pierwsze książki. Jeden próbował być jakos w zgodzie z reżimem, drugi był zbyt hałaśliwy i go wyrzucano. Ale w gruncie rzeczy wszyscy oni byli przyjaciółmi. Problem literatury emigracyjnej czy krajowej przestał w ciągu jednej nocy istnieć. W Polsce nie istnieje on już od dawna. Od czasu, kiedy wydano wszystko Gombrowicza nie ma już literatury emigracyjnej. Może oprócz kilku autców o bardzo antykomunistycznym nastawieniu. Macie literaturę podziemną i naziemną, ale podział na emigracyjną i oficjalną nie istnieje.

E.: Istnieje teza mówiąca o jednej literaturze polskiej i teza ta zdobyła sobie uznanie.

H.B.: Idea, o której ja marzę, tzn. idea jednej wielkiej literatury rosyjskiej potwierdziła się w ciągu dwóch godzin. Zawsze wyznawałem teorię, że wszystkie te nadęte ideologie, czy mają czterdzieści, dwanaście, czy siedemdziesiąt lat, upadną kiedyś w ciągu jednej nocy. Ósmego maja 45 roku nikt nie był już faszystą i jestem tego pewien, że tak było. Jestem także pewny, że jutro, pojutrze nie będzie w Związku Radzieckim ani jednego komunisty.

E.: Czy sądzi pan, że teza o istnieniu jednej polskiej czy rosyjskiej literatury odbije się na literaturze niemieckiej, tzn. czy teza o istnieniu literatury eneradowskiej obumrze?

H.B.: Istnieje dobra niemiecka literatura i zła literatura niemiecka. Są dobrzy pisarze w NRD i są dobrzy pisarze w RFK. Teza mówiąca o tym, że istnieją dwie literatury niemieckie jest oczywiście podtrzymywana przez NRD, która mówi także o dwóch państwach niemieckich. Jest to naturalnie teza w pierwszym rzędzie o charakterze politycznym. Także ona pewnego dnia upadnie.

E.: Jest ona jednak po części popierana przez zachodnioniemiecką germanistykę, np. przez ofiarowanie literatury "NRD" czy też jej badanie.

H.B.: Z mojego doświadczenia wynika, że germanistyka wyżej ceni średnią czy nawet kiepską powieść z NRD niż dobrą powieść "zachodnioniemiecką". Na skrzydełku angielskiego - ale nie amerykańskiego - tłumaczenia "Pierwszej polki" napisano np. "the finest book of the East German author". Ponieważ do, powiedzmy, dwudziestego roku życia mieszkałem w NRD, sprzedaje się mnie w Anglii jako wschodnioniemieckiego pisarza, bo tak jest lepiej niż jako zachodnioniemieckiego. Jest to schizofreniczna sytuacja.

E.: W "Beschreibung einer Provinz" pisze pan w pewnym miejscu, że otrzymał pan kiedyś samizdatowe wydanie swoich własnych wierszy powstałych w Rosji. Czy mógłby pan powiedzieć coś więcej na ten temat?

H.B.: W obozie w Workucie pisałem wiersze, których uczyłem się potem na pamięć. Było ich dwadzieścia pięć, spisanych w rosyjskim zeszycie. Nazywały się "Alphabet des Schmerzes". Szesnaście z nich znalazło się w moim pierwszym tomie "Traum eines Gefangenen". Reszta mi się nie podobała i wiersze te naturalnie zaginęły. Pewnego dnia przyszedł do mnie litewski dysydent, który dwadzieścia lat swego życia przesiedział w łagrach i dostał pozwolenie na wyjazd do Kanady, i przyniósł mi facsimile tego zeszytu. Powiedział mi, co bardzo mnie wzruszyło, że zeszyt ten jest przechowywany w pewnym mieście na Litwie i należy do relikwii przyszłego muzeum, które pewnego dnia powstanie. Dwoma butelkami wódki przekupiono kogoś, kto miał fotokoparkę i sporządzono pięćdziesiąt egzemplarzy. Oprawiono je i rozdano wśród zainteresowanych, a jeden z egzemplarzy przyniósł on właśnie mnie. Wspomniałem o tym w mojej książce dlatego, ponieważ to wręcz niewiarygodne. Człowiek myśli sobie czasem, że coś się skończyło, że jest martwe, że zaginęło. Nie! Zawsze znajdują się ludzie, którzy przechowują. Nic nie jest zapomniane. I jestem pewien, że będzie kiedyś w Workucie muzeum, tak jak jest muzeum w Oświęcimiu!

Gdy w końcu 55 roku wróciłem z Workuty, przywiozłem w tubce poety do zębów rosyjskie wiersze leningradzkiego poety, z którym siedziałem razem w obozie. Ten człowiek wydawał nawet swoje własne pismo. Aresztowano go już w 38. Wiersze były wsunięte w tubkę od tyłu. To taki stary więzienny trick. Posłałem je Graniowi i potem je opublikowano. Ten poeta przez ten czas zresztą umarł.

Od kiedy mieszkam w Republice Federalnej ciągle dostaję wiersze i teksty dysydentów. Jeszcze przed sześciu, siedmiu laty. Dziś już nie. Dają je moim rosyjskim przyjaciółom i oni organizują całą sprawę dalej.

Mam wielu przyjaciół pośród uchodźców. Utrzymuję częstsze stosunki z autorami emigracyjnymi niż niemieckimi. Sam nie czuję się chyba pisarzem emigracyjnym, ale mam dla uchodźców wiele uczucia przyjaźni i solidarności. W podtytułe mojej książki "Das allmähliche Ersticken von Schreien" zawarte jest wezwanie i okrzyk, że uchodźcy są wśród nas. Musimy uważać, by nie zabrakło im powietrza.

E.: To, co zawsze mną wstrząsa, to tragiczny koniec obozu w Workucie. Ten strajk musiał mieć różnorodne skutki. Jest to straszna historia. Czy mógłby pan powiedzieć o tym coś więcej?

H.B.: Istnieje na Zachodzie na ten temat wiele książek i to nie tylko o strajku u nas, w Workucie. Mógłby tu naturalnie dokonać ich historycznej weryfikacji. Wszystkie one pełne są rozmaitych resentymentów - w obozach byli oczywiście również faszyci. O tym nie można zapominać. W tych książkach twierdzi się np., że zastrzelono tysiąc, albo dwa tysiące osób. To już wystarczająco okropne, ale w naszym obozie zastrzelono trzystu ludzi, a jeśli zdarzyło się to w ciągu pięciu minut, to jest to wystarczająco tragiczne.

Po śmierci Stalina i rozstrzelaniu Berii zapanowała w MGB wielka niepewność. W Związku Radzieckim wieści rozchodzą się dzięki wagonom kolejowym załadowywanym przez więźniów. Na przykład w wagonach z drzewem ładowanym na Syberii, a które docierały aż do Niemiec Zachodnich, można było znaleźć listy więźniów. U nas np. listy te wędrowały w ten sposób od obozu do obozu...

E.: Przypomina to scenę z gruzińskiego filmu Abuladze "Pokuta"...

H.B.: Tak - ta scena jest autentyczna. I właśnie na tych pniach drzewa wycięte było zdanie: "20 lipca - strajk". Wcześniej też były strajki, ale właśnie wtedy po raz pierwszy od lat dwudziestych zdarzyło się, że w tym samym dniu nagle zastrajkowało wiele obozów w okręgu Workuty. Enkawudziści byli tak zbitci z tropu, że nie wiedzieli jak mają zareagować. W normalnych warunkach stłumiliby strajk następnego dnia, ale dzięki tej niepewności... Trzeba zadzwonić do Moskwy, co oni tam na górze na to powiedzą itp. Strajkowiśmy dziesięć dni. Potem przyjechał główny oskarżyciel z Norymbergi - Rudenko. Siedzieliśmy na szewcach obozu w tundrze, a on do nas przemawiał. Więźniowie po prostu go wysłali. Następnego dnia o szóstej rano wkroczyło NKWD z karabinami maszynowymi. O pół do dwunastej przypuścili atak na obóz.

E.: Czy wynikiem strajku były jedynie represje czy jednocześnie również jakieś "pozytywne" efekty, o ile w ogóle można mówić o czymś "pozytywnym"?

H.B.: Zostaliśmy wszyscy wywiezieni do tundry i musielśmy siedzieć całymi godzinami z rękami zsiłowanymi za głowę. Wyśledzieliśmy, że teraz nas wszystkich zabiją. Były też sławne faszystowskie czy stalinowskie metody - stół, za którym siedzą kapusie i każdy musi wystąpić, a wtedy szpicel mówi: ten był w Komitecie Strajkowym, ten brał udział itd. Wszystkich tych ludzi zesłano potem na Nową Ziemię. Nie wrócił nikt. Istnieją relacje więźniów z Workuty, Kaługi, Tajszetu, ale nie istnieją żadne relacje z Nowej Ziemi. Prawdopodobnie nikt stamtąd nie powrócił. W ostatnich latach spotkałem kogós, kto był w Workucie. Byli tam także przywódcy, których skazano na obostrzony reżim i zesłano do cięższych obozów. Za Chruszczowa wszystkich ich jednak zwolniono.

E.: W Polsce nikt oczywiście nic o tym nie wie, że do Związku Radzieckiego deportowano również dużą grupę obywateli z radzieckiej strefy okupacyjnej. Wiadomo natomiast, że deportowano Polaków. Musiał to być bardzo osobliwy skład: zarówno byli funkcjonariusze NSDAP, jak i zupełnie nowe pokolenie, które nie miało z tym nic wspólnego.

H.B.: Byli to przede wszystkim młodzi ludzie, tak jak w moim przypadku, którzy widzieli nową dyktaturę i to, jak się to robi. I właśnie z tego powodu byliśmy przeciw. Ja w ogóle nie wiedziałem, dlaczego siedzę. Nie byłem przeciwnikiem politycznym. Byłem opozycjonistą, by tak powiedzieć, w dziedzinie sztuki. Nie pasował mi ten cały realizm socjalistyczny. Wiążąca była wtedy doktryna Żdanowa. Był w "Neues Deutschland" taki sławny artykuł - jego tytuł pamiętam jeszcze dziś: "Przeciw formalizmowi i bezideowemu kosmopolityzmowi w kulturze". "Bezideowym kosmopolityzmem" byli naturalnie Żydzi, pewnie dlatego, bo nie mieli ojczyzny. Jeżeli ktoś taki jak ja, kto w 45 roku miał czternaście albo piętnaście lat, w 50 widzi, że Żydzi znowu są wszystkiemu winni, to u takich młodych ludzi wywoływało to naturalne oburzenie. I tacy właśnie ludzie trafili do Workuty.

Właściwie w Workucie byli tylko więźniowie polityczni. Faszystów i dawni żołnierze trafili tam dopiero później. W naszym obozie było około trzystu Niemców, czterdziestu Polaków, dwudziestu Czechów i Słowaków. Najwięcej było jednak Ukraińców, którzy, deportowani przez Niemców na roboty przymusowe, powrócili szczęśliwie po wojnie. Stalin potraktował ich jako kolaborantów i ponownie zamknął. Duża część więźniów pochodziła z Estonii, Łotwy i Litwy. W moim obozie najinteligentniejszymi, najodważniejszymi i najbardziej moralnymi ludźmi, którzy byli także w Komitecie Strajkowym, byli Estończycy.

E.: Jak układało się współzycie tych narodów? Czy Niemcy byli np. w jednym baraku, a...

H.B.: Nie. Byliśmy wszyscy przemieszani. Można się było jakoś w tych wszystkich językach porozumieć. Powstawały jednak naturalnie grupy według przynależności narodowej. To jest nie do uniknięcia. Nie ma jedności. Ale jak silny duchowo jest dany naród, okazało się w czasie strajku. Nagle wszyscy chcieli mieć swojego przedstawiciela w Komitecie Strajkowym, Niemcy, Polacy itd. Jednak przywódcami byli Rosjanie i Ormianie. Ormianie należeli także,

obok Estonczyków, do najbardziej odważnych ludzi. Doświadczym tego pewnego dnia strajku. Przychodzi dwudziestopięcioletni Ormianin, ręce w kieszeniach, i krzyczy: "Chłopczy! Zwycięzimy, bo Bóg jest z nami. Popetrzcie w niebo!" I my w to wierzyliśmy, że wygramy, bo niebo jest błękitne. Taka to była zwarjowana, histeryczna atmosfera. Nikt nie myślał normalnie. A kilka dni potem strajk został zdławiony.

E.: Czy istniało coś takiego, jak życie kulturalne, oczywiście obozowe "życie kulturalne"?

H.B.: W ogóle nie było czegoś takiego. Słyszy się często, że w Oświęcimiu istniała kobieca orkiestra...

E.: W pytaniu tym mam na myśli "ustną" organizację życia duchowego.

H.B.: W obozach stalinowskich nie było żadnego życia kulturalnego. Wiązało się to z tym, że właściwie w stalinizmie sławne zdanie "wyznaczenia przez pracę" stało się regułą. Nie było tym żadnego zainteresowania. Dziś wiemy, że masowa śmierć głodowa kulaków była zaplanowana po to, żeby było mniej kulaków. Celowo pozwolono im umrzeć z głodu. Ludzi potrzebowano jako niewolników do pracy. Dziwnym zbiegiem ci niewolnicy byli także inteligentnymi ludźmi. Gdyby im powiedziano: uczęszczajcie na kurs marksizmu, ockacie skruszę, to po latach wrócić do domu, to np. ja być może wziąłbym w tym udział. Chciałem przecież stamtąd wyjść. Ale stalinowców to nie obchodziło, czy ktoś się interesuje marksizmem, leninizmem czy stalinizmem, czy też nie. Jedyne co było dostępne, to "Prawda", którą można było czytać. Oprócz tego żadnych innych gazet. Za to cały dzień, z obrzydliwych głośników - i był to oczywiście pewien rodzaj psychicznej tortury - "zdzies goworit radio Moskwa". Przez cały tydzień. Także w weekend. Tu trzeba wyjaśnić, że za Stalina nie było niedzieli tylko tzw. "wychodnej". Tylko co dziesiąty dzień był wolny. Stalin zniósł dawny tydzień pracy. Dzisiaj się już o tym nie wie.

E.: Czy była możliwość nauk języków obcych w małych grupach, po dwóch, trzech?

H.B.: Tak, ale nielegalnie, nie w tym sensie, by spotykano się np. w kantynie. Pracowaliśmy po dziesięć, dwanaście godzin i byliśmy kompletnie wykończeni. Jedyнным dniem, kiedy można było porozmawiać z kolegami był - jak już powiedziałem - "diesiatnik". Ja na przykład nauczyłem się w Workucie francuskiego. Pomyślałem sobie: mam dwadzieścia dwa lata, siedzę tutaj, ale kiedyś mi się to przyda. Był tam pewien starszy pan, który bardzo dobrze znał francuski. Postarałem się o zeszyt i właśnie u niego się uczyłem.

Jestem katolikiem. U pewnego litewskiego księdza, który także siedział w obozie, próbowałem np. przystąpić do sakramentu Najświętszego Serca Jezusowego. Jeśli się wypełni wszystkie warunki, to idzie się do nieba, ale ja oblałem. Na ulicy obozowej, gdzie zwykle rozmawialiśmy, było się np. odpytywany z katechizmu. W obozie wypiekano również potajemnie hostię. Takie rzeczy były, ale nie byliśmy zainteresowani tworzeniem kółek zainteresowań, by na przykład grać przedstawienia teatralne.

Komuniści boją się konspiracji znacznie bardziej niż faszyci. Wszyscy rosyjscy rewolucjonści byli konspiratorami. Komuniści wiedzą dobrze: "jeśli pozwolimy im konspirować, to pewnego dnia nas obalą". To była w latach czterdziestych taka fobia, która rozprzestrzeniła się aż do najniższych kadr.

E.: Mówił pan o wyniszczeniu inteligencji. Z pańskiego listu do Gorbaczowa można wywnioskować, że właściwie chodziło o sprowadzenie niewolniczej siły roboczej. Było to jednak również w jakimś sensie przygotowanie gruntu pod komunistyczne panowanie w okupowanych krajach.

H.B.: Większość więźniów politycznych z Czechosłowacji, z Polski, NRD itd. deportowano do Rosji w pierwszych latach powojennych po prostu jako niewolników do pracy. Później Polacy, Niemcy itd. zbudowali własny aparat służby bezpieczeństwa. Ja np. zostałem skazany w maju 51 roku przez sowiecki trybunał wojskowy w Karlsbort a następnie zabrany na Butyrki.

E.: W przypadku Katynia zorientowano się bardzo szybko, że chodzi o tych przedstawicieli inteligencji, z których nie da się zrobić kolaborantów. Dlatego ci ludzie zginęli.

H.B.: Pod koniec życia Stalina, kiedy inscenizował kolejną wielką falę antysemityzmu, nie było już tych masowych mordów, jak w czasach wielkiej czystki w latach 36-40 po zamordowaniu Kirowa. Z mojego doświadczenia wynika, że używano więźniów politycznych jako niewolników. Wielu zmarło z wycieńczenia, ale nie ginęli jak w Katyniu w wyniku strzału w głowę.

# Marcel Proust rozmawia z Horstem Bienkiem

Miał czternaście lat, kiedy ze skrajy szopy patrzył, jak wyzwoleni więźniowie z rozbitego obozu zagłady w Oświęcimiu błąkają się po Gliwicach; w wieku dwudziestu jeden lat znalazł się na przymusowych robotach w syberyjskiej Workucie. Tam, w Gułagu, uczył się miłości do języka rosyjskiego, czytał rosyjskich wieszczy, przede wszystkim Dostojewskiego, Czachowa, Puszkina, ale i prześladowanych, jak Izaak Babel czy Michał Bużhakow.

Pisarz, Horst Bienek, jest dziś znanym rzecznikiem twórców emigracyjnych. W swoich monachijskich wykładach i powieści w zimowym semestrze 1986/87 poświęcił, że emigracja jest "pośród nas". Sam, jako były obywatel NRD, nie czuje się emigrantem. Wprawdzie zmienił państwo i rząd, ale nie zmienił języka. Doświadczenie strata języka czyni z emigracji koszmar. On zachowując język mógł też zachować swoją utraconą ojczyznę, ówczesną Glinicę, gdzie urodził się 7 maja 1930 roku.

W 1975 roku ukazał się pierwszy tom śląskiej tetralogii "Pierwsza polka". Bienek opowiada tu o wybuchu II wojny Światowej, o jednym tylko dniu - 31.VIII.1939 - i jednej tylko miejscowości, Gliwicach. Drugi tom, "Septemberlich" ("Promianie września") pojawił się w 1977, zaś trzeci "Zeit ohne Glocken" ("Czas bez dzwonów") w 1979, a w 1982 jako ostatnia wyszła książka "Erde und Feuer" ("Ziemia i ogień"), w której mowa jest o końcu wojny, ucieczce i niemieckich terenach wschodnich i zniszczeniu Drezna.

W swojej twórczości Bienek przywołuje nie tylko dzieciństwo. W jego książkach powracają też traumatyczne przeżycia z Syberii, na którą skazano go w 1951 roku, kiedy był uczniem Brechta w Berlinie. Do takich utworów należy "Traumbuch eines Gefangenen" ("Sennik więźnia"), który opiera się na zapiskach z czterech lat więzienia, a także dziełko "Nachtstörche" ("Nocne spektakle") pisanych prozą oraz pierwsza powieść "Die Zelle" ("Cela więzienna") z 1968 roku. Na przekór swoim gorzkiom doświadczeniom Bienek pozostaje wierny tematowi Alberta Camusa, ośmu "pomimo wszystkiego" pozabawionemu złudzeń. "Jest sztuka i miłość, i jest śmierć. Zaś pomiędzy tym wszystkim nie ma już niczego".

Ankieta, którą Marcel Proust wypełnił za swojego życia aż dwa razy, była ulubioną zabawą towarzyską salonów. Śmiały się dalej: wesołe i drażliwe pytania to wyzwania dla intelektu i poczucia humoru. (Frankfurter Allgemeine Magazin).



- Co według Pana jest największym nieszczęściem? - Aids.  
 Gdzie chciałby Pan żyć? - W Monachium, gdzie mieszkam teraz, tylko trochę bliżej "Tantris".  
 Co dla Pana jest pełnią szczęścia ziemskiego? - Pełnia, ziemskość i szczęście, tego nie da się połączyć.  
 Jakie błędy wybaczyłby Pan w pierwszej kolejności? - Prawie wszystkie.  
 Pana ulubieni bohaterzy powieściowi? - Cziczikow, Raskolnikow, Obłomow, Myszkin.  
 Pańska najbardziej ulubiona postać historyczna? - Teresa z Avii.  
 Pana ulubione bohaterki dnia dzisiejszego? - Żochy dysydentów, bojowniczkii o prawa człowieka.  
 Pana ulubione bohaterki literackie? - Anna Karenina, Effi Briest, Valeska Piontek.  
 Pański ulubiony kompozytor? - Mahlar, Janaček, Strawinski, Henze, Reiman.  
 Pana ulubieni malarze? - Bacon, Morandi, Hockney, Twombly, Antes.  
 Jakie cechy ceni Pan najbardziej u mężczyzn? - Zaufanie.  
 Jakie cechy ceni Pan najbardziej u kobiet? - Przede wszystkim zaufanie.  
 Pańska ulubiona cnota? - Niezawodność.  
 Pańskie ulubione zajęcia? - A jakie? Raz wolno Państwu zgadywać.  
 Kim lub czym mógłby Pan chcieć być? - Śląskim magnatem albo kolekcjonarem sztuki w XIX w. na zamku Bienkowieckim.  
 Pańska główna cecha charakteru? - Ciekawość.  
 Co ceni sobie Pan najbardziej u swoich przyjaciół? - Zaproszenie na dobre przyjęcie.  
 Pańska największa wada? - Niecierpliwność.  
 Pańskie marzenie o szczęściu? - Dawno wymarzone do końca.  
 Co byłoby według Pana największym nieszczęściem? - Umieranie lasów.  
 Kim chciałby Pan być? - I am what I am.  
 Pana ulubiony kolor? - Perłowy.  
 Pański ulubiony kwiat? - Anna Blume<sup>x</sup>.  
 Pański ulubiony ptak? - Concorde.  
 Pański ulubiony pisarz? - Gogol, Dostojewski, Faulkner, Kafka, Borges.  
 Pański ulubiony poeta? - Achmatowa, Achmadulina, Cwietajewa, Christa Reinig.  
 Pańscy bohaterzy dnia dzisiejszego? - Przywódcy "Solidarności".  
 Pańskie bohaterki z przeszłości? - Gęsi Kapitolińskie.  
 Pańskie ulubione imiona? - Łukasz, Mateusz, Marek, Jan.  
 Czego Pan nie znosi najbardziej? - Wszystkich Quislingów.  
 Jakimi postaciami historycznymi gardzi Pan najbardziej? - Stalinem, Hitlerem, Ceausescu.  
 Jakie militarne dokonania podziwia Pan najbardziej? - Powstanie w Wroklucie w 1953 roku.  
 Jaką reformę podziwia Pan najbardziej? - Reformę Gorbaczowa.  
 Jaki talent chciałby Pan posiadać? - Zonglowanie.  
 Jak chciałby Pan umrzeć? - Na leżąco, z kieliszkiem szampa w ręce /jak Czechow/.  
 Pański stan ducha? - Czas staje się coraz krótszy.  
 Pańskie motto? - Korzystaj z dnia i godziny.

<sup>x</sup> Gra słów: niem. dla Blume - kwiat; "Anna Blume" (1919) tytuł zbioru wierszy Kurta Schwittersa (1887-1948) (przyp. red.)

John Galvin

# BILANS SIŁ: NATO – UKŁAD WARSZAWSKI

Podczas, gdy mnożą się "inicjatywy pokojowe" Układu Warszawskiego, wzmagają się głosy o niemożności podobnej odpowiedzi ze strony NATO. Jednak te inicjatywy, jak dotąd, są tylko słowami, a liczą się fakty, to jest: liczba czołgów, dział, helikopterów oraz innego sprzętu ofensywnego, jak również i to, gdzie i w jaki sposób jest on rozmieszczony. Ze zróżnicowania struktur sił obu stron wynika brak równowagi, który wywołuje największe obawy NATO. Tak długo, jak Układ Warszawski jest w stanie podjąć nagłe działania ofensywne, NATO musi ciągle doskonalić swe możliwości obronne, co zresztą jest w zgodzie z gotowością do podjęcia negocjacji dotyczących sprawiedliwego rozbrojenia.

Wraz z zaistnieniem układu w sprawie redukcji broni nuklearnej średniego zasięgu /INF/ zmieniło się znaczenie równowagi sił konwencjonalnych w Europie. Aby to zrozumieć trzeba docenić relację między poziomem sił zbrojnych oraz przyjętej strategii. NATOwska strategia elastycznego reagowania z 1967 roku wytrzymała próbę czasu oraz zmian w technice wojskowej.

### Doktryna elastycznego reagowania

Jej skuteczność zapewnia równowagę strategicznych i taktycznych sił nuklearnych oraz konwencjonalnych. Innymi słowy, aby odstraszać - a odstraszenie jest moją najważniejszą przesłanką - NATO musi mieć budzące zaufanie możliwości udzielenia skutecznej odpowiedzi we wszystkich aspektach konfliktu.

#### a/ Siły nuklearne

Strategiczne siły nuklearne są zasadniczym gwarantem naszej postawy odstraszenia. W ciągu ostatnich dziesięcioleci uczyniliśmy w tej dziedzinie istotne postępy. Znacznym wzmocnieniem NATO będzie trwający obecnie proces modernizacji strategicznych systemów nuklearnych Wielkiej Brytanii i USA.

Musimy utrzymać taktyczne siły nuklearne na takim poziomie, aby przekonać naszych sojuszników i przeciwników o zdecydowaniu przeciwstawienia się jakiegokolwiek agresji. Te właśnie siły, o ile zawiędzie odstraszenie, muszą przyczynić się do utrzymania

John R. Galvin - głównodowodzący połączonych Sił Zbrojnych NATO, generał Armii Amerykańskiej.  
Tekst pochodzi z "NATO Sixteen Nations", 4/5 1988.

naszej zdolności obronnej na jedynie zaufania poziomie tak, aby uniknąć przymusu wyboru między przegrana wojną konwencjonalną a totalną konfrontacją nuklearną. Niezawodność wojsk konwencjonalnych musi polegać na wszechstronności zasięgu działania oraz zróżnicowaniu rozmieszczeniu w krajach alianckich, aby Sowieci nie byli pewni co do natury NATO-wskiej odpowiedzi na agresję, jak również, aby skomplikować ich przeduderzeniowe kalkulacje.

Układ INF wyeliminuje Pershingi 2 i pociski Cruise /GLCM/, ale i tak w granicach zaprzyjaźnionych państw sojuszniczych pozostanie istotna liczba broni nuklearnych. NATO nadal będzie w posiadaniu, w europejskich bazach, setek samolotów zdolnych do przenoszenia pocisków atomowych, około 90 wyrzutni balistycznych pocisków krótkiego zasięgu typu LANCE oraz ponad 2000 pocisków artyleryjskich mogących przenosić ładunki atomowe. Wyrzutnie nuklearne łodzi podwodnych USA i Wielkiej Brytanii pozostaną nadal do dyspozycji naszych sojuszników. Nie powinniśmy nie doceniać odstraszającego znaczenia niezależnych sił nuklearnych Francji, które chociaż znajdują się poza strukturą NATO nie mniej komplikują sowieckie plany. Kontynuowanie modernizacji alianckich broni nuklearnych /program zapoczątkowany w Montebello/ zapewni, że system taktycznych broni nuklearnych nadal będzie odgrywać znaczącą rolę w naszej strategii elastycznego reagowania.

#### b/ Siły konwencjonalne

Układ INF wymaga świadomości znaczenia trzeciego ramienia nатовskiej triady, tj. sił konwencjonalnych. Musimy utrzymać dostatecznie silną obronę konwencjonalną tak, aby powstrzymać na terytorium NATO inwazyjne zagony wroga na tyle długo, żeby wzocniły nasze siły stacjonujące w Europie i podjąć wszelkie przedsięwzięcia konieczne dla powściągnięcia zakończenia konfliktu. Braki w możliwościach obronnych wojsk konwencjonalnych mogą zmusić NATO do ponownego przyjęcia strategii z poprzedniego okresu, kiedy konflikt konwencjonalny natychmiast inicjował totalną wojnę jądrową. Wiele lat temu odeszliśmy od tych koncepcji.

Poważne braki w poziomie konwencjonalnego systemu obronnego NATO mogą poza tym zachęcić świadomych swej siły i zagrożenia Rosjan do tego, żeby zastraszyć państwa alianckie i postawić je w sytuacji przymusowej. Jeśli tak miałyby się stać, to Kreml dopiąłby swego, tzn. zdominowałby europejskie państwa członkowskie NATO i zamroził ich stosunki polityczne z Ameryką Północną bez potrzeby ponoszenia ryzyka zniszczeń wojennych własnej, sowieckiej ojczyzny.

NATO nigdy nie miało przewagi w ilości sił konwencjonalnych. Tę zaś miał Układ Warszawski, w związku z czym zawsze polegaliśmy na odstraszającej roli broni jądrowych. Teraz, kiedy Rosjanie zniwelowali amerykańską dominację, w broniach atomowych lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych jeszcze bardziej staje się ważne, aby NATO utrzymało swe możliwości defensywne na właściwym poziomie.

#### Ocena równowagi sił konwencjonalnych

Chcąc ustalić, jakie przedsięwzięcia są potrzebne, w celu uzyskania równowagi sił konwencjonalnych należy zdać sobie sprawę z relatywizmu przewagi, czy też jej braku w którejkolwiek ze stron i

w związku z tym przeprowadzić ilościowe porównanie sił militarnych obydwu bloków. Niemniej nie można się tylko ograniczyć do porównań statystycznych. Analizy militarnej równowagi między NATO a Układem Warszawskim muszą być oceną wynikającą z kompleksowego uwzględnienia kombinacji różnych czynników tworzących ogólny obraz potencjału wojskowego.

#### a/ Stosunki ilościowe

Nawet takie zestawienie nie jest proste. Źródłem komplikacji jest trudność dokładnego ustalenia stanu posiadania Układu Warszawskiego. Państwa NATO, odwrotnie niż kraje bloku wschodniego, reprezentują społeczeństwo otwarte. Stan ten utrudnia estymację związków bojowych Układu Warszawskiego, to jest ich liczbę, typ uzbrojenia oraz ilość służącego w nich personelu wojskowego.

Istnieją również inne powody utrudniające porównania ilościowe. Na przykład w poszczególnych krajach ilość i jakość sprzętu jest zmienna - nawet w przypadku jednostek tego samego kraju. Duże ilości sprzętu i ludzi pozostają w ogóle poza zorganizowaniem w jednostki wojskowe. Spełniają one rezerwową siłę bojową lub zostają - w przypadku sprzętu - magazynowane jako rezerwa. Ponadto istnieją jednostki zorganizowane na sposób wojskowy i mogące sprostać wymogom wojny, lecz których zadania nie są czysto militarne /tak jak w przypadku dwustutysięcznego Korpusu Ochrony Pogranicza sowieckiego KGB/. Potrzebna jest umiejętność doświadczonego wojskowego osądu tych danych, aby ustalić ich znaczenie dla tego, co najważniejsze - taktycznej siły walki.

Kilka prostych porównań zilustruje jak nawet podstawowe próby oceny mogą być zmienna. Na przykład porównajmy liczbę czynnych zawodowo wojskowych służących po każdej stronie. Okazuje się, że zawodowa kadra wojskowa Układu Warszawskiego przewyższa Zachód o 3 miliony ludzi, podczas gdy ogólny stosunek pozostaje jak 1:2. Jednakże nie jest to zbyt wiele znacząca relacja. Mało, że trudno dokładnie określić liczbę wojska, to dane globalne uwzględniają jeszcze wojska USA i ZSRR stacjonujące poza granicami Europy i związane z innymi teatrami wojny. Ponadto dane te mówią bardzo mało o aktualnych możliwościach wojskowych.

Jeśli weźmiemy pod uwagę niektóre z kluczowych broni mających znaczenie dla układu sił w Europie, to okaże się, że na obszarze od Atlantyku po Ural Układ Warszawski przewyższa NATO w przybliżeniu w stosunku 3:1 w czołgach i artylerii oraz 2:1 w lotnictwie taktycznym. Chociaż te relacje odzwierciedlają fakt, że Układ Warszawski wyraźnie przewyższa liczebnie NATO i że ZSRR ma znacznie potężniejsze siły, aniżeli wymagałyby tego tylko obrona własnych granic, musimy przy próbach porównania brać pod uwagę również inne czynniki.

Porównanie uwzględniające sposób użycia swych sił przez obie strony jest niezbędne dla zrozumienia niebezpieczeństwa grożącego tej stronie Układu Warszawskiego. Ponieważ napaśnik na przewagę sfoliwości wyboru czasu, miejsca i środków ataku, NATO jako układ obronny musi być gotowy odpowiedzieć na różne scenariusze działań począwszy od zaskakującego ataku wojskami pierwszego rzutu do zmocnionego siłami rezerwy napadu. W związku z tym trzeba się zapytać jakimi siłami dysponujemy w obu tych przypadkach.

Wartą bliższemu przyjrzeniu się jest ilość wojsk Układu będących aktualnie w stanie gotowości bojowej, gdyż uwaga sowieckiej doktryny jest skierowana na nagłe działania ofensywne obliczone na wygranie wojny konwencjonalnej zania NATO będzie w stanie wykorzystać posiłki spoza teatru działań wojennych. W przypadku takiego ataku Sowieci zapewne spróbują zwiększyć szanse na sukces przez podjęcie działań pozornych lub zaskakujących tak, aby zredukować możliwości NATO zorganizowania mobilizacji i przygotowania obrony.

Stan obecny jest efektem długo trwającego procesu dochodzenia do potęgi przez Układ Warszawski. W 1973 roku Sowieci mieli przewagę w czołgach wyrażającą się stosunkiem 2:1. Chociaż od tego czasu wojska czołgowe NATO wzrosły o 3000 to analogiczny przyrost w siłach Układu wyniósł 10 000. Podobne zmiany zaobserwowano w innych rodzajach broni np. w artylerii. Podsumowując, z jednej strony Rosjanie zniwelowali przewagę jądrową Zachodu, a z drugiej nie obserwujemy żadnych symptomów chęci Rosjan do zredukowania swej przewagi w siłach konwencjonalnych.

#### b/ Porównanie jakościowe

Poleganie po prostu na bilansowaniu ilościowym byłoby oczywiście wylące. Tradycyjnie NATO wyrównywało swe szanse poprzez utrzymywanie swych sił na wysokim jakościowo poziomie. Wprowadzenie w ostatniej dekadzie nowych typów czołgów Leopard 2, M1 i Challenger, samolotów F-15 i Tornado oraz innych broni jak na przykład wóz bojowy "Bradley", helikopter "Apacz" czy nowe wyrzutnie raketowe, wszystko to wzmocniło możliwości wojskowe Wojsk Sojuzniczych.

Modernizacja broni i innego sprzętu jest nie kończącym się wyzwaniem sowieckich udoskonaleń dla NATO. W świetle retorycznych zabiegów, które wciąż słyszymy z Moskwy, wzrost sowieckich sił w okresie kadencji Sekretarza Generalnego Michaiła Gorbaczowa jest kontynuacją trendów rozpoczętych w późnych latach siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych. "Pieriestrojka" nie wiąże się z żadnym zasadniczym zwrotem lub reorientacją radzieckiej struktury wojskowej. Rosjanie kontynuują modernizację i rozwój wszystkich rodzajów swych sił.

W ostatnich latach uruchomili nowe systemy sił lądowych. Najnowszy czołg radziecki może współzawodniczyć z najlepszymi znanymi. T-80 ma laserowy celownik, zabezpieczenie typu NBC, działo /125 mm/ większe niż w czołgu NATO, specjalny pancerski, który poważnie ogranicza skuteczność pocisków i zapór przeciwczołgowych NATO. Chociaż duża ilość czołgów Układu Warszawskiego jest przestarzała, to jednak udało im się wyprodukować wiele nowoczesnych. Wprowadzenie 2000 radzieckich T-80 do Europy Wschodniej, połączone z montowaniem nowego pancerska na starszych typach wozów bojowych, wyposażyło naszych wrogów w znaczącą przewagę w ogólnym zestawieniu wojsk pancernych i możliwości ich zwalczania.

W ciągu ostatniej dekady Sowieci rozwinięli możliwości swej artylerii. Zwiększyli liczbę pocisków samonaprowadzających, jak również ilość wyrzutni rakiet wielokrotnego użycia. Najnowsze modele radzieckiej artylerii przewyższają zasięgiem podobne kalibrem bronie NATO i mają większą siłę ognia. Zachód ma lepiej zorganizowaną kontrolę dysponowania siłą ognia, ale Rosjanie poczy-

nili duże postępy w integrowaniu działań artylerii z akcjami wojsk zmotoryzowanych w celu polepszenia wspomagania nagłych, głęboko zakrojonych operacji ofensywnych. Sowieci mają w tej chwili o wiele bardziej sprawny i efektywny potencjał współdziałania siły ognia artylerii, atakujących helikopterów oraz lotnictwa wspomagającego krótkiego zasięgu. Pozwoli to na zgranie operacji wyprowadzenia natarcia i umożliwi skoncentrowanie siły ognia bez konieczności zagęszczenia w jednym miejscu środków prowadzenia walki.

Zachód utrzymuje jeszcze pewną przewagę w powietrzu, ale Sowieci szybko nadrabiają różnice. Wyposażyli swe wyśliwce Mig-29 i SU-27 w nowoczesne urządzenia radarowe i ulepszone zaawansowane rakiety do zwalczania samolotów niskiego pułapu oraz w głowice manewrujące /cruise/. W dodatku udoskonalili dowodzenie i kontrolę lotniczą poprzez wprowadzenie do swych sił samolotów z systemem wczesnego ostrzegania /podobnego do naszego AWACS/. Dzięki przystosowanemu do wszystkich rodzajów pogody bombowcowi przechwytyjącemu SU-24 Rosjanie rozszerzyli możliwości prowadzenia ognia typu powietrze - ziemia. Szanse NATO są jeszcze bardziej ograniczone stosowaniem przez Sowieców najbardziej rozbudowanego i zintegrowanego systemu obrony powietrznej własnego kraju, jaki zna świat. Tym samym ubezpiecza on ich siły lądowe. Najnowsze ulepszenia obejmują bezdrutowe działka plot. M 1986, SS 23 /rakiety typu ziemia - ziemia/ i naramienną wyrzutnię rakiet ziemia - powietrze SA/16 tzw. IGLA.

Fazę modernizacji sił morskich również można odnieść do okresu władzy Michaiła Gorbaczowa. W grudniu 1986 wprowadzono do wyposażenia marynarki czwartą jednostkę typu Kijów /klasa niszczycieli VSTOL/. W końcu 1988 roku przewiduje się wprowadzenie lotniskowca "Biełg" /"Biełg". Poza tym Rosjanie czynią istotne postępy w redukowaniu natężenia hałasu w pracy silników ich łodzi podwodnych niwelując tym samym przewagę Zachodu w tym zakresie.

Chociaż Rosjanie szybciej niż byśmy chcieli wypełniają luki w rozwoju myśli technologicznej, to jednak wierzę, że Zachód nadal utrzyma dominację w tej dziedzinie. Niestety ten rodzaj przewagi jest wprost proporcjonalny do siły potencjału militarnego. Nawet nasze najnowocześniejsze technologie często nie są wystarczające szybko wprowadzane w życie ze względu na długi proces udoskonalenia oraz trudności budżetowe. W Związku Radzieckim przeciwnie, wymogi militarne mają przewagę priorytetową nad interesami gospodarczymi w związku z czym droga z laboratorium na poligon jest znacznie krótsza. Ponieważ NATO ma wystarczające zaplecze, aby osiągnąć rewolucyjne postępy w technice wytwarzania broni konwencjonalnych, ciągle musimy popierać badania i rozwój najnowszych technologii oraz podjąć wysiłki w celu ich praktycznego zastosowania.

### c/ Gotowość

Gotowość wojskowa może być różnie rozpatrywana i NATO może w niektórych przypadkach odnotować przewagę. Na przykład wyszkolenie i utrzymanie sił NATO jest na wyższym poziomie, co też będziemy się starali, jeśli nie podtrzymać, to jeszcze udoskonalić. W wielu przypadkach nasi piloci latają więcej a artylerzyści strzelają częściej, niż ich odpowiednicy po przeciwnej stronie.

Taki stan rzeczy czyni naszych żołnierzy lepiej przygotowanymi do podjęcia walki. W zakresie wyszkolenia i ogólnie pojętej gotowości występują wśród aliantów pewne różnicowania. Niestety stwarza to pewne słabe punkty w naszej obronie mogące być wykorzystane przez napastnika.

NATO jest w niekorzystnej sytuacji ze względu na wagę czynników mobilizacji i wspomagania posiłkami. Sprawność obrony NATO polega na sgraniu mobilizacji oraz szybkiego rozwinięcia sił. Osiągnięcie tego powinno zrównać nasze szanse z potencjalnym agresorem. Na przykład obszar północnej Norwegii jest bardzo korzystny dla potrzeb obrony. Jednak NATO ma tam niewielkie siły gotowe do podjęcia działań. Ich trzon musi być zmobilizowany i przemieszczony na odległość około 1000 km tak, aby osiągnąć rubież obrony.

W centralnym teatrze działań oddziały NATO również muszą przebyć znaczny dystans, aby zająć wysunięte stanowiska obrony. I tak w neutralnym strategicznie sektorze Północnego Zgrupowania Armii trzon sił holenderskich i belgijskich nie stacjonuje na terenie RFN i musi być rozwinięty z obszarów macierzystych. Gdy zapadnie decyzja o mobilizacji, nawet jednostki już zainstalowane w RFN będą potrzebowały czasu, aby przygotować rubież obrony. Natomiast wojska Układu Warszawskiego mogą zmobilizować swe siły w stosunkowo krótkim czasie. Aby ułatwić sobie zadanie Sowieci wymusili na sojusznikach rygorystyczne przepisy mobilizacyjne pozwalające na postawienie Sił Zbrojnych w stan pełnej gotowości bojowej nawet bez uprzednich konsultacji z poszczególnymi rządami.

Znaczenie czynnika mobilizacji jest uzależnione od wczesnego ostrzeżenia. Podczas gdy możemy spodziewać się pewnych przejawów rosyjskich posunięć mobilizacyjnych poprzedzających jakiegokolwiek główne uderzenie, to pozostaje niejasnym, czy takie ostrzeżenia będą praktycznie wykorzystane. Mielismy mnóstwo sygnałów świadczących o sowieckiej mobilizacji poprzedzającej inwazję na Czechosłowację w 1968 roku, ale Zachód i tak był zaskoczony, kiedy atak w końcu nastąpił. Nawet przeprowadzenie mobilizacji zgodnie z czasem w siłach NATO nie zmieni faktu, że Układ Warszawski będzie miał przewagę natury geograficznej. Amerykanie musieliby przetrząść swe posiłki przez Atlantyk na odległość 6000 km. Poza tym trzeba by chronić ograniczoną przecież liczbę morskich portów i baz powietrznych dostępnych w Europie dla wyładowania sprzętu i ludzi. Utrata relatywnie niewielkiej liczby portów i lotnisk ograniczyłaby poważnie nasze możliwości przetransportowania sił w zsynchronizowany sposób. Natomiast sowieckie linie komunikacyjne są znacznie krótsze i przebiegają drogą lądową ułatwiając tym samym organizację obrony sił rozwijanego natarcia. Podczas, gdy NATO jest ograniczane możliwościami stosownego transportu i lotnictwa potrzebnego dla wzmocnienia własnych sił, to gęstość i pojemność systemu transportowego Europy Wschodniej jest więcej niż znaczna dla przewozu sowieckich oddziałów.

Aby ograniczyć ryzyko strat powstałych w razie ataku tak zwanych wąskich gardeł - jak na przykład punkty przeładunkowe związane z różną szerokością szyn między ZSRR i Europą Wschodnią - Sowieci magazynowali zapasy amunicji i paliwa w wysuniętych placówkach. Poza tym poprowadzili nowe linie kolejowe i uruchomili komunikację promową na Bałtyku. W tej sytuacji nawet wycofanie

sił sowieckich na wschód od Uralu nie poprawi naszego niekorzystnego położenia. Ich wojska byłyby nadal 3000 km bliżej centralnego teatru działań, niż siły wycofane do USA - a nawet jeszcze bliżej północnego i południowego skrzydła NATO.

#### d/ Logistyka i kwestie zapasowe

Są to czynniki wyznaczające skuteczność wysiłku obronnego NATO. Tu również jest powód do troski. Linie zapasowe NATO często prowadzą równoległe do linii frontu, co je naraża na przerwanie. Jak wiemy, Sowieci udoskonalili sposoby magazynowania amunicji i paliwa. W porównaniu z nimi NATO ma swych zapasów strategicznych zaledwie na parę dni. Chociaż niektóre kraje poczyniły znaczne postępy w ich pomnożeniu, to jednak nie odnosi się to do wszystkich państw. W rezultacie ograniczenia logistyczne wyznaczają znacznie krótszy czas aniżeli byłoby to potrzebne dla utrzymania skutecznej obrony.

Efektywność sił obronnych NATO jest również obniżona przez brak jednolitości sprzętu pozostającego na wyposażeniu wojsk państw członkowskich. Układ Warszawski ma sprzęt prawie całkowicie zunifikowany, natomiast armie NATO mają na przykład osiem różnych czołgów używających osiem różnych typów amunicji. Chociaż poszczególne narodowe dążenia do zachowania niezależności w produkcji i udoskonalaniu broni są zrozumiałe, to w erze postępującego rozrzedzenia zasobów /funduszy/ nie możemy dłużej pozwolić sobie na taki brak gospodarności.

Choć potęga ekonomiczna NATO znacznie przewyższa tę Układu Warszawskiego, to zakres sektora wojskowego gospodarki całego Państwa NATO jest mniejszy, niż samego tylko ZSRR. Porównanie potencjału produkcyjnego broni uzmysławia, że Sowieci w ciągu ostatnich dekad przewyżyli Zachód w większości głównych rodzajów sprzętu wojskowego. O ile pod względem wysokości dochodu narodowego gospodarki państw Układu Warszawskiego nie mogą się równać z państwami NATO, to jednak mogą przewyższać możliwości Paktu w zakresie wspomagania konfliktu zbrojnego, z wyjątkiem sytuacji, w której Zachód miałby wystarczającą ilość czasu - aby zmobilizować swą potęgę gospodarczą i przestawić ją na potrzeby wojenne.

#### e/ Doktryna militarna

Jakiegokolwiek porównanie sił będzie niekompletne jeśli nie weźmie się pod uwagę tego, co poszczególne strony mają do spełnienia. Strategiczne doktryny obu układów pozostają w rażącej sprzeczności. Doktryna NATO jest całkowicie i wyłącznie obronna. Odreca ewentualne korzyści wynikające z podjęcia jako pierwsza inicjatywy ofensywnej. Siły zbrojne NATO nie rozważają możliwości zastawiania Układu Warszawskiego i nie ma żadnych doktryn, planów czy ćwiczeń Paktu, które przygotowałyby taką operację.

Wydaje mi się, że nie można tego samego powiedzieć o Układzie Warszawskim. Każdy szczegół sowieckich założeń wojskowych jest tak ustawiony, aby zmobilizować cały swój potencjał w celu podjęcia zaskakujących i nagłych operacji ofensywnych przeprowadzanych na znacznych odległościach. Musimy oceniać możliwości Układu Warszawskiego w kategoriach czysto ofensywnych.



## 2/ Szacowanie równowagi sił konwencjonalnych

W ciągu ostatnich ośmiu miesięcy /t.j. koniec i początek 87/88, przyp. red./ rozważyliśmy ponad 150 studiów i innych dokumentów związanych z porównaniem sił konwencjonalnych w Europie. W mojej kwaterze jesteśmy zajęci studiowaniem różnych aspektów dotyczących sił zbrojnych stojących naprzeciw siebie na kontynencie europejskim.

Chociaż analizy mogą się różnić między sobą, to dla mnie jako zwierzchnika sił zbrojnych pozostaje jasne, że obecna sytuacja militarna w Europie jest niekorzystna dla Zachodu. O ile brak równowagi sił nie musi automatycznie oznaczać zaniku naszych możliwości odstraszania, to dalsze pogorszenie sytuacji może poważnie obniżyć wartość doktryny elastycznego reagowania.

Moje największe obawy budzi fakt, że przewaga sowiecka może prowadzić Kreml do podjęcia bardziej agresywnej i ryzykownej polityki wobec Zachodu. Jeśli brak równowagi będzie się pogłębiać na naszą niekorzyść, to państwa członkowskie NATO mogą okazać się bardziej podatnymi na zastraszanie i przymus. Jeśli miałyby tak nastąpić, to Moskwa bez jednego strzału mogłaby ograniczyć wypracowaną przez wieki w Europie wolność i demokrację.

### Równoważenie sytuacji

Nie musimy dorównywać Układowi Warszawskiemu dokładnie co do sztuki w ilości ludzi, czołgów czy samolotów. Natomiast to, czego potrzebujemy, to wystarczający potencjał sił konwencjonalnych, zdolnych udaremniać agresywne zamiary wroga oraz mogących wydłużyć okres zanim nastąpi nuklearna eskalacja. Taka możliwość powstrzymałaby NATO-wską strategię elastycznego reagowania. Odstraszanie byłoby bardziej wiarygodne, ponieważ sowieccy planiści nie byłiby pewni tak szybkiego osiągnięcia swoich celów bez potrzeby brania pod uwagę ryzyka zniszczenia atomowego. Silne wojska konwencjonalne symbolizowałyby zdecydowaną wolę aliantów i gotowość do poświęceń niezbędnych dla zapewnienia bezpieczeństwa Zachodu, co tym samym podtrzymałoby zaufanie do doktryny odstraszania NATO. Podsumowując, dostateczne siły konwencjonalne przywrócą wśród państw NATO wiarę we własne możliwości oraz zapewnią, że ZSRR nie będzie mógł stosować wobec Zachodu polityki zastraszania i przymusu, aby uzyskiwać polityczne, ekonomiczne i militarne koncesje.

W czasach ekonomicznego reżimu musimy rozsądnie wykorzystać nasze zasoby. Wykazaliśmy się istotnymi postępami racjonalizując nasze potrzeby wojskowe. Założenia /Conceptual Military Framework/ obejmują zintegrowany system długoterminowych zapotrzebowań i priorytetów, który wspierałby narodowe badania naukowe i wysiłki wspierające postęp. Program rozwoju sił konwencjonalnych /Conventional Defense Improvements Initiative/ precyzuje kluczowe posunięcia oraz potrzeby określające bezpieczeństwo aliantów. Wprowadzenie w życie tego programu wymaga od państw członkowskich twardego posunięcia w celu wyacygowania odpowiednich środków świadczących poważnie o zobowiązaniach wobec alianckiego bezpieczeństwa.

Jestem przekonany, że łącząc naszą zdecydowaną wolę zapewnienia bezpieczeństwa z chęcią szukania rozwiązania poprzez negocja-

cje skłonimy Rosjan do zgody na redukcję sił do poziomu gwarantującego bezpieczeństwo obu stronom. Zdecydowanie NATO doprowadziło do zainstalowania Pershingów II i głowic Cruise i to w okresie narastających nacisków sowieckich. W efekcie Rosjanie podjęli negocjacje rozbrojeniowe oraz zgodzili się na wyeliminowanie rakiet SS-20. Rozpostarcie kontroli nad stanem sił konwencjonalnych zrealizuje być może przyrzeczenie Michaiła Gorbaczowa o gotowości Rosjan do daleko idących asymetrycznych redukcji wojsk konwencjonalnych w celu osiągnięcia równych poziomów sił NATO i Układu Warszawskiego. Ale nie powinniśmy zapominać, że bezpieczeństwo jest naszą podstawową przesłanką. Możemy je osiągnąć godząc się rozważyć asymetryczny rozkład sił obydwóch paktów. Powinniśmy też zdawać sobie sprawę z propozycji nie realizujących tej wytycznej. I tak niewielkie redukcje byłyby w znacznej mierze symboliczne i nie miałyby większego znaczenia dla zrównoważenia sił. Odwróciłyby tylko uwagę od tego ku czemu dążymy tj. osiągnięcia równych poziomów broni. Nawet przy dążeń redukcjach musimy brać pod uwagę różnice między NATO i Układem Warszawskim w zakresie wojskowych doktryn uwzględniających m.in. porównanie jakości broni, wykazywanej gotowości oraz możliwości wspierania posiłkami. Bez tego nie zajdziemy daleko w próbach osiągnięcia stabilizacji w Europie.

Oceniam, że negocjacje dotyczące zbrojeń konwencjonalnych okazały się długie i mozolne. Ale nasz sukces związany z podpisaniem Układu INF wykazał, że zdecydowana postawa i negocjacje mogą się w sumie opłacić. Znaczącym krokiem naprzód byłoby w tej mierze osiągnięcie porozumienia dotyczącego stabilizacji sił konwencjonalnych.

W ciągu ostatnich lat państwa NATO uczyniły ogromne postępy w doskonaleniu obrony konwencjonalnej. Chociaż jeszcze nie osiągnęliśmy wszystkiego tego, co chcielibyśmy, to trzeba przyznać, że przebyliśmy już długą drogę w rozwoju tej żywotnej składowej obrony NATO. Niestety zadania obronne sprowadzają się do równania wielu niewiadomych obejmujących również naszych przeciwników, a ciężko pracują nad tym, aby zniweczyć nasze wysiłki. Koncentrując się na rozwoju obrony konwencjonalnej, postępie w ulepszaniu form współdziałania wojsk w celu optymalnego wykorzystania środków i szukając skutecznego porozumienia rozbrojeniowego nadal będziemy strzegli jedności i bezpieczeństwa NATO - aby w ten sposób zachować pokój i wolność dla Zachodu.

Wincenty Heinrich

## NOWA KONCEPCJA OBRONY A BUDŻET WOJSKOWY

Wyniki wyborów chyba dość jednoznacznie pozbawiły dotychczasowy establishment legitymacji do kontynuowania systemu sprawowania władzy w aktualnym kształcie. Jego szeroko pojęta zadania winna się odbywać spokojnie, na drodze ewolucyjnej. Oznacza to, że czeka nas przebudowa całości struktur nie tylko władzy na wszystkich szczeblach, ale i całego życia społecznego kraju.

Problem wojska nie sprowadza się do załatwienia jednego z ogniw całego procesu tej przebudowy. Wojsko ma tu do spełnienia wyrażone sprecyzowaną rolę: winno stać się głównym gwarantem tego, że przemiany naszej społeczno-politycznej rzeczywistości nie będą mogły być zakłócone przez zagrożenie zarówno z zewnątrz jak i z strony sił odchodzących ze sceny politycznej w kraju. Dlatego też rewizja zupełnie anachronicznych struktur dowodzenia siłami Układu Warszawskiego wydaje się konieczna. Można tu sięgnąć do rozwiązań NATO-owskich. Chodzi przecież o to, by państwa małe i średnie czuły się bezpiecznie w układzie z supermocarstwem, a nie jeemu podporządkowane z pogwałceniem zasad suwerenności.

Wojsko Polskie winno stać się obiektem szczególnej troski społeczeństwa. Aby sprostać oczekującym je zadaniom, nie można tkwić w anachronicznej zupełnie strukturze organizacyjnej. Struktura ta ukształtowała się w epoce o funkcje wojska, jakie winno ono do spełnienia w warunkach państwa o ustroju despotycznym przy totalnej władzy aparatu polityczno-administracyjnego nad całym krajem.

Przechodząc do ustroju demokracji parlamentarnej, iluzją byłoby przekonanie, iż można tego dokonać nie naruszając istniejących struktur wojska i aparatu bezpieczeństwa. Katastrofalne skutki mogłoby okazać się przeświadczenie, że później jakkolwiek się to wszystko ułoży. Casus chiński jest chyba tego najdosadniejszym dowodem.

Wszystko to wskazuje, że nieodwołalne staje się dokonanie reorientacji koncepcji obronnej kraju, która opierałaby się na następujących przesłankach:

- Wiele wskazuje na to, że obydwa supermocarstwa rezygnują powoli z wojny jako dopuszczalnego środka realizacji celów politycznych, a w szczególności przestają się fascynować strategią "pierwszego uderzenia".

- W aktualnej sytuacji armie państw Układu Warszawskiego, nie rezygnując zresztą ze wspólnych celów obronnych całego obszaru

nie muszą już być głównie przygotowywane do udziału w wojnie jako poszczególne elementy strategicznego ugrupowania ofensywnego.

- Generalnie biorąc, możemy w warunkach Polski przyjąć zasadę, że nasze siły zbrojne są w pierwszym rzędzie przeznaczone do obrony kraju przed jakąkolwiek agresją z lądu, morza lub powietrza.

Wzięcie pod uwagę wykazanych wyżej założeń zmusza do podjęcia prac nad przygotowaniem nowej koncepcji obronnej kraju. Konsekwencje tego przedsięwzięcia zaznaczają się nie tylko w sferze społeczno-politycznej, ale spowodują również kolosalną redukcję budżetu. Koncepcja ta obejma: rodzaj i koszt uzbrojenia, system szkolenia wojsk i rezerwy, system operacyjny przygotowania kraju do wojny, system mobilizacyjny i przygotowania zasobów.

Postaram się w sposób z konieczności szkicowy omówić kolejno te problemy.

### RODZAJ I KOSZT UZBROJENIA

Państwo biedne nie może sobie pozwolić na poriadanie przestarzałego uzbrojenia i wyposażenia armii. Cóż to bowiem oznacza: koszty obsługi i utrzymania starego czołgu, samolotu czy okrętu są, z grubsza biorąc, te same co sprzętu supernowoczesnego. Natomiast z ceną, jaką trzeba zapłacić za sprzęt jest różnie. Na pewno supernowoczesny samolot czy czołg jest wielokrotnie droższy, niż przestarzały. Ale już przestarzała rakietka ziemia-powietrze, wraz z całym anachronicznym systemem identyfikacji i dowodzenia, jest o wiele droższa niż tak znakomicie spisująca się w rękach nader prostych ludzi w Afganistanie rakietka "Stinger".

Mińszy czasy, kiedy stosunek sił mierzyć można było ilością bagnatów i konskich ogonów. Żyjemy w epoce, w której rywalizować ze sobą w skali strategicznej mogą tylko najbogatsi i najnowocześniejsi uzbrojeni. Chodzi tu, przede wszystkim, o uzbrojenie ofensywne. Porozumienia w ramach Układu Warszawskiego nakładają na nas obowiązek uczestniczenia na wypadek wojny w ogólnej, strategicznym ugrupowaniu ofensywnym. Wynikają stąd zupełnie określone konsekwencje.

Sukcesy osiągnięte w wojnie zależą głównie od stosunku sił, ale sił równorzędnych. Stosunek ten może być wzmocniony czynnikami zaskoczenia oraz paroma innymi czynnikami spoza sfery materialnej, jak morale, sprawność dowodzenia, zapleczenia, manewru itd. Porównywać można jedynie rzeczy porównywalne. Iluzją jest przekonanie, że pięć przestarzałych samolotów może zastąpić jeden nowoczesny. Praktyka "małych wojen" wyraźnie to pokazała. Koronnym przykładem może tu być pogrom syryjskich Migów przez samoloty izraelskie w dolinie Bekaa. Czy nie wymaga np. generalnej przebudowy systemu obrony powietrznej kraju, który jest bezradny wobec małego, powolnego samolotu lecącego na bardzo małej wysokości i lądującego na Placu Czerwonym?

Dystans między technicznym poziomem wyposażenia armii Zachodu i Układu Warszawskiego stale się powiększa. Gorbaczow nie tylko potrafił to dostrzec, ale też miał odwagę wyciągnąć z tego wnioski polityczne.

W tej sytuacji nowe spojrzenie na koncepcję obronną naszego kraju nabiera cech realnych. Chyba nikt nie będzie oponował przeciwko publi-

cznej dyskusji na ten temat. Myślę, że właściwym punktem wyjścia będzie tu przyjęcie tezy o przeliczeniu naszych sił zbrojnych, w pierwszej rzędzie, do obrony kraju przed jakakolwiek agresją z lądu, morza lub powietrza.

Warto przy tym pamiętać, że w warunkach, kiedy w Europie rozluźniają się więzy wzajemnych bloków, mówiąc o agresji, nie musimy utożsamiać jej z wojną wielu państw. Możliwe stają się w Europie konflikty lokalne, bez użycia broni masowego zniszczenia.

Dla odparcia tak widzianej agresji przestają być niezbędne w masowej skali takie elementy uzbrojenia jak supernowoczesny samolot zdolny do działań na dużych wysokościach i do przenoszenia bomb jądrowych, łódź podwodna o dalekim zasięgu, wojska desantu morskiego i powietrznego, supernowoczesny czołg ze stabilizowaną wieżą, rozbudowane systemy dowodzenia obroną powietrzną, sił lądowych, morskich i lotnictwa oraz cała superskomplikowana logistyka. A wszystko to na dodatek musiałoby być jeszcze zdolne do przetrwania zasowanego napadu atomowego.

W warunkach koncepcji preferującej obronę zupełnie nowego znaczenia nabiera odpowiednia broń strzelecka, przeciwpancerna, środki zwalczania celów nisko lecących /w tym bojowych śmigłowców/ oraz środki bezpośredniego wsparcia ogniowego jak granatniki, moździerze, uniwersalne działka małokalibrowe, bojowe śmigłowce oraz samoloty szturmowe krótkiego lub pionowego startu.

Jest rzeczą bezsporną, że wyposażenie armii ukierunkowanej na koncepcję głównie obronną jest wielokrotnie mniej kosztowne niż wyposażenie ofensywne. Tu warto zaznaczyć, że posługiwanie się pojęciem broni ofensywnej i obronnej jest mocno nieprecyzyjne. Ten sam karabin czy samolot może służyć zarówno do ataku jak i obrony. Istotnym jest tu przyjęcie określonej koncepcji strategicznej, bowiem ona przesądzi o generalnej strukturze uzbrojenia. Jeżeli dla realizacji np. obrony powietrznej oprzyjem się głównie na rakiecie podobnej do rakiety "Stinger", to okaże się, że ta bardzo prosta w obsłudze i tania broń jest skuteczniejsza w zwalczaniu celów nisko lecących niżeli jakikolwiek inny znany nam środek obrony przeciwlotniczej, nie wyłączając i samolotu. Podobne kryteria dadzą się zastosować we wszystkich rodzajach sił zbrojnych. Nowoczesne rusznice, rakiety, działka przeciwpancerne i pella minowe okazały się nieporównywalnie tańsze, a przy tym znacznie efektywniejsze niż czołgi, które zamierzalibyśmy przeciwstawić atakom broni pancernej przeciwnika.

W sumie zmiana struktury uzbrojenia polskich sił zbrojnych wynikałaby z rewizji dotychczasowej koncepcji ich użycia przynajmniej kilkosalne oszczędności budżetowe i to zarówno w najbliższej jak i odległej perspektywie czasowej. Musimy przy tym pamiętać, że uzbrojenie jest głównym składnikiem budżetu militarnego, ale nie jedynym. W pozostałych dziedzinach rysują się również możliwości znaczących oszczędności.

#### SYSTEM SZKOLENIA WOJSK I REZERW

Ta dziedzina wiąże się nie tylko z charakterem i strukturą uzbrojenia ale również z systemem mobilizacji i operacyjnego przygotowania kraju do wojny.

Pełnienie głównego akcentu na obronie kraju przed wszelką agresją przesądza w sposób dość jednoznaczny zarówno o charakterze jak i metodzie szkolenia. Dotyczy to zarówno kadry zawodowej jak i żołnierskiej służby zasadniczej.

Wyobraźmy sobie, że gdzieś na Pomorzu ląduje desant bądź przez nasze granice lądowe usiłują w szeregu punktach wtargnąć zboc wojska. Żeby zniszczyć agresora potrzebne są do tego silnie uzbrojone, świetnie wyszkolone i zdolne do błyskawicznego manewru oddziały. Pamiętajmy, że chodzić tu będzie o te, by nie dopuścić do uchwycenia przyczółków i portów, gdzie mogłyby desantować się i wyładować w portach główne siły agresora. To samo dotyczy lotnisk, którymi chciałby zawładnąć przeciwnik dla umożliwienia lądowania zmasowanych sił desantu powietrznego.

Nietrudno domyślić się, że o sukcesie taktycznym zdecyduje uzyskanie przewagi w określonym miejscu i czasie. Można to osiągnąć nawet przy niekorzystnym stosunku sił w skali strategicznej. Sprawność działania i inicjatywa pozwalają uzyskać zaskoczenie. W takiej sytuacji jest szansa na obeszładnienie znacznie silniejszego przeciwnika przez uniemożliwienie mu rozwinięcia i wprowadzenia do walki jego głównych sił.

Wyniki działań w pierwszych dniach a nawet godzinach walki mogą zadecydować o zaniechaniu przez agresora jego zamiarów wojennych. Przesądzi o tym zdolność do szybkiego wprowadzenia do walki kolejnych rezerw i przeprowadzenia mobilizacji.

Takie zadania mogą wykonać siły zbrojne wyszkolone na powszechnym poziomie niemal komandosów, ożywione duchem patriotyzmu i poświęcenia.

Padła tu określenie komandos. Tak, właśnie takiego szkolenia nam potrzeba. Wymaga ono wielkiej precyzji, zaangażowania obu stron: szkoleńców i szkolenych. Jest ono trudne i żmudne a przy tym jest możliwe przy spełnieniu jednego podstawowego warunku: dowódca i podwładny na każdym szczeblu dowodzenia muszą mieć do siebie pełne zaufanie. Nastąpić to może tylko wtedy, jeśli całe społeczeństwo identyfikować się będzie z celami i polityką państwa.

Logiczną konsekwencją naszkicowanego wyżej systemu szkolenia jest przygotowanie rezerw ludzkich. Żołnierze rezerwy winni nie tylko odbywać okresowe szkolenia dla odtworzenia nabytych umiejętności, ale i ćwiczyć się do działań na konkretnym terenie, w pobliżu swego miejsca zamieszkania. Wymaga to precyzyjnego planowania i podziału zadań na wszystkich szczeblach dowodzenia.

W szkoleniu wojsk i rezerw o takim charakterze - w istotnym stopniu pomniejsza się zakres szkolenia w najkosztowniejszych dziedzinach, a więc: supernowoczesnego lotnictwa, zmasowanych środków broni pancernej, pewnych typów rakiet ziemia-ziemia i ziemia-powietrze, skomplikowanych systemów dowodzenia obrony powietrznej itd.

Koszty szkolenia sił zbrojnych nastawionych głównie na obronę przed agresją są nieporównywalnie mniejsze od obecnych. Wystarczy powiedzieć, że główny ciężar szkolenia przeniesie się do jednostek liniowych. Pozwoli to na ograniczenie ilości wyspecjalizowanych szkół i środków szkolenia. Oczywiście, w takich warunkach zniknąć muszą wszelkie jednostki wojskowe nastawione na tzw. świadczenie usług na rzecz gospodarki. Jest to zakazana forma polniwólniczej pracy.

**SYSTEM OPERACYJNEGO PRZYGOTOWANIA KRAJU DO WOJNY**

Jeśli postawimy sobie ambitne zadanie osiągnięcia natychmiastowej gotowości do odparcia każdego rodzaju agresji w dowolnym re-

gionie kraju, to kraj ten należy do tego przygotować. Chodzić tu będzie o odpowiednie urzutowanie i łatwą dostępność sprzętu i uzbrojenia rezerw, przygotowania punktów i rejonów obrony przeciwpancernej, a także nagromadzenie materiałów i wytyczenie miejsc do budowy umocnień i schronów. Mowa tu przede wszystkim o schronach dla wojsk i stanowiskach dowodzenia. Na pewno nie stać nas na budowanie schronów przeciwatomowych dla całego społeczeństwa.

Dokonując reorientacji użycia lotnictwa na rzecz głównie bezpośredniego wsparcia wojsk /samoloty szturmowe krótkiego startu i bojowe śmigłowce/ uzyskamy niebagatelne oszczędności w dziedzinie sieci lotniskowej przez częściowe wyeliminowanie lotnisk dla samolotów długiego startu. Może to mieć dodatkowy, pozytywny skutek w postaci poszerzenia obszarów rolniczych.

Wszystkie poczynania obrony terytorialnej i cywilnej nabiorą zrozumiałych i realnych kształtów.

#### SYSTEM MOBILIZACYJNY I PRZYGOTOWANIA ZASOBÓW

Ta dziedzina winna stać się niejako ukoronowaniem nowej koncepcji obrony kraju. Nie wchodząc w szczegóły, nawiązuje się tu analogia do systemów mobilizacyjnych takich krajów neutralnych jak Jugosławia czy Szwajcaria. Są to kraje posiadające, relatywnie biorąc, silne i doskonale wyszkolone armie. Dysponują one terenowymi systemami mobilizacyjnymi. System ten posiada te walory, że pozwala na niemal natychmiastowe uruchomienie rezerw bez konieczności odległego transportu zarówno ludzi jak i sprzętu.

System ten ma jednak pozorną wadę, która czyniła go mało przydatnym w dotychczasowych warunkach. Jest on bowiem integralnie związany z koniecznością wzajemnego zaufania pomiędzy władzą i obywatelami. Jakką może być inaczej, jeśli na terenie np. gminy znajdować się będzie sprzęt i uzbrojenie dla miejscowych rezerwistów, a wyposażenie osobiste łącznie z „dobrą porcją żywności przechowywać będą rezerwiści u siebie w domu.

Na koniec wypada poruszyć dwa ważne problemy polskiego wojska: aparat partyjno-polityczny i czas trwania służby zasadniczej.

W świetle przedstawionej koncepcji obronnej kraju oraz sześcioletnich zmian ustrojowych, a w szczególności pluralizmu politycznego, absurdalna staje się potrzeba dalszego utrzymywania aparatu partyjno-politycznego w wojsku na dotychczasowych zasadach. Najdobitniejszym przykładem tego absurdu jest fakt, że wiceminister obrony narodowej, szef Głównego Zarządu Politycznego LWP jest jednocześnie funkcjonariuszem centralnego aparatu PZPR w randze kierownika wydziału KC.

I wreszcie sprawa tak ważna dla naszej młodzieży jak skrócenie czasu trwania służby wojskowej. Czemu w szeregu cywilizowanych, demokratycznych krajów żołnierz może służyć dwukrotnie krócej niż u nas? Odpowiedź jest dość prosta. Im dłuższa służba tym tańsza. Wobec tego czy można, a może i należy, godzić się w dobre kryzysu na formę oszczędności uzyskaną przez dłuższy czas służby? - wydaje się, że nie. Staraliśmy się wykazać, gdzie należy szukać źródeł oszczędzania, które po wielokroć zrekompensują również i koszty skróconego okresu służby wojskowej. Zresztą, nie dysponując danymi cyfrowymi dotyczącymi wojska, nie jestem w stanie powiedzieć jakiego rzędu byłby to wzrost kosztów. Podejrzewam, że po zrealizowaniu nowej koncepcji obronnej kraju, w zmienionej strukturze szkolenia, jego koszty w rocznym okresie służby tej samej ilości wojska nie tylko by się nie zwiększyły, ale uległy zmniejszeniu.

Dokładnego i spokojnego rozważenia wymaga problem obsługi skomplikowanej techniki, np. samolotów i śmigłowców. Wydaje się rzeczą oczywistą, iż mechanika lotniczego służby zasadniczej będzie musiał zastąpić zawodowy podoficer lub pracownik cywilny. W krajach wysoko rozwiniętych jest w tej dziedzinie sporo szorców do naśladowania.

Tszystkie te rozważania wydać się mogą zbyt powierzchowne, pozbawione dowodów opartych na dokładnych danych liczbowych. To prawda, ale niewiele można na to poradzić. To przecież "tabu", to nie USA, gdzie Kongres decyduje nie tylko ile, ale i na co ma być wydany każdy dolar Pentagonu. Nie zapominajmy, że dokonując analizy struktury budżetowej MON nie sposób operować jakimikolwiek wielkościami w liczbach względnych, a tym bardziej bezwzględnych, gdyż zarówno u nas jak i w pozostałych państwach Układu Warszawskiego istotna część wydatków wojskowych była, a nie można wykluczyć, że i dalej jest lokowana w budżetach innych resortów. Dane te są znane ograniczonej liczbie osób w łonie aparatu władzy.

O konieczności przyjęcia nowej koncepcji obronnej kraju i przebudowy naszych sił zbrojnych decydują dwie sprawy wielkiej wagi:

Pierwsza - chyba najważniejsza - to zagwarantowanie społeczeństwu polskiemu pewności, że jego siły zbrojne będą przeznaczone do walki z agresorem i nigdy nie zostaną użyte przeciwko własnemu narodowi.

Druga - to potrzeba szukania pilnych rozwiązań w zakresie oszczędności budżetowych.



## W poprzednich numerach:

### EUROPA 1 /1987/

- Roman Dworek: Instytut Europy Wschodniej 1930-1939  
 Egon Findelkind: Analiza "despotyzmu orientalnego" według Wittfogla  
 Irina Ratuszyńska: Wiarosze  
 Tomasz Gruszecki: O nowy program reform  
 - refleksje po sześciu latach  
 Społeczeństwo jugosłowiańskie dziś  
 - memoriał członków Serbskiej Akademii Nauk  
 Myślenie albo przymus samostanowienia  
 - wywiad Siegfrieda Lenza z Leszkiem Kołkowskim  
 Heinrich Böll: mowa uroczysta z okazji przyznania Teresie Rządzkowskiej-Jętkiewicz Nagrody Roberta Boscha

### EUROPA 2 /1987/

- Milan Kundera: Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej  
 Timothy Garton Ash: Czy istnieje Europa Środkowa  
 Andrzej Drawicz: Małe, piękne i niejasne  
 Jacek Baluch: Idea "środku" a tożsamość czeskiej kultury  
 Nie mówcie Europa - rozmowa z Leszkiem Szarugą  
 Redaktor: Nowa wspólnota komunikacyjna  
 Richard Wagner: Między braćmi  
 Rejestr wschodnioeuropejskich nienawiści  
 Vilem Hejl: Kwestia czeska a polska alternatywa  
 Komunizm to cała moja młodość  
 - rozmowa z Antoninem Liehmem  
 Polityka to coś, co przychodzi do ciebie do domu  
 - rozmowa z György Konradem  
 Kadaryzm nie jest drogą ku demokracji  
 - rozmowa z Miklosem Haraszti  
 Narodziny i śmierć w Rumunii  
 Siegfried Heinrichs: Wygnanie albo szkice z pewnego socjalistycznego więzienia  
 Klaus Mann: Nawiedzenie europejskiego ducha

EUROPA 1 /3/ 1988

- Paul Johnson: Pierwsze utopie despotyczne naszego stulecia  
 Andrzej Drzewic: Refleksje jubileuszowe  
 /i odrobinę historyczofizyczne/  
 Horst Riebeck: List do Gorbaczowa  
 NOBEL '87  
 Josif Brodski: Czerwone i czarne  
 Zapis z rozprawy  
 Josef Skvorecky: Przepędki intymiera ludzkich dusz  
 Mam już dosyć kłaustwa  
 - rozmowa z László Rajkiewiczem  
 Komu potrzebni są pisarze  
 - rozmowa z Sandorem Csócsim  
 Nie pozwalam, żeby ktokolwiek odebrał mi wolność  
 - rozmowa z Zagorką Golubowicz  
 Ruski ma być wyższy albo pierwszy kanon socrealizmu  
 - rozmowa z Marylą Sitkowską  
 Jerzy Holzer: Dlaczego Polacy nie rozumieją ludzi Zachodu  
 Wolf Oschlies: Jeszcze Polska nie zginęła, ale już niedługo  
 Karel Kaplan: Spór o Cieszyn

EUROPA 2 /4/ 1988

- Hannah Arendt: Rewolucja Węgierska a imperjalizm totalitarny  
 Redaktor: Hannah Arendt o pieriestrojce i Solidarności  
 Karol Sauerland: Hannah Arendt - Dwa modele rewolucji  
 Hannah Arendt - Karl Jaspers: Fragmenty korespondencji  
 Richard Schifter: Czyż się różni konstytucja radziecka  
 od amerykańskiej  
 Andriej Platonow: Powiew śmietnika  
 Jan Gondowicz: Ostatnie dni ludzkości  
 Bambino di Praga: Etydy dziecięce o nas i o świecie za miedzą  
 Gdzie jest iskiereka nadziei - rozmowa z Richardem Wagnerem  
 niemieckojęzycznym pisarzem z Rumunii  
 Spełniamy rolę demokratycznej opozycji  
 - rozmowa z Ferencem Koszegiem  
 J.P. Stern: Hitler. Przywódca i naród  
 W Chile zamknięto by mnie jako komunistę  
 - rozmowa z Adamem Michnikiem  
 Stojan Pawłow: Śmierć po bułgarsku